

GRAEME CAMERON

# ZWYKŁY CZŁOWIEK

FANI  
**DEXTERA**  
BĘDĄ  
ZACHWYCENI!

CAUTION DO NOT ENTER CAUTION DO NOT ENTER CAUTION DO NOT ENTER

Hipnotyzuje i mrozi krew w żyłach.  
Tego nie da się zapomnieć

**LEE CHILD**

**Graeme Cameron**

# **Zwykły człowiek**

*Tłumaczenie:*

*Jan Kabat*

*Dla Oscara, Lewisa, Sophie, Eve i Tracie  
A także Jamiego Masona, za wszystko*

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dowiedziałem się paru ciekawych rzeczy o Sarah. Miała osiemnaście lat i ukończyła w lipcu szkołę średnią z najwyższymi ocenami z biologii, chemii, fizyki i angielskiego. Jej świadectwo maturalne stało oprawione w srebrną ramkę na stoliku narożnym w salonie obok listu z informacją o przyjęciu na uniwersytet w Oksfordzie. Miała zacząć we wrześniu studia na wydziale psychologii eksperymentalnej. Zrobiła sobie rok przerwy, pracując jako wolontariuszka towarzystwa opieki nad psami.

W wolnych chwilach rysowała karykatury celebrytów, grała w piłkę rączną i zbierała pluszowe misie. Była też zapaloną czytelniczką fantasy; zaczęła właśnie drugi rozdział ósmej części „Kobierca” Clive’a Barkera. Spotykała się z chłopakiem imieniem Paul, choć uważała go za wyjątkowego palanta. Nie chciał zerwać z tą „straszłą zdzirą” Hannah, która była obdarzona obfitym biustem i niczym się nie brzydziła. Sarah była z tego powodu bardzo zmartwiona, ale nie mogła się zwierzyć matce, ponieważ „nie zrozumiałaby” i „wystraszyłaby się tak jak ostatnim razem”. Zwróciła się więc do swojej przyjaciółki Eriki, która była starsza od niej o kilka lat, a tym samym odznaczała się znajomością życia i niezwykłą mądrością. Rada, jakiej udzieliła w tym wypadku Erica, zgodnie z ulubioną metodą rozwiązywania problemów, sprowadzała się do jednego: „obciąć mu kutasa i wepchnąć do gardła”. O Ericie Sarah z matką też nie rozmawiała.

Ściany jej sypialni pomalowano na fiolet w delikatnym odcieniu, choć wciąż widać było starą wzorzystą tapetę. Miała jednoosobowe łóżko z bawełnianą pościelą na guziki i zostawiała ubrania i mokre ręczniki na podłodze. Jej pluszowe zwierzaki zajmowały każdy centymetr półki i komody. Kolekcja składała się z misiów produkowanych metodą tradycyjną; wszystkie wciąż miały karteczkę z ceną. Było ich za dużo, żeby tracić czas na liczenie. Ale wiedziałem, że jest ich sześćdziesiąt siedem.

Tamtego ranka Sarah spędziła niespełna pół godziny w wannie i przez ponad pięć minut czyściła sobie zęby. Nie miała plomb ani ubytków, ale szkliwo górnych przednich zębów ścierało się z powodu nadmiernego szorowania. Smarowała też pastą środkowy i wskazujący palec lewej ręki, by usunąć - bezskutecznie - plamy po nikotynie. W domu nie było

popielniczek, a papierosy i zapalniczkę chowała w zwiniętej parze rajstop w środkowej szufladzie komody.

Nazajutrz przypadały jej urodziny. Nadeszło już wiele kartek z życzeniami; stały w równym rzędzie na gzymsie kominka w salonie. Ktoś posprzątał tam wczesnym rankiem, ale na stoliku do kawy zauważyłem pusty kubek i numer magazynu „Heat”. Sarah nie wyłączała telewizora, nawet jeśli niczego akurat nie oglądała.

Odkryłem także, że depilowała sobie włosy łonowe. Najchętniej nosiła ubrania w kolorze zielonym. Marzyła o podróży do Australii. Zrobiła prawo jazdy, ale nie miała samochodu. Ostatnim filmem, jaki oglądała na DVD, był „Buffy, pogromca wampirów” – ten kinowy, nie zaś bardziej popularny serial telewizyjny – i przypadkiem, a może nie, jej kot wabił się Buffy.

Aha, dowiedziałem się jeszcze trzech rzeczy. Że jej ostatnim posiłkiem było lasagne, że zmarła z powodu uszkodzenia tętnicy szyjnej i że jej język smakował jak esencja słodczy.

Na szczęście podłoga w kuchni wyłożona była terakotą, poza tym bez trudu zlokalizowałem szafkę ze środkami czystości. Skrywała w swoim wnętrzu mop i wiadro, wybielacz, szmaty, rolkę czarnych worków na śmieci i mnóstwo sprejów antybakteryjnych. Nie planowałem robić tego tutaj, ponieważ miałem na głowie tysiąc innych spraw i zbyt mało czasu, by się nimi zająć, więc przypadkowe uszkodzenie tętnicy stanowiło pewną niedogodność, delikatnie mówiąc. Na szczęście jednak zareagowałem szybko i skierowałem strumień krwi we właściwą stronę, z dala od ścian.

Posłużyłem się trzydziestopięciocentymetrową piłką do metalu, żeby odciąć kończyny, które następnie, z myślą o wygodzie, przekroiłem na pół. Ręce i nogi, wraz z głową i włosami utraconymi podczas próby ucieczki, zmieściły się bez trudu w worku na śmieci. Do osobnego worka włożyłem pośladki i uda, po czym umieściłem te części ciała przy tylnych drzwiach, z dala od kałuży krwi. Tułów, pomimo drobnej sylwetki, jaką odznaczała się Sarah, był nadzwyczaj ciężki i wymagał grubszego worka; chodziło o to, by się nie przedarł i nie doszło do wycieku. Wziąłem taki ze sobą, kierując się roztropnością.

Operacja sprzątnięcia była stosunkowo łatwa. Moje ubranie powędrowało do reklamówki, a twarz umyłem nad zlewem. Ciepła woda, a następnie antybakteryjny sprej marki Dettol wystarczyły z powodzeniem, by usunąć

ślady z drzwiczek, a także zdezynfekować blaty szafek, kiedy już zgarnąłem większość krwi na podłogę. Jej wytarcie wymagało trzech wiader rozcieńzonego wybielacza, który wylałem do studzienki ściekowej na podwórzu. Rozdrabniacz w zlewie rozprawił się z zabłąkanymi skrawkami ciała; sam zlew wykonany był ze stali nierdzewnej i wymagał tylko pobieżnego wytarcia.

Jedyną troską napawały mnie maleńkie nacięcia na stole śniadaniowym, rezultat mojej niezgrabności w posługiwaniu się nożem do mięsa. Kilka plamek krwi wżarło się w drewno, ale były ledwie widoczne, a ponieważ mebel miał już najlepsze lata za sobą, wydawało się mało prawdopodobne, by ktoś je zauważył przypadkiem. Biorąc wszystko pod uwagę, nie miałibyście pojęcia, że tu gościłem.

Właściwie, kiedy już przeniosłem worki na podwórze i pochowałem środki czystości, stanowiłem jedyny obcy element w domu. Na szczęście ojciec Sarah miał z grubsza mój rozmiar; już wcześniej wygrzebałem z garderoby parę płowych spodni i stary oliwkowy polar. Zauważyłem, że jest postrzępiony i przetarty na łokciach, pachniał też trochę stęchlizną, ale najważniejsze, że był suchy i czysty.

Nie kryjąc zadowolenia, włożyłem kurtkę i buty, wyszedłem na zewnątrz i delikatnie zamknąłem za sobą drzwi.

Zgodnie ze współczesną filozofią planowania urbanistycznego dom Abbottów był oddzielony od dwóch sąsiednich szerokością ścieżki ogrodowej. By zapewnić symboliczną prywatność, każdy ogród ogrodzono z obu stron wysokimi parkanami, które u dołu posesji łączyły się z ceglany murem. Był on o dobre piętnaście centymetrów wyższy ode mnie, wiedząc zatem, że miałbym kłopoty z przeniesieniem Sarah na drugą stronę w sposób dyskretny, postanowiłem przyprowadzić furgonetkę i wrócić po dziewczynę.

Wziąłem długi rozbieg i przeskoczyłem na drugą stronę, po czym spadłem na kobierzec gałązek i miękkich zbrązowiałych liści. Drzewa rosły tuż za granicą posesji, u podnóża stromego zbocza. Z tego właśnie miejsca widziałem, jak okno na górze zachodzi parą, i słyszałem odgłosy kąpieli; patrzyłem na sylwetkę Sarah, która się rozbiegała, i czekałem, aż zamknie drzwi, mając w uszach szum wody, nim wszedłem do domu.

Teraz, kiedy zmierzałem między rzędami sosen w stronę drogi, sceneria była zupełnie inna. Wszystko, co czyniło świt tak doskonałym, zniknęło -

cieniutka warstwa śniegu na szczytach dachów, nieznaczny trzask gałązek pod kopytami jeleni, szelest liści niepokojonych przez ciekawskie lisy. Zamiast tego terkot silników wysokoprężnych i zgrzytliwy stukot betoniarek, biały szum porannych wiadomości i stuk-stuk-stuk kielni na cegłach. Zaczęło się to krótko po moim przybyciu, i choć osiedle wraz z ukończeniem budowy miało pograżyć się w błogosławionej ciszy i dobrosąsiedzkiej atmosferze, chwilowo dźwięk towarzyszący rozbudowie zamieniał je w istne piekło. Z drugiej jednak strony zapewniał mi ten luksus, że nie musiałem iść na palcach.

Myśląc o tym, czułem, że brakuje mi czegoś jeszcze – czegoś, czego nie potrafiłem określić. Pociuszającego ciężaru, który zwykle czułem na udzie, a który nagle zniknął.

Dopiero gdy dotarłem do furgonetki, uświadomiłem sobie, że zatrzasnąłem w niej cholerne kluczyki.

Z ogromną niechęcią wybiłem szybę, ale transit miał podwójne i dodatkowo wzmocnione zamki, zamówiłem też do niego opcjonalny system alarmowy. W konsekwencji, tak jak każdy inny człowiek, miałbym problem, żeby włamać się do wozu. Rozważywszy tę opcję, a także obliczywszy, ile czasu zabrałoby mi wzięcie taksówki i jazda do domu po zapasowe kluczyki, znalazłem wkrótce cegłę. Znów siedziałem w swoim samochodzie, zdany jednakże na łaskę ogrzewania.

Zostawiłem Sarah tuż za boczną furtką i wprowadziłem furgonetkę tyłem na podjazd o podwójnej szerokości, by jak najmniej rzucać się w oczy. Poświęciłem chwilę, by ponownie obejrzeć małe okno toalety na tyłach domu; wcześniej obłupałem trochę farby, w drewnie widniały też wgniecenia, ale rama znajdowała się na swoim miejscu, a szyba była nietknięta. Sądząc po ilości pudeł i koców piętrzących się w środku, a także skupisku dawno niesprzątanym pajęczyn, nikt nie odkryłby uszkodzeń aż do lata. Dobrze.

Stwierdziłem z zadowoleniem, że Sarah nie wyciekła z ani jednej torby, i po kilku dosłownie sekundach te lżejsze znalazły się w furgonetce. Lecz gdy odwróciłem się, żeby zabrać grubszy worek, spojrzałem odruchowo w stronę drzwi i zamarło mi serce. Twarz, która patrzyła na mnie pytająco, była znajoma. Wcześniej studiowałem przez chwilę maleńkie zdjęcie, jedno z tych, jakie można zrobić w automacie fotograficznym w centrach handlowych;

wypadło z pamiętnika Sarah, kiedy leżałem na jej łóżku. Ale nie było mowy o pomyłce.

Erica zdradzała tak głębokie wahanie, że niemal słyszałem warkot jej komórek mózgowych, kiedy stała z palcem tuż przy dzwonku, uniesionymi brwiami i rozdziawionymi ustami. Wiedziałem aż za dobrze, dokąd zmierzają jej myśli, więc zmieniłem ich bieg za pomocą uśmiechu i przyjacielskiego gestu.

- Cześć! - zawołałem. - Proszę się nie bać, nie jestem włamywaczem.

Wyraz jej twarzy zmienił się od razu, jakby zamierzała przeproszać.

- Och, nie, nie. W ogóle tego nie podejrzewałam. - Roześmiała się, a kilka kosmyków zsunęło się z jej czoła, zakrywając oczy.

- Jestem z opieki społecznej - wyjaśniłem. - Zabieram stare torby. - Zachichotałem w duchu. - To znaczy torby ze starymi rzeczami. Szuka pani tej młodej damy?

Szła teraz w moją stronę. Ciemne loki podrygiwały, wełniany szalik kołysał się w rytm jej bioder. Piersi zmagaly się z górnym guzikiem kurtki przy każdym stanowczym kroku. Poczułem szybsze krążenie krwi, dźwięk mechanicznych młotów i świrdrów pneumatycznych zamienił się w przytłumiony szmer.

- Tak. Wie pan, gdzie jest? Nie otwiera drzwi.

Znajdowała się teraz tak blisko, że słyszałem szelest dzinsu między jej udami. Mogłem wybrać jeden z dwóch sposobów i prawdopodobnie uniknąć sceny za sprawą szybkiego i zdecydowanego działania, ale jak często się to dzieje w obliczu niezwykłego naturalnego piękna, moja uczciwość wzięła górę.

- Tak - odparłem. - Jest w ogrodzie.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Mój ubezpieczyciel zrobił na mnie wrażenie. Po pierwsze, nie musiałem czekać na połączenie, torturowany skrzekliwym, powtarzanym w kółko nagraniem „Greensleeves” czy co tam obecnie puszczają. Po drugie, telefonista, który mówił z indyjskim akcentem, ale twierdził, że nazywa się Bruce Jackson, okazał współczucie zamarzającemu człowiekowi i skierował mnie do lokalnego warsztatu; nie dość, że mieli na składzie szybę do mojego wozu, to jeszcze zamontowali ją na poczekaniu. Potem dali mi filiżankę herbaty, choć określenie „herbata” jest w tym wypadku naciągane. Nie powinno się jej serwować w plastikowym kubku i z zatłuszczonego automatu, poza tym przenigdy nie powinno się do niej dodawać mleka w proszku. Ale ponieważ nie zaproponowano mi nic innego, a napój był przynajmniej ciepły, udałem wdzięczność i wypilem go.

Uporawszy się z naprawą wozu, zmuszony porzucić pierwotne plany, wstąpiłem do sklepu ze sprzętem remontowo-budowlanym, żeby kupić komplet brzeszczotów i trochę ługu, a także, pod wpływem impulsu, szlifierkę bezprzewodową. Pomyślałem, że może się przydać. Następnie zajrzałem do sklepu z wykładzinami, gdzie nabyłem sześć dużych ścinków, które pasowały niemal idealnie do próbki, którą trzymam w schowku na rękawiczki. Nigdy tego za wiele, wierzcie mi.

Zahipnotyzowany syrenim śpiewem wołowiny, której woń niosła się wraz z wiatrem, podjechałem do pobliskiego McDonalda, gdzie ładna jasnowłosa dziewczyna z czterema złotymi gwiazdkami na uniformie, ale bez plakietki z imieniem, podała mi cheeseburgera, jak twierdziła, który jednak po bliższym zbadaniu okazał się jego tanią imitacją, a konsumpcja niewiele bardziej satysfakcjonująca niż tkwienie na żałośnie wąskim podjeździe dla zmotoryzowanych klientów. Budziło to rozczarowanie, ponieważ panna Złote Gwiazdki wyglądała na osobę, która mogłaby zapewnić mi spożycie naprawdę dużych burgerów.

Śnieg powrócił, nim wyjechałem na drogę. Spadał gęstą zasłoną, pokrywając w ciągu kilku minut ziemię i tworząc jasny, męczący wzrok tunel.

Szosa, która biegła przez las, pogrążona była w niezwykłym spokoju nawet jak na tę pogodę. Tylko mój samochód zostawiał ślad, poza miastem nie napotkałem już żadnego wozu. W takich chwilach, choć wydaje się to nieprawdopodobne, człowiek czuje jedność z naturą, siedząc w ogrzewanej furgonetce.

Po przejechaniu około trzech kilometrów, gdy drzewa coraz ściślej obejmowały drogę, skręciłem w polny trakt biegnący wzdłuż głównego szlaku kolejowego. Przy ładnej pogodzie jest uczęszczany przez ludzi z psami i rowerzystów, ale pozostaje niedostępny dla pojazdów za sprawą stalowej zapory na wspornikach, z łańcuchem i kłódką. Na szczęście mam klucz.

Zamknąłem za sobą bramę i tłumiąc żal wywołany myślą, że naruszę dziewiczy śnieg, ruszyłem wzdłuż wyżłobionego traktu. Przejechałem około ośmiuset metrów, by nikt nie mógł mnie dostrzec od strony szosy.

Tak wyglądała zima, kiedy byłem dzieckiem. Śnieg na ziemi po goleń. Padające wokół mnie tysiącami miękkie, delikatne płatki, które osiadały na włosach i łaskotały twarz. Powietrze tak rześkie i nieruchome, że łagodziło chłód. Para oddechu przed oczami, unosząca się ku czystemu, białemu niebu. Ciche skrzywienie pod stopami przy każdym ostrożnym kroku. Błoga, niczym niezmacona cisza.

Zimy były wówczas długie i pełne różnorodnej tajemnicy. Wynajętymi samochodami odbywałem z ojcem niebezpieczne podróże do odległych placówek. Wiekowa stajnia przy podjeździe zamieniała się w arktyczny wrak statku, a żelastwo na wysokich półkach stawało się pirackim skarbem. No i lasek brzozy za ogrodem, gdzie ziemia była dostatecznie sucha, by można było na niej siedzieć pod baldachimem koców, i gdzie nigdy nie docierały krzyki i wrzaski rozlegające się w domu.

Tego dnia jednak nie miałem czasu na refleksje. Zaparkowałem furgonetkę w miejscu, w którym trakt stykał się z połącią odsłoniętego wrzosowiska przecinającego las. Grunt zniża się tu w stronę torów kolejowych, a za nimi znajduje się strome urwisko z gęsto porośniętym bagniskiem na dole, które ciągnie się wzdłuż rzeki. Tam gdzie stałem, ziemia opadała gwałtownie, tworząc okolony drzewami krater o średnicy około stu metrów, z płytkim

stawem na dnie zasilanym przez dopływ rzeki, która wije się przez bagnisko i płynie pod torowiskiem. Wspiera się ono na ceglany tunelu, zbudowanym w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku, kiedy kładziono linię kolejową, by umożliwić barkom dostęp do ówczesnego wyrobiska krzemienno. Przez lata palowane i wzmacniane w zacieklej, ale skazanej na porażkę walce z grawitacją i rozpadem, drży i zawodzi, ilekroć przejeżdża obok pociąg.

Dotarcie do tego miejsca wymaga bacznej uwagi nawet w najbardziej sprzyjających warunkach. Gdy zalega głęboki śnieg, a człowiek dźwiga ogromny ciężar, zamienia się to w koszmar. Musiałem odbyć dwa kursy, zostawiając mocniejszy worek pod mostem i wracając po mniejsze i łopatę. Niestety, ta pora roku zmusza do niejakiego kompromisu. Jest tu dużo dobrego gruntu, dostatecznie trwałego, by nie naruszył go przypadkowy przechodzień; bądź co bądź tam, dokąd mogę dotrzeć, możecie dotrzeć także i wy. Jednak przy tak niskiej temperaturze nie sposób wykopać w ziemi dół. Każdy jej kawałek, który jest dostatecznie miękki, by wbić w niego łopatę w środku zimy, będzie w lecie prawie niedostępny, a zatem z pewnością odległy i gęsto porośnięty.

Błąd, który zrodził pojęcie „płytkiego grobu”, jest klasyczny; popełniają go w kółko ogarnięci paniką nowicjusze. Uparcie nie uwzględniają czasu i wysiłku, jakiego wymaga kopanie w leśnym podłożu, dlatego końcowy rezultat to z reguły bardzo niewielki dół. By odpowiednio przykryć ciało, są zmuszeni usypać spory wzgórek ziemi zgarbionej z przyległego terenu. A ponieważ wygląda to wypisz, wymaluj jak płytki grób, starają się go zamaskować warstwą paproci i mchu. I oczywiście przy pierwszym silniejszym wietrze spod gleby wyłaniają się palce stóp.

Tego dnia musiałem wkopać się na głębokość półtora metra. Mogło to potrwać całą zimę.

# ROZDZIAŁ TRZECI

W chwili śmierci mój ojciec uśmiechnął się w końcu. Wciąż był ciepły, kiedy zostawiłem go za pierwszym razem, skóra miękka, policzki zarumienione. Krew zbierała się w trocinach pod jego szyją, maleńkie ścinki drewna unosiły się na powierzchni, tańczyły ze sobą i tworzyły wzory na podobieństwo śnieżynek naśladujących kształtem te, które roztopiały się na moim płaszczu.

Kłęczałem nad nim, szukając w jego oczach choćby iskierki życia. Ten jeden jedyny raz ów silny, dumny człowiek spojrział na mnie – jego ostatnia szansa, by w ogóle na mnie spojrzeć – a jednak wciąż nie był w stanie spojrzeć na mnie naprawdę.

Przez tych kilka chwil dostrzegłem na jego twarzy cały wachlarz emocji. Ból zdrady. Żal zawinionej porażki. Zdumienie fascynacjami małego chłopca. Frustrację wywołaną żądaniem uwagi. Rozczarowanie, gniew i odrazę. Lęk.

Po śniadaniu wróciłem i usiadłem przy nim, trzęsąc się bez końca, patrząc, jak krzepnie krew, a twarz pokrywa się woskiem. Około południa śnieg na dachu nabrał ciężkości i zsunął się na ziemię, strasząc mnie przy tym. Co jakiś czas w szczelinie pod drzwiami węszył ciekawski lisi nos. Ale poza tym towarzyszyły mi tylko cisza i przenikliwy chłód.

Przed nastaniem nocy był już zimny, palce zwinęły się w sztywne szpony, a ja uległem głodowi.

Powłokłem się przez ogród do ciepła domu, modląc się przez cały czas, bym znalazł w piekarniku kolację, by matka dopilnowała, żebym zjadł warzywa, a potem otuliła mnie w łóżku i obiecała, że nazajutrz wszystko będzie dobrze. Lecz dostrzegłem wyraz jej oczu, kiedy całowała mnie tego ranka na pożegnanie, dojrzałem w nich życie i iskrę, jakich nigdy wcześniej nie widziałem. Gdy brała swoje torby i wychodziła z domu, zostawiając mnie samego z owsianką, wiedziałem w głębi duszy, że tym razem to odejście jest inne. Sprawiało wrażenie ostatecznego.

Zrobiłem jedyną rzecz, o jakiej miałem pojęcie. Objadłem się ciastem z syropem karmelowym i czekałem, aż ktoś mnie znajdzie. Dziwne, ale nikt nigdy tego nie zrobił.

Podgrzej piekarnik do temperatury dwustu sześćdziesięciu stopni Celsjusza. Wyciśnij sok z sześciu pomarańczy; zetrzyj skórkę z dwóch i posiekaj z grubsza pozostałe. Weź dwa średniej wielkości filety ulubionego ptaka i zrób w każdym nacięcie. Umieść w nich taką samą ilość posiekanej skórki i włóż wszystko do brytfanny wypełnionej wodą do wysokości centymetra. Piecz w piekarniku, aż skórka nabierze złocistego koloru i chrupkości, potem obniż temperaturę do stu pięćdziesięciu stopni i odczekaj godzinę.

W tym czasie wlej świeżo wyciśnięty sok ze skórką pomarańczową do garnka i dorzuć dwie trzecie filiżanki cukru. Postaw miksturę na średnim ogniu i zmniejszaj go stopniowo. Dolej łyżkę gorzkiej angielskiej i odstaw garnek.

Zagotuj w osobnym garnku dwie filiżanki bulionu z kurczaka, następnie dodaj miksturę pomarańczową i gotuj na wolnym ogniu jeszcze przez dziesięć minut.

Kiedy mięso jest już gotowe, odlej tłuszcz z brytfanny i postaw ją na piecyku. Dolej filiżankę likieru Grand Marnier, a potem zaczekaj, aż alkohol wyparuje. Miej pod ręką drewnianą łyżkę, ponieważ będziesz musiał co chwila skrobać dno brytfanny. Następnie dolej filiżankę soku pomarańczowego i gotuj wszystko przez mniej więcej minutę.

Na koniec usuń pokrojoną skórkę pomarańczową z mięsa i zmieszaj miksturę pomarańczową z pozostałym sosem z brytfanny. Podawaj z prostymi dodatkami, na przykład z młodymi ziemniakami i fasolką szparagową.

I oto proszę: filet z Sarah w pomarańczach.

Zbudowałem garaż na tyle duży, by mógł pomieścić furgonetkę i trzy samochody. Automatyczny system utrzymuje wewnątrz stałą temperaturę szesnastu stopni Celsjusza i zmniejsza wilgotność. Podwójne drzwi obsługuje się pilotem, który wykorzystuje kod zmienny, zapewniający spokój ducha. Mam trzy nadajniki; jeden noszę przy wisiorku na klucze, a zapasowe zamknięte są w pudełku przechowywanym w szafce kuchennej wraz z kolekcją pamiątkowych kluczy do drzwi, którą zgromadziłem w ciągu minionych lat. Kluczyk do pudełka znajduje się przy wisiorku. Ku przypomnieniu.

Schody prowadzące do piwnicy ukryte są za kredensem – czy raczej za jego fałszywą tylną ścianą – z półkami, na których stoją wypełnione do połowy

puszki z farbą i inne przedmioty, które się nie przewrócą nawet poruszone; otwiera się, po przekręceniu ukrytego zatrasku, na pustą przestrzeń między zewnętrzną a fałszywą ścianą z tyłu garażu. Stopnie schodów pokrywa odporna nylonowa wykładzina ze ścinków koloru morwy, z kropkowanym wzorem, który doskonale kamufluje wszelkiego rodzaju ciemne plamy. Spełnia wszelkie europejskie standardy niepalności i antystatyczności, jest także zabezpieczona odpowiednim preparatem przed odbarwieniami. Po takiej wykładzinie można bezpiecznie ciągnąć niemal wszystko.

Ponad sześć metrów niżej, u podnoża schodów, znajdują się drzwi, czyli ocynkowana stal z dwoma zamkami wpuszczanymi, wypełnienie odporne na wiertło, dodatkowy zamek z siedemnastoma ryglami. Wewnętrzne usztywnienia przedzielone są warstwami dźwiękoszczelnej i termicznej izolacji, same drzwi zaś wykończone ładną naturalną okleiną bukową.

Za nimi znajduje się to, co opisałem majstrowi budowlanemu jako pokój gier. Betonowa konstrukcja, trzynaście i pół metra na dziewięć, oświetlona przez oktet reflektorów, po dwa w każdym górnym narożniku pomieszczenia, i wyposażona w antenę podłączoną do wzmacniacza komórkowego, co zapewnia odpowiednią jakość odbioru telefonicznego. Ściany są otynkowane i pomalowane na delikatny jasnoniebieski kolor. Podłogę pokrywa gumowa mata o grubości ponad siedmiu centymetrów. Majster, niestety, był trochę zaniepokojony moimi wyjaśnieniami i teraz spoczywa półtora metra nad sufitem, pod dwuipółmetrową warstwą ziemi.

Pośrodku pomieszczenia stoi klatka o wymiarach siedem metrów na siedem, skonstruowana z grubych na dwanaście i siedem dziesiątych milimetra prętów, siatki metalowej i szyn kanałowych o grubości trzech centymetrów i ośmiu milimetrów. Jest wyposażona w drzwi o szerokości półtora metra i wysokości dwa metry dziesięć, zaopatrzone w bliźniacze zamki i wzmocnioną kłódkę tytanową.

Wewnątrz stoi żelazne pojedyncze łóżko, przytwierdzone do podłogi siedemnastocentymetrowymi śrubami. Leży na nim materac kieszeniowy, biała bawełniana pościel i miły w dotyku koc z wełny owczej. W narożnikach łóżka znajdują się, przymocowane do podłogi pod warstwą maty gumowej, stalowe pierścienie o średnicy piętnastu centymetrów. W kącie klatki zainstalowano umywalkę i ubikację z odpływem podłączonym do głównej kanalizacji.

Na koniec trzeba wspomnieć, że przynajmniej tego dnia w klatce znajdował się jeszcze jeden detal. Spoczywał na środku podłogi zwinięty w kłębek. Zdradzał wrażliwość na światło, dźwięk zamykanych drzwi i zapach domowych posiłków. Okryty warstwami brązowej wełny i ciemnoniebieskiego dżinsu, drgnął niespokojnie, kiedy wszedłem do klatki, i popatrzył na mnie w milczeniu szeroko otwartymi, nienawistnymi oczami. Był zmęczony, zdeorientowany i głodny. Nazywał się Erica Shaw.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Świadczący o pewności siebie tupet już dawno zniknął. Erica nie poruszyła się, kiedy starając się utrzymać tacę jedną ręką, drugą otworzyłem kłódkę. Jednak dźwięk klucza przekręcanego w zamku drzwi sprawił, że usiadła gwałtownie i zaczęła przesuwać się po gumowej podłodze, aż uderzyła plecami o przeciwną ścianę klatki. Podciągnęła kolana pod brodę i popatrzyła na mnie z gniewem. W jej oczach płonęła nienawiść zmieszana ze strachem, a niegdyś lśniące kosmyki włosów przypominały matową, pozbawioną życia płataninę, która zakrywała twarz i lepiła się od łez spływających po policzkach. Zadrżała, nie odzywając się słowem.

- Erico - zwróciłem się do niej łagodnie. - Czas na kolację.

Postawiłem tacę na brzegu łóżka - drewnianą tacę ozdobioną wizerunkami prosiaczków i kacuszek, z miękkim oparciem na kolana. Plastikowy talerz, który nadaje się do zmywarki, ze szlaczkiem stokrotek wzdłuż brzegu. Taki sam kubek z zimnym napojem, niegazowanym. Plastikowy nóż i widelec.

Nie poruszyła się ani nie odezwała. Patrzyła tylko, kolana jej drżały, ramiona unosiły się wraz z każdym płytkim oddechem.

Usiadłem na podłodze, naprzeciwko niej.

- No śmiało, musisz coś zjeść prócz owsianki. Jesteś chuda. - Brak odpowiedzi. - To smaczne. Spróbuj i przekonaj się, czy ci odpowiada. - Nic. - Erico, posłuchaj mnie. Nie pozwolę ci zagłodzić się na śmierć.

Dostrzegłem w niej jakąś zmianę, choć niczym tego nie zdradziła. Wyczułem jej pragnienie odpowiedzi, żądanie, by się dowiedzieć, w jaki sposób umrze. Ale nadal milczała.

- Okay. - Westchnąłem. - Dam ci spokój. Zrób, co uważasz za słuszne. - Wstałem i odwróciłem się, zamierzając wyjść z klatki. - Aha, pościel na łóżku jest nowiutka. - Zamknąłem drzwi, przekręciłem klucz w obu zamkach i schyliłem się po kłódkę u moich stóp. - Nie musisz spać na podłodze.

I wtedy dostałem w twarz porcją soku pomarańczowego i fasolki.

- Nie jadam pieprzonego mięsa, psycholu! - wrzasnęła Erica, zaciskając palce na stalowej siatce.

Niepożądany filet wylądował na podłodze. Talerz poleciał przez całą klatkę i stuknął o ubikację. Ziemiaki rozsypały się na wszystkie strony. Z moich



włosów sphywał sos. Plułem sobie w brodę.

- Celny rzut - przyznałem. - Ale tak szczerze mówiąc, nie masz prawa grymasić.

- Rzeczywiście - rzuciła ze złością, zaciskając palce na siatce. Kostki jej dłoni zbieleły, oczy błyszczały jak u osaczonego tygrysa. - À propos, jak długo zamierzasz trzymać mnie w tym pieprzonym lochu?

Rozsądne pytanie, szkoda tylko, że nie potrafiłem na nie odpowiedzieć. Jest faktem, że czas, trend i turystyka to kapryśni sprzymierzeńcy, i trudno przewidzieć, kiedy raczą spełnić oczekiwania. Uznałem jednak, że lepiej jej tego nie mówić, więc siłą się na niejaką pewność siebie, odparłem:

- Szklanka jest do połowy pusta czy do połowy napełniona?

Odsunęła się gwałtownym ruchem od drzwi.

- No cóż - powiedziała z kpiącym uśmiechem. - Nie możesz mnie tu trzymać przez następne osiem lat, sam zresztą wspomniałeś, że nie wolno mi zgłodzieć się na śmierć, więc albo przetrzymujesz mnie dla okupu, albo zamierzasz mnie zabić. Tak czy owak, przypuszczam, że zechcesz się z tym szybko uporać.

Też uśmiechnąłem się kpiąco.

- No cóż, nie zamierzam cię sprzedać, wierz mi. - Zauważyłem, że traci wigor. - I przykro mi, że cię tu przetrzymuję i każę ci czekać, ale jak dotąd nie miałem jeszcze okazji zrobić z tobą czegokolwiek. W pewnym momencie wypuszczę cię z klatki i pobawimy się. Jeśli będziesz miała dość szczęścia, to może uda ci się wrócić do domu. Lecz jeśli będziesz zbyt słaba, żeby uciekać, to nie licz na żadną szansę, a jeśli zamierzasz się głodzić, to nici z frajdy.

Od razu powróciło milczenie. Buńczuczność, niechęć, nawet strach zniknęły z jej oczu; pozostały jedynie wielkie ciemne rozlewiska smutku.

- Będziesz jadła to, co ci daję, bo jest to dobre. Więc może zechcesz pozbiierać z podłogi, co się da, a ja tymczasem poszukam mopa.

Pieprzeni wegetarianie.

Nie wiedziałem na dobrą sprawę, czego potrzebuję, ale pomyślałem, że wybiorę się do pobliskiego supermarketu. Luty już minął, ale początek wiosny wciąż się ociągał z nadejściem. Gdy zapadł zmrok, temperatura spadła poniżej zera, resztki zaś mglistego wieczoru przemieniły drogi w lodowisko.

Gdyby piaskarki zrobiły swoje, byłyby to prosta pięciominutowa jazda,

a tak czekały mnie ożywcze zmagania ze zdradzieckimi prawami fizyki. Jako że przyczepność stanowi pierwszą ofiarę pogody, furgonetka ślizgała się wariacko po lodowisku, pragnąc najwidoczniej spotkać swój los, czyli wylądować brzuchem do góry w zamrzniętym rowie. Godzina szczytu ledwie przeminęła, ale nie napotkałem jakiegokolwiek wozu; nikt prócz mnie nie był na tyle głupi, by zmagać się tu z żywiołami. Nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że gdybym źle skończył, prędzej nadeszłaby wiosna niż pomoc. Przyznam, że mi się to podobało.

Po dwudziestu minutach niczym nieskazonej i radosnej niepewności dotarłem do autostrady. Pokryta grubą warstwą solanki, rojna od zmęczonych nieszczęśników wtłoczonych w brudne puszkę, przywołała mnie brutalnie do posępności powszedniego życia. Czulem się jak tuńczyk.

Zastanawiając się w milczeniu, czy wegetarianie jedzą tuńczyki, postępowałem zgodnie z zasadami zakupowej rutyny. Obserwowałem niezgrabne dziewczęta w mundurkach szkolnych i z aparatami na zębach. Jakaś drobna brunetka w prążkowanym kostiumie wertowała lokalną gazetę, a znajomy nagłówek wzbudził jedynie umiarkowane zainteresowanie:

ZAGINIONE DZIEWCZĘTA NAJPIRAWDOPODOBNIJ ZOSTAŁY UPROWADZONE

W alejce z kartkami okolicznościowymi roilo się od matek o obfitych zadach. Ignorowały znudzone i wierzące się latorośle na rzecz wymuszonych puent i sentymentalizmu, który mógł przyprawić o mdłości. Dział odzieży damskiej był opustoszały z wyjątkiem kruchej, siwowłosej pracownicy przymierzalni, wlepiającej w podłogę przepelniony smutkiem wzrok osoby niedocenionej i rozpaczliwie wierzącej, że w życiu może być - poprawka: musi być - coś więcej.

W dziale owocowo-warzywnym wybrałem brzoskwinię. Była mała, różana i idealnie zaokrąglona. Gdy tylko uchwyciła moje spojrzenie, poczułem, jak ślina napływa mi do ust. Jednak jej krzepki i posiniaczony towarzysz szybko zabił we mnie wszelki apetyt. Czy raczej uczynił to jego mundur.

W alejce z wypiekami nie było słodkich babeczek, a jedynie nadmiar przetłuszczonych pączków. Uderzyło mnie, jak nieliczne z nich, upasione na ciastkach i drożdżówkach, wyglądają odpowiednio. W przeciwieństwie do rudowłosej w alejce z karmą zwierzęcą, osoby o szerokich biodrach i chudych ramionach, żadna z tych istot nie mogła się pochwalić

grubokościstością. Rozważywszy wszelkie implikacje, ruszyłem dalej.

Makarony i sosy: wysoka blondynka z haczykowatym nosem i pałakowatymi nogami, które po pobieżnej inspekcji wydały się zbyt chude, by udźwignąć ciężar ciała czy zapewnić jakąkolwiek stabilność w obliczu uporczywego wiatru. Kroczyła niezbornie, co utrudniało określenie źródła owej niezgrabności: proteza czy anoreksja. Tak czy inaczej, lubię odrobinę mięsa do spaghetti.

Sprawy zaczęły przedstawiać się lepiej w dziale z mrożonkami: kolejna ognistowłosa, młodsza i węższa tym razem, bardziej kasztanowata niż ruda, w obcisłych džinsach, które podkreślały smakowitą krągłość szczupłych ud i kolistych bioder. Pochyliłem się obok niej, żeby zajrzeć do lodówki, niemal ocierając się policzkiem o jej kucyk. Drzewo herbaciane, mięta i leciutka woń wanilii. Ożywcze i jednocześnie relaksujące.

- Przepraszam - powiedziałem, kładąc delikatnie i przepraszająco dłoń na jej ramieniu, i sięgnąłem jednocześnie po pudełko lodów kokosowych Carte d'Or. Zerknęła na mnie z grzecznym uśmiechem i nie zamierzała się odsuwać. Nie chcąc jednak nadużywać szczęścia, odpowiedziałem jej uśmiechem i wycofałem się. Stałem chwilę nad mrożonymi warzywami i odczekałem, aż zbliży się do lodówki i przejdzie dalej, nim podążyłem za nią w odległości równej połowie alejki, dostosowując z uwagą swój krok do jej tempa marszu.

Pchała przed sobą niewielki wózek, ale nie ulegało wątpliwości, że robi zakupy na cały tydzień; kulinarnie przezorna, miała dość produktów na siedem osobnych posiłków, a w tej chwili wybierała paczkę zawierającą osiem słoiczków z fromage frais. Najwidoczniej przeznaczała na sklepowy relaks jeden wieczór w tygodniu.

Jej wiktuały dowodziły, że zdążyła już spenetrować większą część sklepu: fasolka w sosie pomidorowym, tuńczyk, kukurydza cukrowa, płyn do zmywania naczyń, makaron, ryż, kuskus i dwa gotowe sosy. Zdawało się, że te artykuły odpowiadają pewnemu ustalonemu wzorcowi. Może właśnie takie wiktuały jadali wegetarianie.

W sytuacji, gdy jej powab został niemal przyćmiony przez nagłą mądrość, którą mnie obdarzyła - wiedziałem już, co należy zrobić - uwolniłem ognistowłosą z objęć mego zamiaru i wyruszyłem na niezwykle istotne poszukiwania, by odzyskać poczucie moralnej wyższości i ocalić reputację

nieskazitelnego gospodarza.

Zdołałem dotrzeć do działu rybnego.

Jedynie nieliczni szczęściarze potrafią określić precyzyjnie tę chwilę, kiedy ich życie zaczęło obracać się wniwecz. Większość może się tego tylko domyślać, czepiając się odległych wspomnień o bogactwie, bezpieczeństwie i szczęściu, dumając o tym, gdzie się to, u diabła, podziało, próbując rozpaczliwie odzyskać resztki niezależności. Wczoraj był domek z pnącym bluszczem, ładna i utalentowana żona, która nigdy nie okazywała zmęczenia, i dzieci, które sprzątały swoje pokoje i nie opierały łokci o stół. Retriever. Gabinet. Volvo. A dzisiaj wynajęta nora z jednym łóżkiem i tłustymi plamami na suficie. Przenośny telewizor. Metro. Pchły. Upadek, choć z pozoru długi i bolesny, dokonuje się w mgnieniu oka.

W przypadku tychże ludzi nie istnieje mechaniczny datownik. Wypadają z łask miesiącami i latami, ale mimo to zgłębiają odmęty duszy w poszukiwaniu dnia i godziny w próżnym przekonaniu, że odkrycie owej pojedynczej chwili pozwoli im odwrócić zły los. Często szukają tak do końca życia.

Ja natomiast należę do tych nielicznych szczęściarzy. Wiem dokładnie, kiedy wszystko zaczęło się psuć w moim przypadku. Było to piątego kwietnia o godzinie dziewiętnastej minut dwadzieścia trzy i siedemnaście sekund. Zwiastunem była para oczu.

Większość oczu, które widzę, patrzy na mnie jak na powietrze. Niektóre zatrzymują spojrzenie na chodniku, pragnąc za wszelką cenę uniknąć ludzkiego wzroku. Inne spoglądają w dal, puste i bez wyrazu, zdradzając pragnienie, by być gdzie indziej, gdziekolwiek, byle nie tu i teraz. Niektóre zerkają, ślizgają się po danym obiekcie, umykają i po prostu nie gapią się na nic. Ale większość oczu wpatruje się we mnie jak w powietrze, jakby mnie tu zwyczajnie nie było.

Te oczy były jednak inne. Napotykały niewzruszenie spojrzenie moich, przewiercały je, patrzyły wprost we mnie. Miały w sobie ładunek jakiejś nieuchwytej przenikliwości, magnetycznego *déjà vu* oplatającego pająkowatymi palcami mój kręgosłup, rzucając iskierki zachęty i tęsknoty zabarwionych lękiem i niechęcią; sprawiały, że czułem się jednocześnie upojony i wypalony. Bieg moich myśli się wykoleił; pusta głowa oderwała

się od ramion, nogi groziły ugięciem pod ciężarem pozbawionego kierunku ciała. Nie wiem, jak długo to elektryzujące spojrzenie przykuwało mnie do miejsca, ani jak te oczy zbliżyły się do moich na odległość paru centymetrów, ale po chwili zamrugały i uwolniły mnie z niewoli swego czaru.

Głowa powróciła gwałtownie na swoje miejsce. Zjełczały smród sercówek i mały podpłynął mi do gardła, zmuszając tym samym do nieznośnego wysiłku zapanowania nad odruchem wymiotnym. Uniesione brwi i przelotny uśmiech powiedziały mi niedwuznacznie, że nie dałem rady, i po raz pierwszy od czasów dzieciństwa poczułem na twarzy rumieniec. Szczerze mówiąc, nie wiedziałem, gdzie oczy podziać, lecz skupiłem wzrok na jej klatce piersiowej, gdzie odnalazłem pociechę i zrozumienie w czterech starannie nakreślonych drukiem słowach.

Na imię miała, jak się okazało, Caroline. I była Tutaj, By Pomóc.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Nocą w wodnej mgiele autostrady nie sposób dostrzec twarzy tych, którzy przejeżdżają sąsiednim pasem. Dziesiątki, nawet setki bezimiennych, pozbawionych oblicza trutni, niewiele różniących się od ryzyka, którego należy unikać, przypomnienie, by pamiętać o drodze hamowania. Nawet gdy są niczym nieskrępowani i wyraźni, w supermarkecie albo na gwarnej ulicy handlowej w popołudnie dnia roboczego, służą tylko temu, by ci przeszkadzać w twej wędrówce, tłoczą się wokół ciebie, kiedy z pewnością powini być w pracy. Krótko mówiąc, obcy wydają się w sumie niezbyt człowieczy. Stanowią coś, co staje na drodze.

Każdy, kto tkwi na zatłoczonym rogu ulicy, zastanawiając się, dokąd tak spieszy tylu ludzi, odkrywa nieświadomie zdumiewającą ironię ludzkiej egzystencji. Gdy stoisz pogrążony w leniwej obserwacji, uwalniając się na chwilę od tysięcy stresów atakujących bezustannie twój umysł, przychodzi ci do głowy, że ta przywiedła starsza pani, która opóźnia ruch poirytowanej koleжки do autobusu, wie, że życie nie tak bardzo odległe od twojego. Ma rodzinę, która nie dzwoni do niej dostatecznie często, dom, którego nie jest w stanie utrzymać, psa albo kota, którego karmi, nim nakarmi siebie. Ma świadectwo urodzenia i rozmiar butów. Widzi to samo niebo, ten sam chodnik, tych samych pozbawionych twarzy trutni, których ty widzisz. Jeśli ją połaskoczesz, roześmieje się. Czasem jest szczęśliwa, a czasem smutna. Na ogół jest zrezygnowana. Ma myśli i uczucia, nadzieje i lęki. Osiemdziesiąt osiem lat żywych wspomnień.

Ma na imię Ivy, jest wdową od ponad dziesięciu lat. W tej chwili wybiera się dokądś. Nie wiesz dokąd, tylko ona to wie. Później, kiedy Ivy wróci do domu, nakarmi kota zawartością taniej puszką z kawałkami mięsa w galarecie, nim rozpakuje zakupy. Kot, długowłosey i pręgowany, o imieniu Foggy, będzie potem patrzył, jak jego pani osuwa się na podłogę z westchnieniem, które nie uwalnia oddechu, i chwytą się rozcapierzonymi palcami za klatkę piersiową. Dokładnie po tygodniu Gemma, wnuczka Ivy, składa jej rzadką i niezapowiedzianą wizytę, żeby pochwalić się wynikami USG. Nikt nie otwiera drzwi; światło się pali, zasłony są zaciągnięte, a kot domaga się piskliwie, żeby go wypuścić. Przez matową szybę Gemma widzi

bezludną kupkę listów i rachunków na wycieraczkę. Zaniepokojona, co jak najbardziej rozumiała, szuka w samochodzie zapasowego klucza i wchodzi do domu. Kot czmycha.

Przez osiemdziesiąt osiem lat świat obracał się wokół Ivy. Ten, który widziała i którego dotykała, był dla niej realny, wszystko inne zaledwie wytworem wyobraźni. Odchodzący goście, którzy wracali do własnego życia, znikali szybko z jej myśli, zabierając ze sobą wszelkie namacalne dowody swej egzystencji. Zamykała drzwi na świat zewnętrzny i sadowiła się na kanapie z filiżanką herbaty, sama jak palec, jeśli nie liczyć Foggy'ego. A jednak, paradoksalnie, choć rozmowa w tym odjeżdżającym samochodzie może toczyć się przez kilka kilometrów wokół Ivy, fakt jej istnienia zostanie niebawem zapomniany na rzecz bardziej aktualnych problemów i stresów nawiedzających życie Petera i Janet. Co z oczu, to z serca.

Każda istota ludzka zajmuje przestrzeń w martwym punkcie swego własnego wszechświata. Kiedy świat Ivy implodował, kiedy przemieniła się z odtwórczyni głównej roli w karmę dla kota, niezliczone odrębne światy zajmowane przez jej bliskich i przyjaciół uległy przelotnej zmianie. Świat Gemmy doznał w naturalny sposób największego wstrząsu. Widok, który powitał ją tego ranka, na trwałe odmienił jej nonszalanckie spojrzenie na życie. Podczas pogrzebu trzydzieści dwa wszechświaty złączyły się na krótko w żałobie po Ivy i nienarodzonym dziecku Gemmy.

W tej chwili powstają wszechświaty, stykają się ze sobą i ulegają zniszczeniu na całej kuli ziemskiej. Siedem miliardów dusz, każda zajęta swą własną wyjątkową rzeczywistością, każda z mnóstwem wspomnień, planów, nabytej wiedzy i zgromadzonych błahostek; dni urodzin, numery telefonów, trasy autobusów, hasła do komputera. Każda z jakimś celem wędrówki, z czymś, co należy zrobić. Wszystkie mają świadectwa urodzenia i rozmiar butów. Każda ma jakąś historię.

Zastanawiałem się, jaka jest historia tej dziewczyny... Nie, nie Caroline, choć jej twarz wciąż migotała w moim umyśle niczym sygnał o zbliżaniu się do ziemi w spadającym samolocie, tylko tej, która siedziała samotnie w barze, bawiła się komórką i próbowała zamówić drinka. Trudno ją było rozgryźć z tej perspektywy, jako że wydawała się tak nadzwyczajnie zwyczajna. Przeciętny wzrost. Przeciętna twarz. Przeciętny biust. Myszowate włosy przeciętnej długości, o nieokreślonej barwie. Tanie, pospolite dżinsy

i zwykła czarna koszula. Nawet barman jej nie zauważał.

Siedziałem w kącie z kieliszkiem czerwonego wina i egzemplarzem pisma „Telegraph” sprzed tygodnia, udając, że pożeram wzrokiem skąpo ubraną blondynę przy sąsiednim stoliku. Stanowiła centrum niemal powszechnej męskiej uwagi w barze, a jej ironiczny uśmiezek przesuwiał się od wielbiciela do wielbiciela, podczas gdy ona sama udawała zainteresowanie rozmową ze swym partnerem. Nie zamierzając się wyróżniać, pozwoliłem, by uchwyciła mój wzrok.

Pół godziny przed północą Annie Przeciętna była jedną z garstki maruderów przy barze, uparcie ignorujących wszelkie prośby, by wypić i wyjść z lokalu. Najwidoczniej zmęczona ciągłym sprawdzaniem skrzynki w swoim telefonie, zaczęła studiować z uwagą drobny druk na odwrocie biletu kolejowego, który wyjęła z torebki. Wyraz jej twarzy ani postawa nie zmieniły się przez cały wieczór, pomijając nieznaczne rozkołysanie, które dało o sobie znać około dziesiątej. W końcu wstała, okryła się wełnianym czarnym płaszczem do kostek, podgrzewanym cały czas przez jej pośladki o przeciętnym rozmiarze. Osuszyłem kieliszek z ostatnich fusów; zamówiłem całą butelkę tego paskudztwa, choć większość jej zawartości wylądowała w doniczkach na parapecie, zlokalizowanym dogodnie obok mojego lewego kolana. Zatem, patrząc pustym wzrokiem i naśladując krok Johna Wayne’a, skierowałem się do wyjścia.

Już na własnych nogach, mając wszystkiego dosyć, Annie zrobiła dokładnie to, czego się spodziewałem: ruszyła w stronę stacji kolejowej. Szła umiarkowanie szybkim krokiem, dzięki czemu mogłem dostosować się do jej tempa, nie potykając się przy tym o własne stopy. Włączyliśmy się w strumień pijanych nastolatków migrujących do klubów po drugiej stronie rzeki; bezustanna bieżączka pomimo przejmującego zimna. Po przejściu mostu mieliśmy zderzyć się czołowo z przyjezdnymi, którzy napływali do klubowego królestwa z dworca. A ponieważ to pogrążone w przyćmionym świetle centrum zbiorowej przepychanki przesunęło się boczną uliczką, w której zaparkowałem furgonetkę, spodziewałem się szybkiego finału łatwych łowów. W każdym razie do chwili, gdy odezwał się jej telefon.

Jej „halo” miało w sobie ton ironicznej dezaprobaty, przeczącej poważnemu zachowaniu; tłumaczenia rozmówcy przyjmowała z humorem i sympatią. Najwyraźniej nie przepadała za konfrontacją. Zostałem nieco w tyle, kiedy



na moście zwolniła tempo do niespiesznego kroku, przesuając drugą dłoń po lodowatej balustradzie i stąpając z chrzęstem po zamrażniętych kałużach. Jej sporadyczny gardłowy śmiech docierał do mnie na fali wulgarnych drwin i lubieżnych gwizdów. To smętno-miłosne trajkotanie sprawiało mi w jakiś sposób przyjemność, ponieważ wiedziałem, że pogodny nastrój dziewczyny ułatwi mi zadanie. Czekałem niecierpliwie, aż skończy rozmawiać.

Ostatecznie nie miało to znaczenia. Zagęębiona bez reszty w tym swoim flirtowaniu, Annie znalazła się przy kamiennych schodkach prowadzących do ścieżki holowniczej przy rzece. Stąpając w marzycielskim zamyśleniu, zeszała przy akompaniamencie chichotu w ciemność pod mostem. Obserwowałem ją z góry, kiedy krążyła w kółko, trącąc odruchowo butem kamyki, które wpadały do wody; głowę miała przechyloną, by przytrzymać telefon w zagięciu szyi, ręce trzymała dla wygody w kieszeniach. W końcu zobaczyłem, jak oddala się od mostu jeszcze bardziej, a kiedy zniknęła mi niemal z oczu, podążyłem za nią.

W ciemnościach zalegających nad wodą powietrze było ciężkie i nieruchome. Ścieżka holownicza biegnie wzdłuż wysokiego kamiennego muru, a na jego końcu znajduje się często uczęszczana droga dojazdowa do przystani. Hałas ruchu ulicznego płynie górą, dzięki czemu ten trakt jest względną oazą spokoju. Mosty na tym odcinku rzeki są zbyt niskie dla żaglowców, ale mogą pod nimi przepływać małe statki wycieczkowe, które nocą zajmują każdy centymetr przestrzeni cumowniczej. Słychać tu tylko wodę chlupoczącą o włókno szklane i włókno szklane ocierające się o drewno. Jedyne światło dociera z restauracji na przeciwległym brzegu albo z latarni ulicznych w górze.

Ścieżka była wyludniona, jeśli nie liczyć mnie i Annie. Blask restauracji przygasał za naszymi plecami, brzeg rzeki poszerzał się, kasztanowce gęstniały, wszystko okrywał całun nieskazitelnej ciszy i spokoju. Za przeciwległym brzegiem, ponad poczerniałą linią drzew, wznosiła się dumnie wieża katedry, świetlisty znak ludzkości na tle bezdusznego szaropomarańczowego nieba.

Annie przestała w końcu wędrować i oparła się o magazyn z bojami; pomarańczowy pływak, łatwy i atrakcyjny łup małostkowych wandalii, już dawno zniknął. Wniknąłem między drzewa, słuchając toczącej się rozmowy: „nie mogę się doczekać”, „już niedługo”, „okay, obiecuję”, „pamiętaj”.

Zastanawiałem się, co robi w tej chwili Caroline. Zorientowałem się, że Annie się żegna, i czekałem, podczas gdy ona pławiła się jeszcze chwilę w błogim wspomnieniu tej konwersacji. Potem zaczęło do niej docierać, że zaszła dalej, niż zamierzała; obracała się w kółko, uświadamiając sobie ciemność, ciszę, własną samotność. Jej zwyczajne oczy zdradzały dezorientację i frustrację, a także znużenie wywołane myślą o długim powrocie.

A potem mgnienie ruchu. Ciemny kształt, przygarbiony, skradający się. W zaroślach, niespełna siedem metrów dalej. Annie też wyczuła jego obecność; szarpnęła gwałtownie głową i wlepiła wzrok w czerń za swoimi plecami. Ciemny kształt zamienił się w nieruchomy posąg. Niemal wierciła mnie w nosie woń adrenaliny przepływającej przez jego żyły, kiedy tak przycupnął, ledwie oddychając, aż Annie sama odetchnęła przeciągle i odwróciła się w stronę ścieżki. Stałem dalej wyprostowany i spięty; pozwoliłem, by przeszła obok mnie, spoglądając nerwowo przez ramię, podczas gdy kształt ruszył prawie bezgłośnie przez zarośla. Znajdował się teraz między drzewami, otarł się o mnie nieomal, kiedy Annie przyspieszyła kroku, a potem w mgnieniu oka wyskoczył na ścieżkę i ruszył pędem.

Z pewnością go wtedy usłyszała. Odwróciła się, otwierając szeroko oczy, by stanąć z nim twarzą w twarz, kiedy runął na nią. Sapnęła gwałtownie, gdy zbił ją z nóg. Nim zdążyłem zareagować, leżała na poszyciu, przeklinając i plując, płaszcz miała rozchylony. Napastnik garbił się nad nią, odpychając na przemian jej ruchliwe ręce i sięgając do paska spodni.

Rozwścieczony wyswobodziłem się z niewiarygodnego transu i zasłony drzew, po czym chwyciwszy leżącą na ziemi spadłą gałąź, wkroczyłem na odsłoniętą przestrzeń. Od kłębowiska walczących ludzi dzieliło mnie kilkadziesiąt centymetrów. Odchrząknąłem, co wystarczyło, by zwrócić uwagę drapieżnika. Spojrzał na mnie raptownie i zastygł z rozdziawionymi ustami, brwi podjechały mu niemal do linii włosów. Młody chłopak, niespełna dwudziestoletni, ubrany od stóp do głów w czarny strój z włókien syntetycznych. Płomiennie pomarańczowe brwi pozwalały się domyślać koloru włosów kryjących się pod czapką. Annie przestała walczyć i popatrzyła na mnie, oczy zdradzały niezdecydowanie między paniką a ulgą. Chłopak, niewysoki, ale dobrze zbudowany, okraczał ją, przygważdżając jej nadgarstki do zmarzniętej ziemi koślawymi rękami,

a kostki nóg stopami. Wlepił wzrok w masywną gałąź, którą trzymałem, i nawet nie drgnął.

- Odejdź - powiedziałem. - I to już.

Nie trzeba było mu tego dwa razy powtarzać, co dobrze o nim świadczyło. Zniknął tam, gdzie się pojawił, zostawiając portfel i jeden but.

- Nic ci nie jest?

- O mój Boże. - Annie leżała na ziemi, płaszcz miała rozchylony, spódnicę podciągniętą, pasek rozpięty. - Ale ze mnie idiotka.

- To nie twoja wina - skłamałem, ciskając gałąź między drzewa. - Zrobił ci coś?

Pokręciła głową i podniosła rękę, żeby ująć moją wyciągniętą dłoń.

- Nie, ale wyglądam koszmarnie. - Pomogłem jej wstać, a ona doprowadziła do porządku garderobę, zapięła pasek, poprawiła włosy. - Nie wiem nawet, co tu robię - oznajmiła w zamyśleniu. - Chryste, gdybyś się nie zjawił...

- Zjawiłem się, więc przestań o tym myśleć. - Pozwoliłem jej pozbierać rzeczy, które wysypały się z torby na ścieżkę. - Chcesz, żebym zawiózł cię na policję? - zaproponowałem. - Mam samochód, stoi przy stacji kolejowej.

- Boże, nie wiem, czy chcę znów to przeżywać. - Zarzuciła torbę na ramię, po raz ostatni sprawdziła kieszenie. - Ale muszę złapać jakiś pociąg, więc jeśli idziesz w tamtą stronę... - W końcu spojrzała na mnie, przywołując szczenięce spojrzenie. Wydawała się niezwykle nieporuszona.

- Na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno - odparła. - Chcę tylko wrócić do domu.

Wyraziłem zgodę. Wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki, ja zaś, gdy ruszyliśmy szybko w stronę światła i gwaru, kopnąłem pogardliwie but chłopaka w stronę wody.

- Jak masz na imię? - spytałem.

- Annie - odparła.

Ile wynosiło prawdopodobieństwo?

# ROZDZIAŁ SZÓSTY

Annie narozrabiała straszliwie.

Przekonałem ją, że ostatni pociąg najpewniej już odjechał, a nawet jeśli nie, to i tak udajemy się w tym samym kierunku, więc może dotrzeć do domu szybciej i wygodniej. W oparciu o przekonanie, że ocaliłem ją przed nieprzyjemnym tarposzeniem, a tym samym zasługuję na zaufanie, przyjęła z radością moją propozycję.

Jeśli mam być szczerzy, kiedy zaprosiła mnie na herbatę, naprawdę zamierzałem napić się i wyjść. Wbrew wcześniejszym zamiarom, towarzystwo Annie sprawiało mi przyjemność, a rozmowa była ożywcza i interesująca - na tyle, bym nie wypatrywał po drodze opustoszałych traktów i niezabudowanych posesji. Doznawałem też niespodziewanego uczucia opiekuńczości i nim dotarliśmy do wybrzeża, moim jedynym pragnieniem było podrzucić ją bezpiecznie do domu.

Jednakże nie skończyło się na jednej filiżance herbaty, a przy każdej, którą wypijałem, Annie opróżniała kieliszek wódki. Podczas rozmowy stało się jasne, że nie jest to jednostkowy przypadek i że uniki ze strony mężczyzny obecnego w jej życiu niemal co wieczór każą jej sięgać po butelkę.

Na imię miał Jeremy i o drugiej nad ranem, kiedy usunąłem w końcu ostatnią płamę z dywanu, pałałem do niego głęboką antypatią. Wydał mi się skrajnie egoistycznym osobnikiem o bardzo niskim poziomie moralności.

- Nie chciał mi powiedzieć, gdzie mieszka - relacjonowała Annie, nalewając sobie po raz trzeci. Pół kieliszka wódki, do tego odrobina soku żurawinowego. - Twierdził, że ma hałaśliwych sąsiadów i że przyjaźnili się z jego żoną, i że uprzykrzy mu życie, jeśli się dowie, że się z kimś spotyka. Tak, wiem, też tego nie kupiłam. Więc pojechałam za nim pewnego wieczoru. - Łyknęła trunku i udało jej się przełknąć dopiero za trzecim razem. - Odstawiłam ten numer, wiesz, „proszę jechać za tą taksówką!”, i dotarłam w ten sposób pod jego drzwi. Spodziewałam się... no cóż, sama nie wiem, czego się spodziewałam, ale to był tylko mały, obskurny jednopiętrowy dom jakich tysiące, nic eleganckiego, jak twierdził.

W przeciwieństwie do wrażenia, jakie odniosłem za sprawą jej kwiecistej rozmowy telefonicznej, Annie nie malowała pozytywnego obrazu

Jeremy'ego. Powiedziała, że okłamywał ją w kwestii domu, pracy, rodziny. Chryste, nie była nawet pewna, czy rzeczywiście facet ma na imię Jeremy.

- Wystawia mnie do wiatru przez cały cholerny czas - ciągnęła. - Kiedy się skarżę, mówi, że musiał zostać w biurze i dokończyć jakieś sprawozdanie albo jaguar nie chciał mu zapalić, co jest bzdurą, bo nawet nie ma samochodu... wszędzie jeździ autobusami, bo są za darmo, bo jest cholernym kierowcą autobusu, nie regionalnym koordynatorem transportu miejskiego, za którego się podaje. A najgłupsze jest to, że nigdy się nie zdradziłam, że o tym wiem, bo nie chcę wyjść na psychiczną. Dlaczego, nie wiem. To trwa dopiero sześć tygodni, a mnie się już nie podoba, że w ogóle się martwię. - Łyk. - Ale wiesz, pozwala mi to trzymać się w karbach, rozumiesz? I tak szczerze mówiąc, kiedy nie zachowuje się jak ostatnia szuja, jest całkiem miłym facetem. I cieszę się, że mogę się oderwać... to znaczy moje życie jest takie... takie...

- Przeciętne? - podsunąłem.

Skinęła głową i opróżniła kieliszek.

- Zgadza się - przyznała. - Annie Cholernie Przeciętne.

Choć podziwiałem prostotę jej wyjaśnienia, nie ulegało wątpliwości, że karmi się złudzeniami. Oboje wiedzieliśmy, że znosi to wszystko, bo jest pijana.

O pierwszej czterdzieści siedem nastąpił w przypadku Annie koniec. Wyjęła z piekarnika pizzę z wołowiną na ostro i natychmiast upuściła ją wierzchnią stroną na kremową sofę. Cofając się w przerażeniu, strąciła ze stolika do kawy otwarty karton z sokiem żurawinowym.

Ulegając wyczerpaniu, pognąła do kuchennego zlewu i nie zdążywszy usunąć brudnych naczyń, wyrzygała się obficie.

Tak więc przyszło mi, całkiem dosłownie, rozebrać Annie i położyć ją do łóżka. Zasnęła, jeszcze nim wsparła głowę na poduszce.

Bardzo polubiłem Annie z jakiegoś powodu, tak więc w drodze powrotnej przez miasto, opierając się na informacjach skopiowanych z jej notatnika, zatrzymałem się, żeby złożyć wizytę gnidzie Jeremy'emu. Miała rację; dom był obskurny - farba obłaząca z drzwi i framug okiennych, rynny popękane i obluzowane, ogród zarośnięty chwastami i pokrzywami.

Dostanie się do środka nie nastęrczało trudności. Przybudówka kuchenna

na tyłach miała płaski dach, nad którym znajdowało się okno pakamery. Pozostawiono je otwarte zapewne w przekonaniu, że świeże powietrze poradzi sobie z wilgocią na ścianach. Zamknąłem je uczynnie.

Sypialnia Jeremy'ego była zlokalizowana od frontu. Cienkie zasłony nie stanowiły przeszkody dla światła latarni bezpośrednio za oknem, więc sufit i tapeta welurowa odznaczały się pomarańczowym fluorescencyjnym blaskiem. Komoda, mahoniowa imitacja ze sklepu ze starociami, zawalona była żelami do włosów, rozerwanymi kopertami i opróżnionymi do połowy filizankami kawy; niektóre zdradzały oznaki życia. Stojąca w przeciwnym rogu szafa ugięła się pod ciężarem wypchanych czarnych worków i toreb sportowych, których stos sięgał tak wysoko, że koszule nie wisały prosto, a drzwi się nie domykały.

Natomiast łóżko wyglądało na nowe. Prawie dwa metry szerokości, rama w przesadnym neogotyckim stylu, efekt antycznego mosiądzu. Narzuta zaś, z całkiem innej bajki, miała wzór w kształcie niezrozumiałych stylizowanych znaków chińskich, i co zauważyłem bez szczególnego zdziwienia, kryła pod sobą dwa odrębne kształty.

Postanowiłem nie budzić Jeremy'ego, nie przez wzgląd na jego dobro, ale po prostu dlatego, że nie przyszło mi do głowy spytać, jak wygląda. W normalnej sytuacji nie stanowiłoby to problemu, ponieważ większość partnerów można odróżnić dzięki oczywistym i uniwersalnym czynnikom określającym płeć. Mówiąc prościej, wskazówką jest kutas. Ta para miała jednakże, w sposób jak najbardziej oczywisty, dwa kutasy.

Sądząc po kolekcji zdjęć, które zdobiły półkę nad kominkiem na dole, predylekcja Jeremy'ego nie stanowiła czegoś, co można by określić w jego przypadku mianem novum. Fryzury na fotografiach sięgały stylem epoki new romantic i nieomylnie łączyły się z tym czy innym torsem, odpowiednio owłosionym i muskularnym. To był człowiek, który od dawna znał swój umysł na wylot.

We wnęce pod schodami, naprzeciwko gzymsu kominka z tanim efektem płonących polan, znajdował się komputer. Biurko, na którym stał, zasłane było karteczkami z nabazgranymi szczątkami informacji osobowych: adresy mailowe, imiona, miejsca zamieszkania, profesje, zwierzęta domowe, rozmiary. Pseudonimy w rodzaju „Mysiu Pysiu” czy „Lucy Kochaś”. Przy niektórych widniały numery telefonów. Garść zanotowanych dat i godzin,

nazwy pubów i restauracji. Na jednej z karteczek, co zauważyłem ze smutkiem, widniało Burger King.

Do niewielkiego trójkąta ściany nad biurkiem przyczepiono pineskami dwanaście zdjęć odbitych na papierze do drukarki. Dwanaście kobiet siedzących przy dwunastu stolikach narożnych, samotnych, wpatrzonych w swoje drinki i stukających palcami w komórki.

Byłem zadowolony, że postanowiłem tu zajrzeć. Fakt, iż Jeremy śledził w wolnym czasie dziewczyny hetero, stanowił niejaką ekstrawagancję w przypadku czegoś, z czym zetknąłem się wcześniej setki razy, i nie miałem zamiaru się w to zagłębiać. Tak czy owak, jego motywacja nie obchodziła mnie w najmniejszym stopniu, ale to, że mógł dysponować fotograficznym zapisem poczynań każdej zdesperowanej samotnej kobiety mieszkającej w tym hrabstwie, już mnie obchodziło, i to bardzo. Bóg jeden wiedział, na ilu zdjęciach widniała moja osoba.

Tak więc nakazem nocnej chwili stało się działanie spod znaku polityki dyskryminacji pozytywnej; nim Jeremy obudził się rano, twardy dysk w jego komputerze i karty pamięci były wyczyszczone, w drukarce skończył się tusz, a jedyne zdjęcie nad biurkiem przedstawiało jego samego, nagiego i pogrążonego we śnie, z nożycami ząbkowanymi ułożonymi pomysłowo przy jego przyrodzeniu.

Ci z nas, którzy zapominają nagle, co mieli kupić, i żywią podświadomą czy inną nadzieję, że należy zdać się ponownie na pierwsze wrażenie, uważają siłą rzeczy całodobowe supermarkety za jedno z największych osiągnięć współczesnego świata, obok herbaty w torebkach i polityki prywatności na portalach społecznościowych.

We wczesnych godzinach nie ma rozwrzeszczanych dzieciaków ani półgodzinnych kolejek do kas. Parking świeci pustkami i zawsze można znaleźć wolny wózek.

Na ogół jedyna aktywność, z jaką możemy się zetknąć, to krzątanie współtowarzyszy bezsennej niedoli obarczonych zadaniem nie do pozazdroszczenia, czyli wykładaniem towaru na półki. Ludzie ci są przyzwoicie opłacani, a tym samym zazwyczaj grzeczni i nieszkodliwi. Zawsze znajdują to, czego się szuka, i zawsze jest to świeże.

Niestety, dział rybny był zamknięty i dojmujące poczucie rozczarowania zrodzone z tego faktu wywołało we mnie coś w rodzaju szoku. Byłem

rozkojarzony i apatyczny, kiedy pchałem swój ekspresowy wózek od alejki do alejki, uzupełniając wcześniejszy połów pod postacią roztopionych lodów kokosowych i dwóch odmrożonych łososi o wszystko, co było rzekomo pozbawione mięsa, a co wybierałem na chybił trafił. Marchew, oliwki i limonki. Ryż carnaroli i puszka fasoli półksiężycowatej. Wszelkie poczucie kierunku i celu znów umknęło gdzieś na obrzeża mojego umysłu, pokonane przez hordy metalowych klatek na kółkach zagradzających każdą alejkę. Spłynął na mnie wówczas całun frustracji, przysłaniając mi wzrok i zatykając uszy. Sterczące włoski na karku przyparowały mnie o wrażenie, że jestem obserwowany; ogarnęło mnie niepowstrzymane pragnienie, by znaleźć się gdzie indziej.

Zostawiłem wózek i zawędrowałem do działu elektroniki, gdzie zwykle zbierają się znudzeni mężowie, żeby oglądać tanie laptopy i popatrzeć sobie na mecz. Było tu rozkosznie pusto i spokojnie, pomijając rząd telewizorów, z których każdy był nastawiony na inny kanał i mruczał do mnie, kiedy przechodziłem obok:

- ...według folkloru inkaskiego... niegdyś zarządcy infrastruktury kolejowej... mogą prasować koronki na mokro... prawdziwa ikona pokroju Elvisa Presleya... zleci władzom miejskim, by wypożyczyły Ericowi wózek inwalidzki z napędem elektrycznym. Główny inspektor Lowry wydał następujące oświadczenie: Choć nigdy nie stracimy nadziei, że uda się nam znaleźć Sarah i Ericę, musimy sobie uświadamiać, że nasze szanse maleją z tygodnia na tydzień. Tym samym ponownie apeluję do wszystkich członków lokalnej społeczności, którzy mogą posiadać jakiegokolwiek informacje, nawet jeśli wydają im się nieistotne, by zadzwonili do nas, bezpośrednio do centrum koordynacyjnego, albo anonimowo na numer telefonu zaufania. Ktoś musi coś wiedzieć i tylko z waszą pomocą możemy liczyć na to, że uda się nam sprowadzić Sarah i Ericę do domu lub ustalić tożsamość osoby czy osób odpowiedzialnych za ich zniknięcie.

Nie poprawiło mi to nastroju.

W nocy kasy stoją puste. Pod nieobecność klientów nie ma sensu płacić pracownikom za to, że będą żuli gumę i patrzyli w przestrzeń. Byłem sam, wykładając towary na przenośnik; dźwięk zamykanych stalowych klatek, upuszczanych pudeł i zdawkowych rozmów wydawał się bezcielesny i odległy. Pchnąłem wózek do końca podajnika, skrzyżowałem ramiona,



odwróciłem się i oparty o ladę zacząłem przesuwać znudzonym wzorkiem po okładkach broszurek w stojaku naprzeciwko. Ubezpieczenie komunikacyjne. Ubezpieczenie domu. Ubezpieczenie ulubionego zwierzęcia, ubezpieczenie podróże i na życie. Internet szerokopasmowy i telefon komórkowy na kartę. Karta bankowa i kredytowa. Wróciłem myślą do czasów, kiedy w supermarketach sprzedawano po prostu artykuły spożywcze; kiedy bochenek chleba był bochenkiem chleba, a fasolka oznaczała wyłącznie Heinza. Czasy, gdy w piątek po południu podążałem posłusznie za matką po fluorescencyjnym labiryncie płytek ułożonych w szachownicę i białych zamrażarek, z nadzieją, że zostanę nagrodzony batonem i...

- Witam. Pomóc przy pakowaniu?

Kryło się coś w tym głosie, coś tak nieuchwytnego, że owa zagadkowość nie pozwoliła mi się odwrócić, przykuwając do miejsca, nawet gdy wrażenie przeminęło.

- Hej! - Maskowane teraz przez szeroki uśmiech, drażniącą melodię. - Halo! Pobudka! Tu jestem!

Czułem, jak to te oczy łaskoczą mnie w kark i podnoszą włoski na skórze, nim odwróciłem się niezgrabnie, żeby w nie spojrzeć.

Niebieskie, zielone i akwamarynowe, niczym kałuże benzyny w blasku słońca. Oczy, które sprawiają, że mężczyźni tacy jak ja wpadają na ścianę i rozlewają herbatę.

Miałem wrażenie, że mój kręgosłup na wysokości krzyża związa się w drgający, mrowiący węzeł.

- Witam - rzuciłem skrzekliwie. - Nie, dzięki, jestem dość biegły w sztuce pakowania.

Caroline zasznurowała wargi i zmrzyła te swoje budzące strach oczy. Przyglądała mi się przez ułamek sekundy z intensywnością polującej pantery, potem jej twarz złagodniała za sprawą pełnego zakłopotania uśmiechu.

- Nie będę już o nic pytać.

- Przepraszam, to była długa noc. Jestem bardzo zmęczony. - Suche, nienatłuszczone palce zmagaly się ze śliskimi woreczkami foliowymi. Znów czułem narastającą frustrację, kiedy chwyciłem je i próbowałem bezskutecznie poradzić sobie z nimi.

- Wiem. Ja też. - Zgarnęła z ramion kaskadę ciemnych blond włosów i za pomocą prostej czarnej opaski na rękę związała je w niestaranny ogon.

Kiedy to robiła, pod jej brodę podjechała plakietka z imieniem. Widniało na niej „Rachel. Mogę pomóc?”. Uchwyciła moje spojrzenie i dała do zrozumienia jakąś cząstką uśmiechu, że wie, iż przez całą noc odczytywałem imię „Caroline” w tylnych światłach wozów.

Miałem w tym momencie nadzieję, gdy szykowała się do przesuwania nad czytnikiem mojej żalostnej zbieraniny beznamiętnych wiktuałów, że będzie to robić na ślepo, nie zadając sobie trudu odczytywania etykietek; że nie zamierza mnie oceniać po liście zakupów. Niestety, skupiałem jej uwagę bez reszty.

- Wie pan co? Przyjemnie spotkać dla odmiany roślinożercę, który nie jest błądy ani chudy.

Uśmiechnąłem się, wmawiając sobie absurdalnie, że jest to większy komplement niż w rzeczywistości. Rzecz irytująca, jedzenie sunęło w moją stronę w dużych ilościach, a ja wciąż nie miałem w co go włożyć.

- Szczerze mówiąc, przyda mi się pomoc.

- Proszę...

Zsunęła się z wdziękiem z krzesła i sięgnęła nad ladą. Jej prosta biała bluzka napięta się na skromnym biuście, rękawy podjechały do góry, odsłaniając niewyraźne ślady symetrycznych blizn zdobiących nadgarstki po wewnętrznej stronie. Rozdzielanie i otwieranie reklamówek szło jej szybko i skutecznie, choć rozkojarzony zwinnym ruchem jej bioder, pechowo nie zdążyłem przeanalizować stosowanej przez nią metody.

- Nie nauczy się pan, patrząc tylko - zauważyła, by najprawdopodobniej dać mi do zrozumienia, że potrafi czytać w moim umyśle, choć w której jego części, nie bardzo wiedziałem. - Nie jest pan dogmatykiem, prawda? - zauważyła, unosząc brwi nad trzymanym w dłoni filetem z dorsza. - Najwyraźniej brakuje panu białego mięsa.

- Owszem - przyznałem. - Folguję sobie mniej więcej co dwa dni.

- No cóż, wszyscy potrzebujemy przynajmniej jednej wady. Nikt nie jest doskonały.

Mój wzrok spoczął na luźnych, ruchliwych mankietach jej bluzki, kiedy przerzucała z jednej dłoni do drugiej steki z tuńczyka i chrupki ziemniaczane.

- Nie wiem - odparłem. - Może doskonałość wyraża się właśnie poprzez skazy.

Jej dłonie zadrżały w tym momencie prawie niedostrzegalnie; przez chwilę

krótką jak mgnienie oka walczyła z pokusą, by obciągnąć rękawy. Zarumieniła się odrobinę, a spojrzenie jej oczu wwierciło się w moje, chcąc je odciągnąć od drzwi wiodących do jej samoświadomości.

- To znaczy? - rzuciła z wyzywającym uśmiechem.

- No cóż, proszę spojrzeć na to nieco inaczej - odparłem. - Niektórzy kolekcjonerzy interesują się tylko rzeczami, które są nowe, prosto z fabryki, w oryginalnym opakowaniu. Jeśli coś wygląda tak, jakby miało w sobie trochę przeszłego życia, traci dla nich wartość. Jednak inni ludzie uważają, że jakiś przedmiot jest więcej wart, jeśli był użytkowany w celach, dla których go zaprojektowano, tak więc znaczek powinien znajdować się na kopercie i być wysłany gdzieś daleko. Komiks ma być czytany i sprawiać radość, a nie spoczywać w ochronnym opakowaniu, by nikt go nigdy nie otworzył. Stary wóz wyścigowy powinien być brudny i nosić ślady zadrapań przypominających blizny. - Żadnego nacisku na słowo „blizny”. - Tak samo jest z ludźmi. Jak pani myśli, ile czasu chciałaby pani spędzić z Barbie i Kenem? Coś, co jest mdłe, z definicji nie przynosi zadowolenia.

Skinęła nieznacznie głową i podała mi moje śliwki.

- Tak więc - powiedziała, kiedy już podliczyła wszystko i obróciła ekran z widniejącą na nim sumą, żeby zobaczyć koszmarny wyłom w swoim budzecie - co właściwie pan kolekcjonuje? To znaczy prócz mrożonych ryb.

Nie powtórzę tego, co powiedziałem. Wystarczy nadmienić, że milczenie, które zapadło, było tak niezręczne, iż mogłem równie dobrze wyznać jej prawdę.

Była punkt szósta, kiedy zmęczony zatrzasnąłem drzwi transita, zamknąłem pilotem drzwi garażu i zaciągnąłem do domu sześć reklamówek pełnych flory i ryb. W uszach wciąż mi rozbrzmiewał melodyjny, niemal hipnotyczny dźwięk głosu Caroline/Rachel, umysł bezustannie odtwarzał naszą rozmowę. Nic o niej nie wiedziałem, jednak w jakiś sposób wiedziałem wszystko, co trzeba. Wiedziałem, że nasza rozmowa nie dobiegła jeszcze końca.

Ogarnął mnie niebywały spokój, gdy robiłem miejsce w zamrażarce w spiżarni, między kawałkami wołowiny ekstra i kelnerki z Hungry Horse.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Przyrządziłem późne śniadanie z wędzonego łososia i jajecznicy, wyobrażając sobie, że Caroline-albo-prawdopodobnie-Rachel podaje mi każdy składnik i narzędzie kuchenne, którego akurat potrzebowałem. Zaprezentowałem rezultaty Erice, wraz z filiżanką świeżej parującej kawy. Rzuciła nią we mnie.

Kiedy już przykułem ją do podłogi i posprzątałem bałagan, przyniosłem jej pudełko ciasteczek z płatków ryżowych i karton mleka. Tym też we mnie rzuciła. Ponieważ jednak zwartość opakowań nie wydostała się na zewnątrz, zostawiłem je tam, gdzie upadły. Postawiłem obok plastikową miseczkę z łyżeczką i na tym zakończyłem sprawę.

Dałem jej godzinę, żeby się ogarnęła, potem wróciłem do garażu, żeby wyciągnąć z furgonetki dziwkę. Oczywiście wciąż znajdowała się tam, gdzie ją zostawiłem, rozciągnięta jak hamak pod sufitem; skrupowana nylonową taśmą alpinistyczną o szerokości dziesięciu centymetrów i zawieszona z rozpostartymi rękami i nogami, miała niewielkie szanse, by się wyswobodzić. Zaskoczyło mnie jednak to, że zdołała zasnąć. Nie poruszyła się, nawet kiedy przewiązywałem jej oczy. Dopiero gdy uwolniłem jej ręce i nogi i postawiłem pionowo, zaczęła wierzgać i drapać jak kot w kąpieli. Rzecz jasna, nie chciała już iść ze mną po dobroci dokądkolwiek, więc musiałem dosłownie zrzucić ją ze schodów.

Erica przyjęła nową towarzyszkę w celi z radosnym uniesieniem i jednocześnie pogardą. Choć co dwie głowy, to nie jedna, najwyraźniej nie cieszyła jej perspektywa odsiadki z krwawiącą i rozwrzeszczaną wiedźmą.

Dziwka powiedziała mi, że ma na imię Kerry. Z drugiej strony zapewniała, że jest pod każdym względem czysta, czemu przeczyły zarówno jej profesja, jak i ślady po igłach.

Zgarnąłem ją półtora kilometra od domu Jeremy'ego, ulegając głupiemu impulsowi, którego od razu pożałowałem, a który zrodził się z czystej adrenaliny i uparcie złośliwej potrzeby schwywania czegoś, by się tak wyrazić. Skierowała mnie na odległy parking rekreacyjny po południowej stronie miasta i zdradzała ogromną chęć, by znaleźć się w tylnej części

furgonetki, gdzie fałszywa obietnica materacy i poduszek pozwoliłaby zapomnieć z ulgą o lewarku biegów wbijającym się raz za razem w mostek.

Powód, dla którego do tej chwili nie zadawałem się z paniami nocy, był w skrócie następujący: to zbyt łatwe. Gra dobra dla impotentów i facetów moczących się w łóżko. Te kobiety czekają w kolejce, żeby wskoczyć człowiekowi do samochodu, na litość boską. Co więcej, wręcz oczekują, że zabierze się je w jakieś ciemne miejsce. A to, że narażają się z całym dobrodziejstwem wolnej woli, sprawia, że ich usługę zarzynanie wydaje się tym bardziej tchórzliwe.

Jakby nie był to wystarczający powód, bym żałował chwilowego braku samokontroli, Kerry miała dostarczyć mi jeszcze innych i tym samym dać do myślenia.

Przez pierwsze minuty spędzone w klatce, nawet bez opaski na oczach, Kerry wydawała się nieświadoma obecności Eriki. Rzuciła się na drzwi, wrzeszcząc coś niezrozumiale i szarpiąc siatkę. Kiedy już straciła oddech wraz z paznokciami, zaczęła zawodzić płacliwie, że jej dzieci zostały same w domu, a licznik prądu na monety jest pusty. Odparłem, że gdyby Kerry przypomniała sobie poprzedniego wieczoru o obowiązkach rodzicielskich, zamiast proponować mi fellatio na parkingu, to zdołałaby uniknąć niekorzystnej sytuacji rodzinnej.

Erica natomiast była dziwnie przygaszona. Siedziała w kucki na łóżku, obserwując to odziane w skórzaną spódniczkę zwierzę z obtartymi kolanami i ociekającymi krwią opuszkami palców, wyjące i plujące na swego dręczyciela, który stał zaledwie kilka centymetrów dalej po drugiej stronie drzwi.

- Ty draniu - powiedziała tylko.

Kerry obróciła się wtedy gwałtownie i straciła równowagę. Podpełzła na czworakach w kąt klatki i zwinęła się w kłębek, wlepiając w Ericę pełne strachu spojrzenie.

- A ty co, zakładasz pieprzone zoo? - Na twarzy Eriki, gdy wskazywała gniewnym kciukiem łkającą, skuloną prostytutkę, malowało się święte oburzenie. - Chyba żartujesz, kurwa?

Nie pojmując w pełni pytania, postanowiłem nie odpowiadać.

O osiemnastej wróciłem do piwnicy z dwoma talerzami tuńczyka

i zapiekanką makaronową. Dziwka nie ruszyła się z kąta; wciąż drżała i jęczała.

Erica powróciła na łóżko i patrzyła bez słowa w sufit klatki, kiedy postawiłem kolację na podłodze.

- Nie zjem tego - oświadczyła.

Nie byłem zaskoczony.

- Co znowu, nie jadasz ryb?

- Oczywiście, że jadam ryby. Nie zjem po prostu niczego, co przyrządziłeś.

- Wspaniale, więc teraz nie ma mowy o mięsie i czymkolwiek gotowanym, tak?

- Kto w ogóle wspominał o mięsie?

- Ty, wczoraj.

- Nie. - Westchnęła. - Chodziło mi o to, że nie zjem żadnego mięsa, które mi dasz. Nie chcę, żebyś to ty je przyrządzał. Wiem, co z ciebie za typ.

Czarujący, elegancki, przystojny? Nie o to jej pewnie chodziło.

- Masz pojęcie, ile wysiłku kosztowało mnie wczoraj wieczorem, by odpowiednio cię obsłużyć? Chcesz, żebym zatrudnił szefa kuchni? Co ty sobie wyobrażasz, że to Savoy?

- Zawsze jest wyjście. Pozwolić, żebym zagłodziła się na śmierć - powiedziała. - I owszem, wiem, jak bardzo się wysilałeś wczoraj wieczorem, i nie jestem pod kurewskim wrażeniem.

Ani na chwilę nie oderwała spojrzenia od sufitu klatki.

Erica nie cisnęła we mnie zapiekanką, ale też jej nie zjadła, co stwierdziłem nazajutrz rano. Wszystko wskazywało na to, że nie ruszyła się z łóżka.

Kerry przedstawiała sobą inny obraz. Zdołała zsikać się metr od ubikacji i najwidoczniej stanęła w kałuży. Kiedy się pojawiłem, wciąż chodziła tam i z powrotem, zostawiając mokre ślady. Musiałem użyć groźby obcięcia jej kilku palców, by zechciała wziąć mopa.

Wieczorem, gdy Erica od czasu swego przybycia nie zjadła nic poza ciasteczkami ryżowymi, wziąłem z kuchni kuchenkę mikrofalową i dostarczyłem na dół. Ponieważ użyłem jej w ciągu trzech lat zaledwie dwa razy, wydawało się to najprostszym wyjściem z sytuacji, jeśli nie chciałem borykać się ze słabą i wygłodniałą Ericą.

Tym razem zastałem je razem; Erica obejmowała opiekuńczo dziwkę, uspokajała ją i głaskała po włosach, gdy ta leżała skulona na macie, drżąc od stóp do głów. Bełkot Kerry był ledwie zrozumiały i dotyczył chęci spożycia jakiegoś „towaru”. Sytuacja rodzinna zeszała na plan dalszy.

Nie chcąc zakłócać tej pełnej czułości chwili, zostawiłem im dwie porcje mikrofalowego strogonowa z grzybami i poszedłem przygotować kąpiel.

W poniedziałek rano pojawiły się pierwsze oznaki dysharmonii.

Narkomanka nie przestała zawodzić i zaczęła z upodobaniem wić się po gumowej podłodze niczym zbolaty wąż. Pot lał się z niej obficie, rozprawiała go po macie rękami i nogami, zostawiając ślad, który można określić tylko i wyłącznie mianem wilgotnego orła.

Teraz z kolei Erica zaczęła krążyć tam i z powrotem, zaciskając zęby i obejmując się ramionami. Odwróciła się w moją stronę, kiedy wszedłem. Nienawiść w jej oczach zniknęła pod zasłoną pełnej udręczenia rozpacz.

- Musisz ją stąd zabrać - oznajmiła błagalnym tonem. - Jest chora, powinna iść do lekarza. Ten dźwięk mąci mi w pieprzonej głowie.

Wycelowała w tym momencie oskarżycielskim palcem; w jej przypadku nie był to jakiś szczególny gest, ale jego kierunek sprawił, że uniosłem zaskoczony brwi. Wskazywała nie mnie, lecz wijącą się dziwkę na podłodze.

Rozumiałem, o co jej chodzi. Wystarczyło, bym oglądał Kerry zaledwie przez kilka minut, a mnie również zaczynała działać na nerwy. Była to jednakże tylko chwilowa niedogodność.

- Zniknie stąd przed weekendem - obiecałem.

- Przed weekendem? - Erica popatrzyła na mnie z odrobiną niedowierzania. - Jaja sobie robisz? Myślisz, że wiem, jaki jest dzisiaj pieprzony dzień? Nie mam pojęcia, czy siedzę tu od dwudziestu czterech godzin, od tygodnia czy od pieprzonego miesiąca. Nie wiem nawet, jak długo ona tu siedzi. Co, kurwa, znaczy weekend?

Ach, co tam, do diabła.

- No cóż, dzisiaj jest pieprzony poniedziałek i właśnie minęła pieprzona osiemnasta dziesiąta. Z tą pieprzoną irytującą istotą będziesz miała pieprzony spokój już o dziesiątej rano w pieprzoną sobotę. Zakładając, że powściągniesz swój pieprzony język, który zaczyna się już trochę strzępić.

Jak było do przewidzenia, kazała mi się pieprzyć.

Specjalnie zbudowałem piwnicę pod garażem, a nie pod domem, żebym nie czuł się w obowiązku biegać przy każdej przerwie na reklamę na dół i sprawdzać, co się dzieje. Lubię zachowywać niejaki dystans między odpoczynkiem a rekreacją. Uznałem jednak, że rozwój obecnej sytuacji jest dziwnie fascynujący, tak więc we wtorek skoczyłem do miasta i nabyłem kamerę do telewizji przemysłowej.

Erica znów czule kołysała roztrzęsioną dziwkę, kiedy zabrałem się do instalowania kamery nad drzwiami piwnicy.

- Po co to robisz? - spytała, gdy balansowałem na szczycie drabiny, zmagając się z przewodem elektrycznym i kablem koncentrycznym.

- Żeby was pilnować i mieć pewność, że wszystko z wami w porządku - wyjaśniłem.

- Akurat. - Popatrzyła spode łba. - Jakbyś nie dość naruszył nasze prawa, to jeszcze musisz na nas patrzeć, jak się załatwiamy, co?

Nie przyszło mi to w gruncie rzeczy do głowy.

- Erico, nie zamierzam obserwować żadnej z was na ubikacji. A gdybym zamierzał, to mógłbym zobaczyć znacznie więcej, jeślibym stanął obok ciebie, więc biorąc wszystko pod uwagę, nie przejmowałbym się tym zbyt na twoim miejscu.

- Dokąd Kerry pojedzie w weekend?

- Nie twoja sprawa. Jeśli Kerry chce wiedzieć, to Kerry może spytać, kiedy już przestanie ślinić się jak niemowlak.

- Co zamierzasz z nią zrobić?

- Posłuchaj... - Cztery śrubki, które trzymałem między zębami, wypadły mi z ust i objając się dźwięcznie o stopnie drabiny, rozsypały po podłodze. - Cholera, zobacz, co narobiłaś.

- Ja narobiłam? Jestem tutaj, zamknięta w tej pieprzonej klatce.

Moja twarz wyrażała przez moment przygasającą cierpliwość.

- Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić?

Wydawało się, że zrozumiała aluzję. Rozglądała się chwilę wokół siebie głęboko zamyślona, potem jej wzrok spoczął na podrygującym ludzkim wraku w jej objęciach.

- Tak - odparła w końcu. - Przydałoby się nam mydło.

Dopiero o pierwszej nad ranem uporałem się z instalacją kabla, co wymagało między innymi przewiercenia i wypełnienia dwóch ścian i sufitu.



Nim się zorientowałem, jak doprowadzić sygnał do telewizora, była prawie druga, nie dziwi więc, że oba obiekty spały. Erica nie zniżyła się jeszcze do tego, by użyć miejsca w łóżku, więc leżała sobie wygodnie. Rzuciła jednak Kerry koc.

Włączyłem podgląd w środę przy śniadaniu i stwierdziłem, że obie już nie śpią. Sądząc po zachowaniu Eriki, odniosłem nieodparte wrażenie, że głód narkotyczny dziwki przebudził się jako pierwszy. Nie było żadnej rozmowy, żadnego dźwięku prócz cichego, chrapliwego kwilenia. Po trzech minutach bezruchu Erica zsunęła się z łóżka i podeszła do ubikacji, po czym obróciła się i spojrzała gniewnie w obiektyw kamery. Machnęła znacząco, wskazała klozet i zakryła sobie teatralnym gestem oczy, by po chwili zrobić krok w tył i wsunąć sobie kciuki pod gumkę majtek. Przełączyłem odbiór na poranny program BBC i zjadłem grzanekę.

We środę wieczorem tulenie i kołysanie były już historią. Po odmowie spożycia kolacji składającej się z makaronu tagliatelle z grzybami, Erica wróciła do łóżka, by wpatrywać się milcząco w sufit, podczas gdy narkomanka wymiotowała i krążyła po klatce, drapiąc się po rękach połamanymi paznokciami. Nie był to inspirujący widok, więc wkrótce skupiłem uwagę na sudoku w gazecie. Coraz rzadziej zerkałem na ekran i około dziesiątej sięgnąłem po pilota, żałując czasu i pieniędzy zmarnowanych na tak ubogie źródło rozrywki. I wtedy, tłumiąc ziewnięcie, gotów wyłączyć odbiornik, stałem się świadkiem czegoś, co jak wyczuwałem, miało mnie prześladować.

Bez ruchu, bez mrugnięcia, powiedziała tak cicho i spokojnie, że zaledwie kilka sekund wcześniej słyszałbym tylko szelest swojej gazety.

- Jeśli za pięć sekund nie usiądziesz i się nie przymkniesz, suko, to przyjdę do ciebie i cię zabiję, kurwa.

Erica zaczęła się łamać.

We czwartek o szóstej dwadzieścia trzy Erica przygotowała łaskawie swej koleżance z celi miseczkę płatków śniadaniowych, wykorzystując świeże mleko, które wcześniej dostarczyłem. Kerry zdradzała oznaki ospałości i zubożenia i o szóstej czterdzieści sześć musiała być karmiona łyżeczką.

O dziewiątej czterdzieści dwie Kerry dostała ataku niekontrolowanego drżenia, któremu towarzyszył głośny, dławiący szloch. Erica, nie tracąc

czasu, dała jej mocno w twarz i kazała wziąć się w garść.

O trzynastej trzydzieści dziewięć incydent się powtórzył, choć tym razem Kerry dostała dwa razy, co zapoczątkowało okres intensywnego płaczu. Po dwunastu minutach dziwka została uciszona szybkim kopniakiem w brzuch.

O trzynastej pięćdziesiąt dziewięć Erica usiadła na brzegu łóżka z głową w dłoniach i płakała bezgłośnie przez kilka minut, nim zawiodła samą siebie, mówiąc:

- Kerry, przepraszam, nie chciałam ci zrobić krzywdy.

Przyprawilo to Kerry o jeszcze gwałtowniejszy szloch.

O osiemnastej dwie, gdy pozbawione incydentów popołudnie minęło, zszedłem do piwnicy, gdzie powitał mnie typowy obecnie widok: Erica w pozycji horyzontalnej ze wzrokiem skierowanym ku górze, Kerry zwinięta w drgającą niedużą kulę. Żadna nie odezwała się do mnie słowem.

Czwartkowy wieczór upłynął bez dalszych niespodzianek i obie, Erica i Kerry, spały o dziesiątej jak kamień. Jednak piątkowy świt przyniósł kłopotliwą zmianę sytuacji. Histeryczna dziwka nie obudziła się.

O szóstej jej miejsce zajął cichy, nieruchomy ptak drapieżny o stalowych oczach. Kucała przy ścianie klatki, obserwując w milczeniu Ericę, gdy ta mruknęła i poruszyła się, a potem zwlokła z łóżka i ruszyła od razu w stronę ubikacji. Posmarowałem grzanek masłem.

Erica patrzyła na Kerry zaspanymi oczami, zastanawiając się tylko przez ułamek sekundy, nim wzruszyła ramionami i wzięła do ręki paczkę płatków śniadaniowych.

- Gdzie twoja miska? - spytała, ziewając.

- Już jadłam.

Płaski, agresywny ton sprawił, że Erica znieruchomiała tym razem na dłużej. W końcu podeszła do Kerry, ukłękła przy niej i nachyliła się odrobinę za blisko.

- Dobrze się czujesz? - spytała z nutą szczerzej troski w głosie. - Wyglądasz trochę... dziwnie.

Kerry nie czekała tym razem na cios. W mgnieniu oka zakrzywiła palce prawej dłoni i wykonała błyskawiczny ruch wyszczerbionymi, popękanyimi paznokciami, zostawiając trzy paskudne szramy na policzku Eriki.

- Odwal się ode mnie, suko - warknęła, podnosząc się z ziemi.

Erica rzuciła się do tyłu, pudełko wypadło jej z dłoni, ryżowe płatki

rozsywały się po podłodze.

- Jezu! - sapnęła, kopiąc w gumową matę i czołgając się w stronę łóżka, żeby wesprzeć się na metalowej ramie. - Co to, kurwa, było?

- Jesteś samolubną, zarozumiałą wredzioczą. Chce mi się rzygać na twój widok.

Kerry zaczęła krążyć, jej wlepione w Ericę oczy przypominały rozpalone do czerwoności igły.

- Och, dobre sobie. - Erica przycisnęła dłoń do policzka. Spomiędzy jej palców wypływała krew i spadała na jej nagie stopy. - Masz szczęście, że jeszcze oddychasz, dziewczyno.

- Ach tak? - Sierść zjeżona na całego, oczy rozwarłe, policzki w czerwieni. No, zaczyna się. - Ja cię, kurwa...

Dopadła Eriki w jednej chwili, zwalając ją z nóg i przygniatając ciężarem ciała. Erica, machając wściekle rękami, chwyciła rywalkę za włosy, odciągnęła głowę Kerry, a potem walnęła nią z całej siły o swoje czoło. Błysnęły pazury i kły.

Byłem tam w ciągu minuty.

- Dosyć! - wrzasnąłem, otwierając drzwi klatki.

Chwyciłem Ericę za szyję i ściągnąłem ją z rozciągniętej teraz na podłodze dziwki. A potem, bez wahania, wziąłem ją za ramię i wywlokłem z klatki.

Erica nie próbowała się wyrwać, kiedy prowadziłem ją w bieliźnie po śliskim od szronu zwirowanym podjeździe. Weszła posłusznie do domu, popatrzyła na mnie pytająco i ruszyła w milczeniu po schodach do łazienki.

Usiadła na brzegu wanny, podczas gdy ja nasączyłem wacik środkiem odkażającym. Kiedy przyłożyłem go do jej policzka, nie wydała żadnego dźwięku, sapnęła tylko gwałtownie. Okazała cierpliwość, gdy wycierałem krew i przykładałem gazę, a potem zabezpieczyłem ją opatrunkiem i plastrem. Obrzuciwszy wannę przelotnym i tęsknym spojrzeniem, podążyła za mną posłusznie do piwnicy. Niosła nawet etorfinę.

Kerry uchwyciła wyzywające spojrzenie Eriki, gdy znów się zeszyły w klatce. Przestała krążyć nerwowo.

- Wiesz oczywiście, że do weekendu został jeszcze jeden dzień? - Erica podała mi małą buteleczkę i strzykawkę, po czym usadowiła się na swoim ulubionym miejscu na brzegu łóżka.

Kerry cofnęła się w przeciwległy kąt klatki, a jej zakrwawiona twarz zaczęła zdradzać z wolna świadomość bliskiego losu.

- Chyba żartujesz. - O dziwo, roześmiała się.

Nie musiałem nic mówić. Erica zarzuciła włosy na ramiona, skrzyżowała kolana i uśmiechnęła się do skazanej na zgubę dziwki.

- Wygląda na to, że to twój szczęśliwy dzień, Kerry - oznajmiła kpiąco. - Chyba czeka cię mała zabawa. - Potem obrzuciła mnie tak władczym spojrzeniem, że znieruchomiałem. - A ty, jak już z nią skończysz, możesz mi kupić trochę pieprzonych majtek. Lepiej się od brudu.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Nie spodziewałem się, że ktoś zapuka do drzwi o tak wczesnej porze. A nawet gdyby, to z pewnością nie przypuszczałbym, że chodzi o parę niezajomych po trzydziestce w ubraniach z poliestru. Rzadko miewam gości.

Stała krok za nim, oboje trzymali złączone dłonie za plecami. Ich stroje były identyczne - granatowe, dwurzędowe, zdradzające oznaki zużycia - choć on nie nosił wąskiej spódnicy. Ta, którą ona nosiła, sięgała poniżej kolan, pozwalając dostrzec wyćwiczone łydki w czarnych przezroczystych rajstopach, które znikwały w trzeźwych sznurowanych butach zakrywających kostki. Miała śniadą twarz o egzotycznych rysach i kruczoczarne włosy zawiązane w rzeczowy kok. Turczynka? Może Iranka.

Jej towarzysz stał w odległości kilku centymetrów od progu, nieprawdopodobnie duże stopy trzymał złączone. Twarz z cieniem zarostu i obowiązkowym półuśmiechem.

Już byłem bliski tego, by zakwalifikować ich jako świadków Jehowy, ale dostrzegłem dużego forda na podjeździe. Niebieski kolor, antena biczowa i felgi zabezpieczone kablem. A potem potwierdzałem tożsamość czarnemu skórczanemu portfelowi, otwartemu tuż przed moim nosem i zabranemu zbyt szybko, bym mógł skupić na nim wzrok. Tak naprawdę nie musiałem tego robić.

- Jestem inspektor Fairey, wydział kryminalny.

Cholera. Naprawdę - cholera. Cholera, cholera, cholera. Nie drgnij. Cokolwiek zamierzasz zrobić, nie mruż oczu. Ręce trzymaj nieruchomo. Patrz mu prosto w twarz. Uśmiechaj się. Nie, nie tak - uśmiechaj się serdecznie.

- To sierżant Green. - Obrzucił ją nieokreślonym spojrzeniem. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Jej nazwisko też nie brzmiało turecko. Mimo wszystko uśmiechnąłem się do niej. - Chcielibyśmy zadać panu kilka pytań, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Szczerze mówiąc, mam.

- Oczywiście, że nie. - Dosyć, przestań się uśmiechać. Robisz to nieszczercze. - W czym mogę pomóc?

Podniósł jedną z tych swoich śmiesznych stóp godnych klauna i wsunął ją zdecydowanym ruchem za próg.

- Możemy wejść?

Już wszedłeś, kurwa.

- Chyba tak. - Stałem nieruchomo jak skała. - To nie potrwa długo? Mam akurat coś do zrobienia.

Tym razem to on uśmiechnął się nieszczerze.

- Jestem pewien, że potrwa to tylko chwilę.

Skinął głową. I stał tylko. Patrząc. Kiwając głową. Zastanawiałem się, jak długo zamierza tak stać, ruszając łepetyną niczym plastikowy pies na tylnej półce samochodu, z uśmiechem przechodzącym w grymas, czekając grzecznie, aż odsunę się na bok. Minutę? Dwie? Może pięć? Miałem obstawiać?

Nie za bardzo. Powiedziałem mu „w porządku” i wskazałem hol. Wtedy wszedł do domu, patrząc na mnie wyzywająco. Ta, która nazywała się Green, pochyliła głowę i ruszyła za nim w milczeniu. Nie zamknąłem drzwi.

- Ładny dom - zauważył Fairey, przesuwając wzrokiem po pustych ścianach holu wejściowego. Najwidoczniej był wyjątkowo biegły w sztuce niezobowiązującej rozmowy.

Zaprowadziłem go do kuchni i wskazałem krzesło przy stole. Wysunąłem jedno dla Green, traktując ją nieco lepiej.

- Więc, panie Fairey... proszę się rozgościć. O co dokładnie chciałby mnie pan spytać?

- Pостоję - odparł obcesowo. Przyglądał mi się przez chwilę z tym uporczywym uśmieszkiem, w którym dostrzegałem odrobinę dwuznaczności. Miałem nadzieję, że czeka po prostu, bym zaproponował mu filiżankę herbaty, choć jeśli chciał czegokolwiek, to musiałby bardzo długo czekać. W końcu się odezwał: - Jesteśmy tu, ponieważ prowadzimy śledztwo w sprawie zniknięcia Kerry Farrow.

Sufit runął. Naczynia pospadały z półek i roztrzaskały się na podłodze. Deski pod moimi stopami zaczęły falować, pozbawiając mnie równowagi. Skronie rozsadało pulsowanie krwi, w oczach tańczyły białe plamki światła zgodnie ze *staccato* w mojej głowie. Czułem, jak pocą mi się dłonie, a źrenice rozszerzają. Powstał mi każdy włoszek na ciele. Okna zadrżały. Drzwi wyleciały z zawiasów. Wyciągnąłem rękę, by się czegoś przytrzymać,

ale moje palce chwyciły tylko powietrze, to samo powietrze, które dobywało się ze mnie ze świstem, jakbym dostał kopniaka w brzuch.

To właśnie następny powód, dla którego trzymam się z dala od dziwek: zawsze znajdzie się jakaś świętoszka w dzierganym sweterku, która działa w Towarzystwie Pomocy Prostytkom i spisuje numery rejestracyjne ich klientów. Dziesiątki lat bez jednej wpadki i nagle pogrąża mnie niepotrzebny kaprys w chwili słabości. Historia stara jak świat, jedna z tych rzeczy, które zawsze przytrafiają się innym. Kurwa, ale ze mnie idiota.

Broń. Mogę ją dorwać, żaden problem. Nim ten Fairey zdoła przebiec kuchnię, otworzę jednym ruchem szafkę, odsunę na bok środek do czyszczenia piecyków i torebki z fasolą i po chwili będzie patrzył wprost w lufę kalibru dwanaście szeroko otwartymi oczami, próbując pokręcić głową, próbując sformułować słowo „nie” skołowaciałym językiem i spękanymi wargami, podczas gdy jego umysł spowiją chmury przerażenia, rozpacz i myśli o pulchnej żonie, gruchających dzieciach i wszystkim, czego im nie powiedział, wychodząc dziś do pracy. A jego współtowarzyszka zdąży zerwać się na równe nogi, by oberwać w twarz krwią, kawałkami czaszki i mózgu, i podniesie ręce, chcąc zakryć oczy, i wyda z siebie przeraźliwy krzyk strachu i zdumienia, i potknie się o krzesło, uciekając w stronę drzwi, a ja postawię stopę na jej szyi, kiedy będzie leżała na podłodze jak długa, i spojrzę na mnie jak oszołomiony królik, oddychając płytko i spazmatycznie, i będzie łkać „błagam, nie”, a ja pomyślę o podłodze i o tym, ile będzie kosztowała naprawa, i może nawet pozwolę jej wstać. Może nawet podniosę ją i zaprowadzę na pola za domem, gdzie górna warstwa gleby jest luźna i nie ujawnią się na niej żadne plamy. Może nawet pozwolę jej pobiec do samochodu i przekonam się, czy te jej wygodne buty dają jakąś praktyczną przewagę. Albo do diabła z podłogą, mogę przed zapadnięciem nocy być w Belgradzie.

Okay, oddychaj. Spokojnie. Przemyśl wszystko. To tylko para ludzi, w dodatku trutni. Cokolwiek podejrzewają, oznacza to jedynie, że podejrzewają. Z dachu nie zjeżdża na linach oddział uzbrojony w automaty. Nikt nie wywala kopniakami drzwi ani nie wpada przez okna, tłukąc szyby. Nie mają nic konkretnego. To tylko mężczyzna w tanim garniturze i z wielkimi pieprzonymi stopami, zadający jedno proste pytanie. Na litość boską, jeszcze go nawet nie zadał. A jeśli trudno będzie na nie odpowiedzieć,

to zawsze jest dość miejsca dla nich dwojga pod stodołą.

Zachowaj spokój. Uśmiechaj się. Żadnych gwałtownych ruchów. Może unieś brew, jakbyś słuchał uważnie. Którą? Prawą. Nie, tę drugą. No dobra, pieprzony klaunie. Jestem gotów.

- I sądzimy, że jest pan ważnym świadkiem.

Och.

- Jest pan właścicielem białego forda transita - poinformował mnie, i było to stwierdzenie, z którym mogłem się tylko rozsądnie zgodzić. - Zarejestrowanego przez kamerę monitoringu miejskiego na Queen Street o trzeciej jedenaście nad ranem. To około stu metrów od miejsca, w którym po raz ostatni widziano Kerry.

Z pewnością okazałem się właśnie Idiotą Miesiąca, ale do dymiącej strzelby było jeszcze daleko. Fairey wyjął z kieszeni marynarki dużą odbitkę fotograficzną. Było to zdjęcie z kartoteki policyjnej, mniej więcej sprzed pół roku: Kerry nadąsana, brudna, z podkrążonymi oczami, włosy przy samej głowie ciemne, na końcówkach rozjaśnione.

- Nie jest już zrobiona na blondynkę - ciągnął Fairey. - Ale wyraz twarzy się nie zmienił. Może ją pan widział? Jak z kimś rozmawiała albo wsiadała do samochodu?

Potrzebowałem chwili, żeby pomyśleć, jak daleko mogę wywieźć Kerry w możliwie najkrótszym czasie. W końcu pokręciłem głową.

- Bardzo chciałbym pomóc - powiedziałem. - Niestety, w ogóle tej osoby nie poznaję.

Co nie było znów tak dalekie od prawdy. Zaledwie po tygodniu zmagania się z głodem narkotykowym i bijatyk w klatce nie przypominała w najmniejszym stopniu tej wiedzy na zdjęciu.

- Jest pan absolutnie pewien? - spytała Green.

Poznałem po jej oczach, że moje aktorstwo nie jest nieskazitelne. Nim jednak zdążyłem potwierdzić, Fairey rzucił jej spojrzenie, które mówiło wyraźnie i dobitnie, że to on tu zadaje pytania, co nie podlega dyskusji, a ona ma siedzieć cicho.

- Jest pan Batmanem? - zwrócił się do mnie, chowając zdjęcie do kieszeni i wyjmując z kolei notes.

- Słucham? - odparłem zdziwiony.

- Cierpi pan na bezsenność?



Green przewróciła wymownie oczami.

- Proszę przejść do rzeczy - powiedziałem, zmuszając ją, by ukryła pod dłońią ironiczny grymas ust.

Fairey uśmiechnął się łaskawie.

- Dlaczego krążył pan o trzeciej nad ranem po dzielnicy wiadomych rozrywek?

Wreszcie pytanie, na które mogłem szczerze odpowiedzieć.

- Wracalem znad wybrzeża. Spędziłem wieczór z... - Z kim? - Przyjaciółką.

Czy było to określenie odpowiadające prawdzie, czy nie, wymówiłem je głośno, a Fairey zanotował.

- Imię?

- Annie.

- Annie... - Przestał bazgrać w notesie i popatrzył na mnie wyczekująco.

- Tak - odparłem.

- Nazwisko?

- Z pewnością je miała.

- Adres. - Roześmiał się.

Wyrecytowałem go zgodnie z tym, co zdołałem zapamiętać.

- Rozumiem, że dopiero się poznaliście?

- Tak, tamtego wieczoru - wyznałem. - My... wie pan. Po prostu rozmawialiśmy.

Green odsunęła dłoń przed ust i popatrzyła na mnie z nieukrywaną konsternacją. Podobnie jak ona, nie miałem pojęcia, dlaczego to powiedziałem.

Fairey nie wydawał się jednak zaintrygowany.

- Rozumiem - oznajmił, machając lekceważąco ręką. - Może obejrzymy pańskiego transita, a potem pozwolimy panu zająć się swoimi sprawami?

Przynajmniej to drugie bardzo mi się spodobało.

Furgonetka była pusta z wyjątkiem pasów mocujących i dużego, zwyczajnego pudła kartonowego. Na wierzchu leżał złożony koc wełniany.

- Pudło z kocami - wyjaśniłem.

- Mogę? - Green zawczasu zignorowała milczące upomnienie ze strony przełożonego i wdrapała się na skrzynię transita.

- Proszę bardzo. - Uśmiechnąłem się, lokalizując w myślach widły, które wisiały na ścianie w odległości około metra za moimi plecami.

- Dziękuję - odparła. Jej gumowe podeszwy zapiszczały na stalowej podłodze skrzyni, gdy podeszła do pudła, potem zacisnęła szczęki i ostrożnie uniosła róg koca. Nie znalazłszy nic pod spodem, podniosła drugi koc, pod którym znajdował się trzeci. - Pudło z kocami. - Skinęła głową.

- A co jest tam? - spytał Fairey, wskazując na coś, co wyglądało nieomylnie jak samochód pod pokrowcem zajmujący przeciwległą stronę garażu.

Usłyszałem, jak Green trąca czubkiem buta pudło kartonowe.

- Mój samochód - odparłem i nawet w moich uszach zabrzmiało to niepotrzebnie obcesowo.

- Wygląda jak Jensen Interceptor - zauważył niezrażony.

- Celny strzał - przyznałem.

- Mogę obejrzeć?

Nie wiem, po co mnie pytał, skoro stał już po przeciwległej stronie garażu i ściągał pokrowiec, nim zdążyłem rzucić:

- Proszę się nie krępować.

Green zeskoczyła ze skrzyni transita.

- Teraz spędzimy tu cały cholerny dzień - mruknęła, niemniej jednak obrzuciła taksującym spojrzeniem poobijany bok Jensena. Całkiem słusznie nie wydawała się specjalnie poruszona widokiem zabytkowego wozu.

Ruszyłem za nią w stronę wyjścia, gdzie przystanęła i spojrzała poza dom, w stronę stodoły pośrodku pola.

- Ładnie się pan tu urządził - zauważyła. - Co jest w stodole?

- Przynajmniej warsztat, trochę drewna, łódź wyścigowa z włókna szklanego bez silnika - poinformowałem ją. - Mogę panią oprowadzić, i to za darmo.

Może nie Belgrad. Może jakieś cieplejsze miejsce, na przykład Las Palmas albo Santo Domingo.

Patrzyła jeszcze przez chwilę, wreszcie pokręciła głową.

- Wierzę panu na słowo - powiedziała, sięgając do kieszeni i wyjmując paczkę gumy do żucia. - Jeśli on skończył, to i ja.

Fairey stwierdził, że maska jest niezamknięta, i wpatrywał się osłupiały w płataninę beładnych przewodów.

- Och, niech to diabli - oznajmił.

Green i ja popatrzyliśmy wymownie na zegarki. Najwyraźniej oboje pragnęliśmy, bym został sam.

- Jeśli przypomni pan sobie coś ważnego...

- Od razu was poinformuję.

Uścisnąłem dłoń Faireya, kiedy wyprowadzałem go z garażu. Wydawała się zdecydowanie flakowata i bardzo lepka.

Skinął głową.

- I niech pan doprowadzi do porządku ten silnik w jensenie.

Zasalutowałem mu ze znużeniem, gdy ruszyli oboje w stronę swojego samochodu. Zaczekałem, aż Fairey wsunie jedną nogę do wozu, potem zawołałem:

- Właściwie to chciałbym coś powiedzieć.

Green usadowiła się na swoim fotelu i zatrzasnęła drzwi. Fairey po krótkiej chwili wahania cofnął nogę i powrócił w orbitę mojej prywatnej przestrzeni, po czym nachylił się blisko, obdarzając mnie swym zaufaniem.

- Jasne - odparł. - O co chodzi?

- Proszę oszczędzić mi kłopotu i zamknąć bramę, jak będziecie odjeżdżać, dobrze? - Uraczyłem go swym najjaśniejszym uśmiechem. - Nie chcę, żeby plątał się tu niepożądany element.

Fairey wybuchnął śmiechem.

- Bez obawy, kolego - zapewnił i wrócił do zabłoconego mondeo.

Leżąc pod czwartym kocem, Kerry nadal nie miała o niczym pojęcia.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Obudziła się na dźwięk skrzypienia bujnych zielonych sosen, które kołysały się łagodnie na tle błękitnego nieba, pięknego i czystego. Leżała na plecach w trawie otoczona przez dzikie hiacynty i uporczywy szron. Jej włosy rozsypały się, przywodząc na myśl cień aureoli. Wyglądała niemal pogodnie, gdy chłoneła wzrokiem wodę skapującą z drzew i wsłuchiwała się w ciche gruchanie leśnych gołębi. Patrzyła z senną fascynacją, jak para jej oddechu unosi się w rześkim, zimnym powietrzu. I gdy jej wzrok spoczął na mnie, podczas gdy stałem nad nią cierpliwie z zachęcającym uśmiechem, świadomość mojej obecności nie wywołała w niej przestraszenia. Uśmiechnęła się po prostu tak jak ja, po czym przeciągnęła się długo i z lubością. Prawdziwe uosobienie zadowolonej kochanki, którą kiedyś może była, obudzonej ze zmysłowego snu, by poczuć dreszcz rozkwitającego romansu i wierzyć, że jej samotność, przynajmniej chwilowo, przeminęła.

- Gdzie jesteśmy? - wymamrotała, drżąc nieznacznie. Złączyła nagie kolana i wsunęła dłonie w rękawy płaszcza, lewą w prawy, prawą w lewy.

Wytrząsnąłem herbaciane fusy z kubka i zakręciłem termos, potem wrzuciłem go do furgonetki i zamknąłem drzwi.

Na twarzy Kerry pojawiło się zdziwienie, gdy wykręciła szyję i wbiła wzrok w pobliskie knieje.

- Zabiłeś mnie? - spytała.

- Nie - odparłem.

- Nie rozumiem. Gdzie jesteśmy?

- W lesie, w miejscu znanym jako Emily's Wood.

- Okay. - Skinęła głową. - Dlaczego tak się nazywa?

- Nie wiem. - Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się tego dowiedzieć.

Zmrużyła w zamyśleniu oczy, wargi były gotowe sformułować kolejne pytanie, ale coś ją rozproszyło. Był to odległy dźwięk, zgrzytliwy i mechaniczny. Wzniósł się do *crescendo*, opadł, znowu się wzniósł; dalekie, niesamowite echo skradające się między drzewami. Przygasało, by ujawnić inny dźwięk, jeszcze słabszy, przypominający wiatr w gałęziach, a mimo to w jakiś sposób płaski i nienaturalny. Wspierając się na łokciach i nasłuchując z uwagą, spytała:

- Co to jest?

Stałem, chłonąc zmysłami odległy pomruk.

- Odgłos szosy - powiedziałem.

Na jej twarzy pojawiło się zrozumienie. Usiadła gwałtownie, wodząc wzrokiem od drzewa do drzewa, wpatrując się w ciemne miejsca między nimi. Potem przyjrzała się wąskiemu pasmu trawy, na której siedziała. Miało szerokość około dwudziestu metrów i biegło prosto jak strzała na przestrzeni mniej więcej półtora kilometra, a z obu stron napierał na nie gęsty las.

- O Jezu Chryste - sapnęła.

Innego dnia może zdobyłbym się na tę oklepaną uwagę z filmów klasy B, tę o usprawiedliwionym przypadku pomyłonej tożsamości, i powiedział: „Nie jestem Jezusem Chrystusem”, ale nie miałem na to ochoty.

Kerry zerwała się na równe nogi i obróciła na pięcie, zdradzając panikę.

- Co jest, kurwa!?! - wrzasnęła. - O mój Boże, co jest, kurwa?

- Przybyłaś tu, by umrzeć.

Odzyskała oddech i zatoczyła się w niepewnym półobrocie, kręcąc głową, jakby chciała mi zaprzeczyć.

- Prawdopodobnie - dodałem.

Zalana łzami, spjrzała na mnie, straciła oparcie w stopach i runęła na ten swój delikatny miękki zad.

- Co? - załkała.

- Wszystko zależy od ciebie - ciągnąłem. - Weźmiemy udział w grze, ty i ja. Ten dźwięk, który słyszysz, to odgłosy głównej trasy. Jeśli zdołasz się zorientować, skąd dociera, i dotrzesz tam z dwuminutową przewagą na starcie, zanim cię schwycę, puszczę cię wolno. Będziesz mogła złapać okazję albo pójść do domu na piechotę, lub sam cię podwiozę, jeśli zechcesz. - W drodze na lotnisko. - Jak wolisz.

- Gra... - Patrzyła na mnie kilka chwil, próbując najwidoczniej przyjąć do wiadomości to, co jej proponowałem. - I puścisz mnie wolno? - upewniła się.

- Tak, jeśli wygrasz. Nie ekscytuj się za bardzo, nigdy się to jeszcze nie zdarzyło. A haczyk - kontynuowałem, podnosząc ów haczyk z ziemi za moimi plecami, by mogła go zobaczyć - to ten łuk myśliwski na dużą zwierzynę. - Kerry zamariała. Nawet łyż znieruchomiały, gdy wpatrywała się w broń. - Zamierzam użyć tylko jednej strzały. Jest aluminiowa, leci z prędkością

trzystu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, więc nie radzę zatrzymywać się na papierosa. Grunt jest ciernisty i będzie ranił cię w stopy, ale musisz to wytrzymać, bo gwarantuję, że strzała sprawi ci większe cierpienie. Jeśli się nie zatrzymasz, dwie minuty dadzą ci sporą przewagę, a jeśli pobiegiesz we właściwym kierunku, istnieje duża szansa, że zdołasz dotrzeć do drogi. Wystarczająco jasne?

Skinęła z wolną głową, nie odrywając oczu od łuku.

- To jest... - pociągnęła nosem - ...pieprzony żart, tak?

Zdecydowany ruch mojej głowy powiedział jej, że nie.

- To gra - oznajmiłem.

- To nie gra, to pieprzony...

Krwawy sport? Nieważne, nie potrafiła znaleźć odpowiedniego słowa, ale jej niewzruszone spojrzenie dowodziło, że zawarliśmy układ, nawet jeśli tego sobie jeszcze nie uświadamiała.

- A jeśli nie zechcę grać? - zaryzykowała, choć oboje wiedzieliśmy, że pytanie jest retoryczne.

Dźwięk wędruje po lesie w dziwny i magiczny sposób. Skrzypiąca przyczepa w odległości trzech kilometrów i kracząca wrona w odległości dziewięciu metrów mogą często wydawać bardzo podobny odgłos. Tak więc Kerry nie miała zielonego pojęcia, w którą stronę powinna pobiec. Gdy tylko zacząłem liczyć, rzuciła się wprost ku wyraźnej ścieżce między drzewami, jak jej się zdawało.

Zgodnie z obietnicą tkwiłem w miejscu przez całe dwie minuty. Wystartowała jak oparzona i w ciągu dwudziestu sekund zniknęła z pola widzenia, ale zakładając łuk na ramię i wyruszając na łowy, wciąż słyszałem, jak przedziera się przez poszycie.

Kierunek, który obrała, nie był najłatwiejszy. Oddalone od siebie sosny po tej stronie punktu wyjściowego naszej trasy ciągnęły się na przestrzeni około sześćdziesięciu metrów, potem pojawiło się zwarte skupisko wiązów o niskich i splątanych gałęziach, a pnie oplecione były wysokimi do uda pokrzywami i kolcolistami. Niekorzystny teren dla kogoś bosego.

Początkowo tropienie Kerry nie było zbyt skomplikowanym przedsięwzięciem. Biegła tu wyraźna, sprawiająca najmniej trudności ścieżka, taka, którą z pewnością podążyłaby ofiara w stanie ślepej paniki. A im gęstsze poszycie, tym wyraźniejszy ślad zwierzyny. Kolcolisty

przecinały liczne płaskie ścieżyny, ale tylko wzdłuż jednej osty wciąż podnosiły się w widoczny sposób. Jeśli sadził tędy jakiś jelen, to deptał dziwce po piętach.

Zatrzymałem się na chwilę, by wciągnąć w nozdrza słodki, świeży aromat wilgotnych paproci. Powietrze było gęste i kojące niczym chłodny koc wełniany. Szelest i trzask towarzyszące ucieczce Kerry przygasały gdzieś w dali, pozostawiając po sobie jedynie ciszę. Odległy szum drogi nie docierał tutaj.

Ruszyłem dalej i po pięćdziesięciu krokach minąłem kilka kosmyków kasztanowych włosów zaczepionych o rozszczepioną sterczącą gałąź.

Po siedemdziesięciu pięciu krokach na cierniach pojawiły się pierwsze krople krwi.

Po stu krokach znalazłem strzęp czarnego polaru wraz z instrukcją prania, wyrwany z podszewki kurtki.

Po stu dziesięciu krokach, pośród ostów, rosy i cętkowanego blasku słońca odkryłem rzecz najbardziej podnoszącą na duchu: raptowny i całkowity kres tropu. Kerry kontynuowała grę, i to mądrzej, niż się spodziewałem.

Logika podpowiadała, żebym zawrócił i ruszył po swoich śladach. Instynkt jednakże sugerował coś innego. Posłużyłem się strzałą, by rozgarnąć paprocie na swojej drodze, i okazało się, że tak jak tego oczekiwałem, Kerry blefowała. Wzięła z rozpędu skok i pokonawszy odległość około dwóch metrów, wylądowała szczupakiem w chwastach, po czym wstała i ruszyła przed siebie, kosząc roślinność. Musiałem przyznać, że dziewczyna ma jaja.

I była szybka. Dotarłem do krańca zarośli na pełnym gazie i nigdzie nie mogłem jej dostrzec. Drzewa rosły tu w większych odstępach i sięgały wyżej, ziemię między nimi pokrywał kobierzec spadłych liści i gałęzi. Zielony okap w górze był gęstszy, światło łaciate; miałem jednak przed sobą widok na odległość dwustu metrów w promieniu stu osiemdziesięciu stopni i nic nie poruszało się w tym obrębie. Zatrzymałem się w miejscu i przykucnąłem blisko ziemi, żeby posłuchać. Panowała ciężka, nienaturalna cisza. Zwodnicza. Ofiara musiała kryć się gdzieś blisko; smakowałem w powietrzu jej krew, pot i łzy. Tkwiła nieruchomo, wstrzymując oddech, przywierając skórą do kory jakiegoś drzewa. Jelenie, wiewiórki, wrony mogły wyczuć jej strach i szydziły z niej w milczeniu, wiedząc równie dobrze jak ona, że prędzej czy później będzie musiała odetchnąć. No i było tu śmiertelnie

zimno.

Spenetrowałem wzrokiem zacienione miejsca.

- Daj sobie szansę, Kerry! - zawołałem. - Trudno zachować bezruch w tym zimnie, kiedy jesteś półnaga. Masz mocne nogi, to ci przyznaję, ale gdy tylko zaczniesz drzeć, zdradzisz się. Odznaczasz się słabą wolą, twoja wytrzymałość jest tylko fizyczna. Wykorzystaj ją, dopóki jeszcze możesz... Wciąż masz pięćdziesiąt procent szansy, że mnie przegonisz. - Przechyliłem teatralnie głowę, nasłuchując wymaginowanego odgłosu. - Och, czekaj. - Uśmiechnąłem się. - Za późno. Widzę cię.

Kłamstwo odniosło pożądany skutek. Przy akompaniamencie trzaskających gałązek wyskoczyła usłużnie z cienia poskręcanego wiązu, i to nie dalej niż piętnaście metrów ode mnie. Pochyliwszy głowę, pracując z wysiłkiem zakrwawionymi rękami, pognąła po leśnym podłożu jak ranny niedźwiedź prostopadle do miejsca, w którym się znajdowałem, ja zaś ledwie zdążyłem zdjąć z ramienia łuk. Kerry kierowała się w stronę smugi światła dziennego, połyskującej oazy odległej o jakieś sto pięćdziesiąt metrów. Ruszyłem ku temu samemu celowi, moja skośna ścieżka biegu przypominała bardziej łagodny slalom susów niż tor przeszkód czekający moją ofiarę. Przeskakiwała nad spadłymi gałęziami, potykała się o połacie pokrzyw i paproci, przemykała po paproci orlicy i liściastej ściółce. Nawet z odległości dziesięciu metrów i przy ogłuszającym hałasie pogoni słyszałem chrapliwą, zdyszana panikę w jej oddechu. Doganiając ją z łukiem na plecach, który teraz był nieledwie pomocniczym wyposażeniem, ostatnie trzy metry pokonałem nad ziemią, ręce wyciągnięte w superheroicznym geście, dłoń muskająca jej kark, palce zaciskające się na rozwianych włosach.

A potem pokonała linię drzew. Blask słońca uderzył ją jak pocisk, powalił na ziemię. Jej wymachujące ręce i nogi plasnęły o beton, naśladując mdły dźwięk spadających pomarańczy; leżała tam, mrużąc oczy przed oślepiającym światłem, podczas gdy ja tkwiłem rozciągnięty jak długi w wysokiej wilgotnej trawie tuż za granicą lasu, ściskając w garści kosmyki mokrych kasztanowych włosów. Z każdą chwilą narastał dźwięk szosy; dudnienie ciężkich osi, świst rozbryzganej posolonej wody. A potem głęboki, mrukliwy grzmot dużego silnika wysokoprężnego, bliższy i donośniejszy, wypełniający powietrze. Ziemia drżała pod jego ciężarem. Zdezorientowana



Kerry krzyknęła rozpaczliwie i z szeroko otwartymi oczami zerwała się na równe nogi, po czym rzuciła się w stronę bezpiecznego pobocza, gdy ciężarówka przetoczyła się z hukiem. Działo się to dwadzieścia pięć metrów za zagajnikiem, do którego Kerry zawędrowała.

Stała teraz nieruchomo, spoglądając w stronę drogi. Obok sunął uporczywy strumień samochodów, światło odbite od karoserii podrygiwało w odwilży i unoszącej się mgle. Odwróciła się do mnie po drugiej stronie wąskiego traktu dojazdowego, triumf widoczny na jej twarzy mieszał się z wahaniem, jakby czekała, bym jej pozwolił odwrócić się i pobiec. Otworzyła szeroko oczy, a kąciki ust wykrzywiły się w grymasie, gdy jej wzrok przesunął się po strzale. Celowałem do Kerry, gdy zatoczyła się do tyłu i odwróciła, żeby pobiec przed siebie, młócąc łokciami, z rozwianym włosiem, miękko nakreślona zimowym światłem, w zwolnionym tempie zrodzonym z napływu adrenaliny. Pomyślałem przez chwilę o Lindsay Wagner. A potem puściłem cięciwę.

# ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Moja największa wada, jak sędzę, polega na przywiązaniu do własnej bezpiecznej strefy. Pewnie, lubię rzucać sobie od czasu do czasu wyzwania, ale nieznanne jest czymś, czego najlepiej unikać, jak uważam.

Zatem, spędziwszy długie popołudnie na drodze, z pewną obawą znalazłem się w czymś, co nosiło nazwę New Look. Nie bardzo wiedziałem, czego szukam ani na co właściwie patrzeć. Zewsząd otaczały mnie niskie chromowane pręty obwieszone w całkowicie przypadkowy sposób odzieżą w kolorach, które przyprawiały o zawrót głowy. Stojaki pękały w szwach, co praktycznie uniemożliwiało spenetrowanie ich zawartości; rzeczy umieszczone na końcach każdego pręta, zapewne reprezentatywne dla ogólnego asortymentu, były całkowicie niewłaściwe na tę porę roku.

Personel nie spieszył z pomocą - dwie dziewczyny w wieku maturalnym zajęte były oglądaniem sobie paznokci. Przywiązywały dużą wagę do pracy zespołowej, gdy rzecz dotyczyła klientów; jedna obsługiwała kasę, druga zawiązała i pakowała towar. Wytresowany odpowiednio szympan byłby bardziej wydajny i opłacalny. Nie muszę nadmieniać, że żadna z nich nie uważała za stosowne zaoferować mi swych usług, tak więc zostałem sam na sam z własną konsternacją.

Problem, jaki nastęrcza zagubienie, polega na tym, że człowiek w naturalny sposób sprawia wrażenie zagubionego. W konsekwencji wyobrażałem sobie, że wszyscy skupiają wzrok właśnie na mnie, że szydzą z mojej bezradności i dziękują szczęśliwym gwiazdom, że nie mają nikogo takiego w domu. A może zastanawiali się nad powodem, dla którego snułem się po dziale z odzieżą damską. Frustracja i zakłopotanie przyprawiające mnie o dreszcz na plecach sygnalizowały koszmarną katastrofę, tak więc, z fałszywym wyrazem rozczarowania na twarzy, pospiesznie się odwró...

- Jak pan myśli? Dobrze wygląda?

O nie.

Zachowaj spokój. Udawaj niespeszonego. Opuść ramiona. Uśmiechnij się. Odezwij się, na litość boską.

- Powiedziałbym, że jest o trzy miesiące za wcześnie, ale podoba mi się.

Pasuje do pani.

Miasto liczy dwadzieścia tysięcy mieszkańców, a ja musiałem zostać przyłapany na oglądaniu damskiej bielizny akurat przez tę osobę.

- Pasuje do mnie? - Caroline, albo być może Rachel, posłała mi uśmiezek i odwróciła się w stronę wysokiego lustra przyśrubowanego do ściany. - To znaczy?

Znaczyło, że jej tyłek wyglądał w tym fantastycznie, ja zaś miałem ochotę ugryźć te idealnie współgrające kolorystycznie kostki, które wyglądały spod brzegu sukienki, ale odparłem:

- To znaczy, że wygląda tak, jakby została uszyta specjalnie dla pani.

- Mam to uznać za komplement czy chce pan powiedzieć, że wyglądam w tym jak Cyganka?

- No, chodziło o komplement.

Jakbym nie miał tego wypisanego na twarzy.

- No cóż, wobec tego dziękuję, to rozstrzyga sprawę. - Odwróciła się, by obdarzyć mnie ciepłym uśmiechem.

Te oczy wpatrywały się we mnie przez ulotną chwilę.

- Choć sam bym tego nie kupił - dodałem. - Jest zbyt blada. Łatwo się będzie brudzić. I jest bawełniana, więc za każdym razem trzeba będzie prac ją ręcznie.

Patrzyła na mnie z podejrzliwością i jednocześnie rozbawieniem.

- Słusznie - przyznała. - Ale jeśli moja pupa dobrze w tym wygląda, to wszystko w porządku. - Ruszyła z powrotem w stronę przymierzalni, uśmiechając się szeroko. - Niech pan tu zaczeka - zarządziła.

Posłuchałem bez zastanowienia. Mężczyzna snujący się pod drzwiami przymierzalni zaskarbia sobie opinię cierpliwego i lojalnego, zwracając na siebie znacznie mniejszą uwagę, niż być może powinien.

Caroline-do-odwołania pojawiła się ponownie po minucie z nową spódnicą przerzuconą przez ramię.

- Okay - oznajmiła. - Dlaczego właściwie stoi pan tu z pustymi rękami? - Miałem wrażenie, że słyszy trybiki w mojej głowie. - Hm, niech zgadnę. To urodziny pańskiej żony, a ona widziała jakiś seksowny komplecik, który jej się spodobał, ale pan nie słuchał, kiedy go opisywała.

Roześmiałem się na widok jej oskarżycielsko uniesionej brwi.

- Nie jestem żonaty - zapewniłem ją.

- Dziewczyna?

- Nie.

- Chłopak?

- Nie.

- Lubi się pan stroić?

- Hm...

- Wtrącam się?

- No dobrze, moja siostrzenica - palnąłem idiotycznie.

- Aha... - Pozwoliła sobie na krótkie, pełne zadowolenia i aprobaty skinienie głową, wystarczające, by zdołała poskładać wszystko w jedną całość. - Zaraz, kupuje pan bieliznę swojej siostrzenicy? - Przekrzywiła głowę, patrząc na mnie i mrużąc uważnie oczy. Już otworzyłem usta, ale mnie uprzedziła. - Nie, nie musi pan odpowiadać. Naprawdę. Nie moja sprawa. Nie powinnam...

- Nie, nie, w porządku. - Uśmiechnąłem się. Kłamstwo szło mi opornie. - To znaczy owszem, kupuję bieliznę dla siostrzenicy, ale rzecz polega na tym, że wszystko jej kupuję. Ona... nie ma ubrań. - Nie pomagałem sobie w tym momencie. Zareagowała pełnym konsternacji zaniepokojeniem malującym się na jej twarzy. Roześmiałem się z taką pewnością siebie, na jaką było mnie stać w tych okolicznościach. - Naprawdę wolałbym zacząć od początku.

- Dobrze, niech będzie.

Wreszcie na to wpadłem. Wziętem głęboki oddech i przetknąłem frustrację.

- Nie wiecie jej się i zamieszkała u mnie. Kiedy przyjechała tu wczoraj wieczorem, postawiła walizkę na dworcu i ktoś ją zabrał i odszedł.

- Och, nie...

- Tak. Musiała więc pójść do pracy w tym, co miała na sobie, a ponieważ przez cały weekend i na początku tygodnia czekają ją spotkania, nie znajdzie czasu, żeby coś sobie kupić, więc powiedziałem, że jej pomogę.

Byłem świadom dziur w tej opowieści, jeszcze nim skończyłem mówić.

Oczy Caroline odzyskały jednak dawny blask.

- No cóż - oznajmiła pogodnie. - To bardzo szlachetne z pana strony, no i ulżyło mi. Już myślałam, że zacznę się od pana odsuwać.

- Oczywiście nie mam zielonego pojęcia, co robić. Mogę z całym przekonaniem powiedzieć, że ta spódnica wygląda na pani dobrze, ale na wieszaku? Nie potrafiłbym się nawet zorientować, że to spódnica.

Caroline podniosła dłoń, dając do zrozumienia, że wystarczy.

- Okay, niech pan da spokój. - Roześmiała się. - Potrafię wyczuć aluzję, ale nie zawsze ją chwytam. Jeśli mam panu pomóc, wystarczy powiedzieć.

Nie mógłbym liczyć na korzystniejszy finał; nie trzeba było zachęcać mnie dwa razy.

- Pomoże mi pani? - mruknąłem z przesadną bezradnością.

- Pod jednym warunkiem - uprzedziła.

- Śmiało.

- Jak już skończymy, fundnie mi pan kawę i coś słodkiego. Mój czas ma swoją cenę.

Pomimo niepokoju zdobyłem się na szczery uśmiech.

- Zgoda.

Caroline potrzebowała dwóch godzin bez dwóch minut, żeby przymierzyć dosłownie wszystko, co wisiało w sklepie, i dodatkowego kwadransa, żeby zlokalizować odpowiednie rzeczy w rozmiarze dwanaście. Zdobyła się nawet na próżny i symboliczny wysiłek, by wyjaśnić, że gdyby była wyższa o dziesięć centymetrów, co zrównoważyłoby jej mniej wyraźne zaokrąglenia, to mogłaby nosić sukienki w mniejszym rozmiarze. Ponieważ odczuwałem coraz większy głód, a nic nie wskazywało na to, że nasza ceremonia osiągnie kondensację teledysku, tylko udawałem, że rozumiem. Zapoznałem się jednak z nowym pojęciem ceny przyjemnie spędzonego czasu. Choć byłem mile zaskoczony faktem, że potrafię odprężyć się i bawić parodystycznymi pozami Caroline rodem z katalogu wysyłkowego, przybieranymi przy akompaniamencie jej zaraźliwego chichotu, uświadamiałem sobie boleśnie, że jestem teraz uboższy o czterysta funtów. Erica uosabiała poważną inwestycję.

Moje niezadowolenie nie osiągnęło jednak przesadnych rozmiarów i zniknęło zupełnie, kiedy drożdżówka Caroline upstrzyła cały jej sweter.

- W mordę - wymamrotała, podczas gdy zbita szorstka wełna niweczyła wszelkie próby strzepnięcia okruchów. - Beznadziejnie. Ale ze mnie dama...

Stłumiłem uśmiech.

- Wiesz, jedynym przeznaczeniem tego ciastka jest to, żebyś się nim cieszyła, a nie osiągniesz tego w pełni, jeśli będziesz się martwić drobnym bałaganem. Delektuj się nim, niech się kruszy. Nawet na twoje włosy.

Roześmiała się i otrzepała dłonie.

- To zabawne. Nie uwierzyłbyś, co czasami ląduje w moich włosach. - Napila się herbaty i skrzywiła. - Nie zastanawiaj się nad tym zbyt szczegółowo. Głupio zabrzmiało.

Skinąłem głową.

- Zrozumiałem to zgodnie z twoją intencją - zapewniłem.

Podziękowała mi uprzejmie.

Niebo na dworze pociemniało gwałtowne. Rzędy przyćmionych reflektorków sufitowych pogrążyły twarz Caroline w ciepłym, lecz nienaturalnym blasku. Cienie kubków i podpórki na menu wydłużały się na kraciastym obrusie. Nagły podmuch wiatru szarpnął połami ludzi na zakupach, przechodzących obok okna restauracji. Podnosili po kolei kołnierze, gdy w chodnik uderzyły pierwsze krople deszczu.

- No dobrze, czas na zasadnicze pytanie. - Przełknąłem resztki herbaty. Była cieplejsza, niż się spodziewałem. Caroline, ze względu na mnie, ustąpiła na chwilę miejsca Rachel. - Jak to się stało, że jesteś samotna i obsługujesz kasę w supermarkecie? - Wstrzymałem oddech, nakłaniając ją w milczeniu, by mi nie zaprzeczyła.

- Kto powiedział, że jestem samotna? - Roześmiała się, a ja powstrzymałem chęć, by wlepić wzrok w swój kubek. - Choć w gruncie rzeczy masz rację, jestem samotna.

Moje westchnienie ulgi było niezamierzenie głośne i jak wiedziałem, rażąco oczywiste. Przeoczyła je na szczęście.

- A tak do rzeczy - powiedziała. - Co masz przeciwko pracy w supermarkecie?

- Och, absolutnie nic. - Wściekła mentalna rejterada. Chryste, ale mi wyszło. - Chodziło mi o to, że... - Zamień to w komplement, kiedy masz jeszcze okazję. - Wydajesz się inteligentna i buntownicza. Trudno mi skojarzyć to z czymś tak powtarzalnym i ograniczonym.

- No tak - zgodziła się. - Ale właśnie o to chodzi. Mogłabym znaleźć sobie pracę, która byłaby jednocześnie moją pasją, ale gdy tylko zainteresowania przemieniają się w obowiązki, trudno się nimi cieszyć. Chcę się im poświęcać z wyboru, nie z przymusu. A to, co robię, pochłania tak niewielki ułamek mojej koncentracji, że mogę przez okrągłe osiem godzin dziennie myśleć o wszystkim, o czym mi się tylko zamarzy, i nie odczuwać wyczerpania umysłowego, które nie pozwalałoby mi robić w domu tego, co

chcę robić. I kiedy nie jestem akurat zajęta, mogę zamknąć oczy i poleżeć sobie na jakiejś plaży na Bahamach, dostając za to jeszcze pieniądze. Niewielu ludzi może tak powiedzieć.

- Pewnie rezydenci biur turystycznych - zauważyłem. - Albo ratownicy.

- Tak, a mnie nie interesuje ani jedno, ani drugie. Zbyt łatwo się spiekam na słońcu.

- Więc czego pragniesz?

- Po prostu być szczęśliwą - odparła. - Banalne, ale prawdziwe.

Na zewnątrz otwały się niebiosy. Pomruk pioruna zwiastował nadejście ulewy. W okno zastukały grube krople deszczu i uderzył w ziemię z taką siłą, że odbijały się od chodnika.

- Nie ma w tym nic banalnego - zapewniłem. - Jestem pewien, że wszyscy tego pragniemy.

- W różny sposób. - Dmuchnęła w swój kubek i napiła się zamyślona.

- A jaki jest twój? - Popatrzyłem na grube rękawy jej swetra wyciągnięte niemal do koniuszków palców, które obejmowały opiekuńczym gestem kubek. - Co daje ci szczęście?

Ślad uśmiechu zniknął z jej warg; zdawało się, że przez długie minuty wnika spojrzeniem w samą siebie.

- Powiem ci, jak tylko się zorientuję - odparła w końcu.

Obróciłem wzrok na ulicę targaną burzą. Przechodnie przytrzymywali szaliki i czapki, szukając pospiesznie schronienia. Parasole wyginały się do góry. Po chodniku potoczył się szyld jakiegoś sklepu, potem wpadł do głębokiego potoku deszczówki. Ulotki reklamowe i plastikowe torby pikowały niczym obłąkane latawce i przywierały do markiz nad wejściami i śmietników, a czasem do chłostanego wiatrem dziecka. W górze rozległ się złowieszczy huk gromu.

- Jezu - powiedziałem. - Wiesz, czy ci się to podoba, czy nie, jesteś tu ze mną bezpieczniejsza niż tam, na dworze.

- Masz chyba rację. - Roześmiała się. - Bądź co bądź, matka nigdy nie wspomniała o obcych mężczyznach i kawiarniach.

W tym momencie straciłem oddech. Do szyby, w odległości kilku zaledwie centymetrów od twarzy Caroline, przykleiła się z mokrym kłapnięciem strona tytułowa „Evening News”. Caroline zmarszczyła brwi, podczas gdy z drugiej strony patrzyła na nią gniewnie Kerry Farrow - skołtunionie włosy

i szkliste oczy pod wytłuszczonym i prostym nagłówkiem:

## LOS ZAGINIONEJ PROSTYTUTKI I NARKOMANKI NIEPEWNY

- Oczywiście - dodała Caroline - nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym wsiadła z tobą do samochodu.

Spróbowałem się uśmiechnąć. Znów odgryzła kawałek ciastka z kruszonką.

- Sama nie wiem, zaczynam się zastanawiać, czy nie żyjemy w jakimś trójkącie bermudzki. - Caroline otarła rękawem mgiełkę pary z szyby po swojej stronie. - Chodzi mi o moją przyjaciółkę w pracy. Sumienna do przesady, zawsze tam gdzie trzeba, zawsze punktualna. Nigdy nie poszła na zwolnienie, nigdy nie wyłącza telefonu na wypadek, gdyby ktoś zachorował i trzeba go było zastąpić... Wychodzi z roboty w piątek, żegna się ze wszystkimi, „Do zobaczenia w poniedziałek”, cała w skowronkach, bo po raz pierwszy w roku ma wolny weekend, a potem, w poniedziałek rano, nie przychodzi do pracy. Nie ma jej. Znika. Dosłownie bez śladu.

Wiem, o czym myślicie, ale nie miałem z tym nic wspólnego. Włączyłem wycieraczkę na najwyższy bieg, zbliżyłem się do świateł na odległość kilku samochodów.

- Nie wspomniała nikomu, dokąd mogła się wybrać? - podsunąłem.

- Nie, nawet słowem. Gdyby miała komuś powiedzieć, to jestem pewna, że właśnie mnie... Dogadywała się lepiej ze mną niż z kimkolwiek innym. Po raz pierwszy usłyszałam o tym, kiedy zadzwonili do mnie z pracy: „Rachel, możesz tu przyjechać, i to jak najszybciej? Caroline nawaliła, a trzeba wyłożyć ryby...”.

Aha!

- Rachel. - Skinąłem głową, mając nadzieję, że robię to tylko w myślach.

- Uhm?

Cholera.

- Hm?

- Co?

- Przepraszam, nie, ja... - Było to kłopotliwe i nie można wykluczyć, że musiałbym się do tego przyzwyczaić, ale przynajmniej od tej chwili podświadomie widziałbym wszędzie prawidłowe imię.

- Mów, mów - nalegała.

- Nic takiego. Naprawdę.

- Nie wykręcisz się. Musisz mi powiedzieć. Takie jest prawo.



- Wezwij policjanta.

- Wezwę.

- Doskonale.

- Doskonale. - Roześmiała się.

Przyglądałem jej się, gdy patrzyła na ruch uliczny, stukając łagodnie palcami po udach w rytm piosenki płynącej z głośników. Zaczerwieniła się trochę, ale poza tym wydawała się doskonale rozluźniona; żadnego drapania za uszami, żadnego nucenia, by przerwać milczenie.

- Mimo wszystko tak to bywa z niektórymi ludźmi, prawda? - odezwała się. - Dzisiaj są, nazajutrz stanowią tajemnicę. - Popatrzyła na mnie, marszcząc w zamyśleniu brwi. - A w środku tygodnia wszyscy o nich zapominają.

Skinąłem głową, potwierdzając jej słowa w smutnym milczeniu.

- Podczas gdy ty... - Uśmiechnęła się. Jasność pojawiła się tak samo szybko jak wcześniej mrok. - Ty jesteś inny. Już stanowisz tajemnicę. I na pewno cię nie zapomnę do następnego tygodnia.

Roześmiałem się, choć w głębi duszy żywiłem szczerą nadzieję, że się myli.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

- Co z nią zrobiłeś?

- Z kim?

Erica cofnęła się powoli przede mną, gdy otworzyłem drzwi klatki.

- Wiesz, z kim. Z tą dziwką, którą wczoraj zabrałeś. Gdzie jest?

- Po co się tym przejmujesz? Przez cały tydzień błagałaś, żebym się jej pozbył.

- O mój Boże. - Odwróciła się i wsparła na umywalce. - Chodziło mi o to, żebyś ją stąd zabrał, a nie wywoził gdzieś i zabijał.

- No cóż, niestety to nie ty podejmujesz tutaj decyzje. - Zamknąłem się razem z nią i położyłem w nogach łóżka karton świeżego mleka oraz nową paczkę płatków śniadaniowych. - Co sobie wyobrażałaś? Że ją podrzucę do ośrodka odwykowego?

Obróciła się na pięcie, na jej ściągniętych policzkach pojawiła się nagle bladeść, usta wykrzywił grymas smutku. Ciemne oczy zmagaly się z kleistymi łzami.

- Dlaczego? - wymamrotała.

Poczułem drgnienie, nie w spodniach, jak mógłbym się spodziewać, lecz głębiej, gdzieś w samym żołądku. Uświadomiłem sobie, że moje palce poruszają się nerwowo, a ręce, niczym obdarzone własną wolą, wyciągają się do Eriki.

- Nie płacz nad nią - powiedziałem zdecydowanie, patrząc jej w oczy. - Zostawiła w domu dzieci, żeby obciążać nieznajomym za działkę.

Stała jak przykuta do miejsca i zakrywała twarz dłońmi; zaczęła szlochać. Zmieniłem taktykę, przestałem skrywać frustrację.

- W porządku - oznajmiłem. - Wiodła żalodne, pełne cierpienia życie, a teraz przebywa już w lepszym miejscu. Jestem też pewien, że ktoś zajmuje się jej dziećmi. Tak lepiej? Do kurwy nędzy, Erico, otrząśnij się!

- Nie płaczę nad nią! - rzuciła zawodzącym głosem, dłonie odsunęła już od twarzy, smutek w jej oczach miał w sobie ślad znajomej zjadłości. -

Zgłupiałeś do reszty, kurwa? Wystarcza mi to, że jestem zamknięta w tej pieprzonej celi i czekam, aż umrę. Nie muszę się jeszcze martwić o tę koszmarną dziwkę!

Usiadłem ostrożnie na brzegu łóżka, podczas gdy ona starała się wyładować. Obracała się wokół własnej osi, ciągnęła za włosy, waliła po udach pięściami i wydawała z siebie wrzask, który mógłby roztrzaskać żarówki. W końcu westchnęła ciężko i wytrząsnęła to wszystko z głowy.

- Płaczę nad sobą - wyszeptwała.

Ani razu, po prostu nigdy nie miałem ochoty otworzyć drzwi klatki i odsunąć się na bok. Widziałem w tym pomieszczeniu już wszystko: łyż, uwodzenie, próby samobójcze za pomocą pętli. Zjawiają się, stosują te swoje kobiece sztuczki i w końcu odchodzą. Ale nigdy na własne życzenie. Wszystkie twierdzą uparcie, że chcą być wolne, że chcą zasmakować świeżego powietrza i spojrzeć w czyste błękitne niebo. Przymilają się, żądają, błagają, bym otworzył drzwi i pozwolił im uciec. A jednak nieodmiennie, gdy drzwi zostają w końcu otwarte, proszą mnie, bym pozwolił im zostać, ponieważ w głębi serca wiedzą, że są w klatce bezpieczne. Nie ma tu duchów.

- Wierz mi - powiedziała Erica, pociągając nosem - gdybyś w tej chwili otworzył drzwi, skorzystałabym z szansy.

Nie wiem, ile powiedziałem głośno. Nie miało to znaczenia.

- Wiem, że byś to zrobiła, Erico - odparłem cicho. - I w tej chwili... - z powodu, którego nawet nie pojmowałem - ...właśnie dlatego nie zamierzam ich otworzyć.

Po raz pierwszy od ponad tygodnia przespałem całą noc. Śniło mi się, że lecę, nosiłem się nad ostrymi szczytami i pofalowanymi dolinami, nad krajobrazami pełnymi barw, jakich nigdy nie widziałem i nie potrafiłbym opisać. Rankiem, kiedy obudził mnie łagodny stukot deszczu w okna, czułem się wypoczęty i błogo zrelaksowany. Nuciłem jakąś wymyśloną melodię, przygotowując sobie grzanekę. Włączyłem telewizor, który wydał mi się niemal denerwujący.

Erica wstała przede mną i przeglądała „Cosmopolitan”, który jej zostawiłem. Nie wywiadziawszy się o jej czytelnicze preferencje przed kupnem gazety, bez szczególnego zdziwienia dostrzegłem na jej twarzy

znudzenie. Postanowiłem naprawić swój błąd przy pierwszej nadarzącej się okazji; tymczasem jednak czekało ją ważniejsze i niecierpiące zwłoki zajęcie.

Rzuciła magazyn na podłogę, kiedy wchodziłem do klatki. Nie usłyszałem jednak spodziewanej skargi. Erica po prostu uśmiechnęła się i powiedziała:

- Dzień dobry.

Jeśli jej nastrój był niepokojąco pogodny, to wygląd stanowił jego przeciwieństwo. Ciemne półksiężycy pod przekrwionymi oczami, włosy zmierzwione i wiotkie, ubranie pomięte, podarte i ciemne od ziemi. Opatrunek pozbawiony plastra przylegał do twarzy za sprawą zaschniętej krwi. Poduszka i pościel były czarne od potu i brudu. W powietrzu unosiła się przygniatająca, zatęchła woń.

- Dzień dobry - odparłem.

- Nie przyprowadziłeś dziś nowej współlokatorki?

- Nie, nic z tego - odparłem, a ona parsknęła z teatralnym rozczarowaniem. - Nie zniechęcaj się jednak. Mam dla ciebie dobrą nowinę.

- Wspaniale. Bardzo się cieszę. Niech zgadnę... umarłeś we śnie?

- Nie, to nie to, możesz być pewna - zapewniłem ją. - Nie, dobra wiadomość jest taka, że stąd wychodzisz. Ze mną.

Twarz jej się wydłużyła.

- Wychodzę z tobą? Dokąd?

- Na zewnątrz.

- Nie wydaje mi się, kurwa. Na dobrą sprawę nie sędzę, bym wybrała się z tobą dokądkolwiek, jeśli sam mnie tam nie zawleciesz.

- No cóż... - Roześmiałem się. - To z pewnością nie byłyby problem, ale nie ma takiej potrzeby. Przygotowałem ci kąpiel, to wszystko, ale jeśli nie chcesz, to sam z radością wskoczę do wanny.

Erica tylko patrzyła z rozdziawionymi ustami i zmarszczonym czołem, najwyraźniej próbując zrozumieć to, co właśnie powiedziałem. Miałem nadzieję, że dopatrzy się w tym większego sensu niż ja.

- A co się stanie, jak już się wykąpię?

- Wytrzesz się do sucha ręcznikiem, ubierzesz się i wrócisz do swojego pokoju, a potem może mi powiesz, co chciałabyś czytać - odparłem.

- A ty? Jeśli masz siedzieć na kiblu i przyglądać mi się jak zboczeniec...

- Już to przerabialiśmy. Idziesz czy nie? Nie chcę, żeby woda wystygła.

Pokręciła głową z pełnym zmieszania rozbawieniem i zsunęła się z łóżka,

nie kryjąc wahania. Choć była wyraźnie nieprzekonana, włożyła sweter i podążyła za mną.

- Wrzuc tu swoje rzeczy. - Wsunąłem torbę na śmieci w szczelinę między framugą a drzwiami, za którymi pozwoliłem Ericce rozebrać się bez skrępowania.

- Zamierzasz je uprać? - Wsunęła do torby podniszczone majtki.

- Nie, zamierzam je spalić.

- Lubię ten sweter.

- Rozpadnie się, jeśli wsadzę go do pralki.

- Mógłbyś przynajmniej spróbować. - Wcisnęła go do torby razem z przybrudzonym stanikiem. - Nie mam nic innego do noszenia.

Zabrałem brudne rzeczy i podałem torbę z majtkami.

- O mój Boże, już jest Gwiazdka? - Wyrwała mi pakunek z ręki. - Jeśli tak, to czy mogę prosić o zainstalowanie grzejnika w swoim pokoju?

- Stanik. - Podałem go.

- Zły rozmiar.

- Dobry.

- Kurwa, wiedziałam, że mnie podglądałeś. Jeszcze coś? Czy mogę się wreszcie wykąpać?

Jedną za drugą wsunąłem do łazienki sześć reklamówek.

- Nadają się raczej na lato - wyjaśniłem. - Ale to najlepsze rzeczy, jakie mogłem znaleźć.

Milczała przez chwilę; wyczuwałem ją tylko, nieruchomą jak głąz. Wreszcie cicho, łamiącym się głosem, spytała:

- Ile mam czasu?

- Ile chcesz.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem. - Nasłuchiwałem przy framudze drzwi, jak pociąga cicho nosem i szlocha. Moja ręka wyciągnęła się bezwiednie, żeby otworzyć drzwi na oścież, moje stopy świerbiło, żeby wejść do środka. Przeklinałem je w milczeniu i opierałem się im uparcie. - Ericco - powiedziałem bezbarwnym głosem. - Wszystkie okna i drzwi na górze są zamknięte. Pod oknem w łazience jest ogródek skalny, a dalej, na dystansie ponad trzech kilometrów, rozciąga się otwarta przestrzeń, więc nie ma sensu się wysilać.

- Wiem - wyszeptła.

- Masz tam wszystko, co mi tylko przyszło do głowy... szampon, odżywkę do włosów, jest też mydło kokosowe. Peelingi, balsamy nawilżające, nową szczoteczkę do zębów, bo zniszczyłaś tę, którą ci dałem. Są też buteleczki z olejkiem do kąpieli, jeśli lubisz coś takiego. Ten środek do woskowania nóg, nie wiem, czy jest dobry, ale nie słyszałem o niczym innym, co nie wymagałoby żyletki. Aha, jest jeszcze szczotka do włosów w jednej z tych toreb. Zapomniałem ją wyjąć. Okay?

- Okay.

- Jeśli zechcesz potem wejść pod prysznic, to nie zapomnij zaciągnąć do końca zasłony. A kiedy już skończysz, zjedź na dół, wtedy pomyślimy o lunchu. Miłej zabawy.

- Jesteś chorym sukinsynem - wymamrotała, kiedy zamknąłem drzwi.

# ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pokrywałem kawałek wołowiny krzyżowej glazurą z miodu i musztardy, gdy do moich uszu dotarł chrzęst opon na żwirze. Otarłem palce o starą ściereczkę do naczyń i kiedy stanąłem w drzwiach, zobaczyłem, jak inspektor John Fairey wyciąga swoje Wyjątkowe Cenne Stopy z niebieskiego forda. Popatrzył na mnie z pogardliwym rozbawieniem, potem zatrzasnął drzwi, obszedł samochód i czekał, aż Green, jego towarzyszka, stanie na swych sensownych butach. Wyswobodziła się z pasa i podążyła za Faireyem w odległości dwóch kroków, kiedy ruszył w stronę domu. Najwyraźniej sądził, że odsunę się do bok i wpuszczę go do środka; ponieważ jednak łało, zatrzymałem go nieprzyjaznym i gniewnym spojrzeniem tuż za progiem drewnianego ganku. Stał tam wyczekująco, lecz nie mógł liczyć na nic więcej niż deszcz, dopóki nie zacznie okazywać dobrych manier.

Uniosłem brwi, skierowałem spojrzenie na jego górną kieszeń. Połknął haczyk i pokazał legitymację. Obejrzałem ją i pokazałem mu uśmiech. Złożył portfel.

- Tak szybko pan wrócił, inspektorze? - zaszczębiotałem. - Co mogę dla pana zrobić dziś, czego nie mogłem zrobić wczoraj?

- No cóż, może pan zacząć od zadowolającego i wyczerpującego wyjaśnienia, którego wymaga to, co mam w kieszeni - oznajmił.

Tym razem byłem odpowiednio przygotowany. Moje oczy spoglądały twardo. Twarz nie zmieniła barwy. Niebo zwieszało się niewzruszenie na wyznaczonym sobie miejscu.

- Jeśli ma pan tam wysypkę, to zapewniam, że nie złapał pan jej ode mnie - poinformowałem go.

Green zakrztusiła się ze śmiechu pod parasolem, który unosiła w milczeniu za plecami Faireya. On zaś brnął dzielnie dalej:

- Możemy wejść? - spytał. - Zaczynam moknąć.

Włosy kleiły mu się już do głowy, każda fałda długiego szarego płaszcza przypominała wzburzoną rzekę. Wyglądał absolutnie żałośnie, w przeciwieństwie do Green, która miała wyraźne objawy rozbawienia.

- Tak, czemu nie? - Mogłem podać ze sto powodów wyjaśniających, czemu nie, ale nie wyartykułowałem ich.

Otrząsnął się z wody i wkroczył do holu. Green poszła w jego ślady, związając uśmiech wraz z parasolem, którym potrząsnęła za plecami.

- Dzień dobry. - Uśmiechnęła się ponownie z leciutkim cieniem skruchy.

- Dzień dobry, sierżant Green. Trzeba było mnie uprzedzić, że się pani zjawi. Obawiam się, że lunch nie jest jeszcze gotowy. Marynuję.

- Jeśli siebie, to musi być to bolesne - zauważyła z kamienną twarzą.

- Mogę wam coś zaproponować? Herbatę? Kawę? Gin?

- Szczerze mówiąc, poprosiłabym o szklanę wo...

- To śledztwo w sprawie morderstwa - zagrzmiał Fairey jakby z zewnątrz.

- Nie jakieś pieprzone przyjęcie z herbatką.

- O kurwa. - Zachichotałem, nim zdołałem się powstrzymać. - Ktoś wstał dziś rano lewą nogą z łóżka. Pozwoli mu pani tak do siebie mówić?

Green wyraziła aprobatę dla moich słów poprzez zdradzające irytację wzruszenie ramion. Fairey popatrzył na mnie ze złością, oczy miał na wpół przymknięte. Najwyraźniej zagryzał język i próbował policzyć do dziesięciu. Odwróciłem się od niego i spojrzałem na jego drobną koleżankę.

- Przepraszam - powiedziałem, biorąc z suszarki szklanę i wypłukując z niej fusy. - O czym chce pani ze mną rozmawiać?

- No cóż - zaczęła. - Na wypadek gdyby nie był pan tego świadomy, znaleźliśmy Ke...

- Ja tu zadaję pytania - warknął Fairey, wprawiając partnerkę w milczące osłupienie.

- Proszę posłuchać - powiedziałem. - Najwyraźniej miał pan kiepski poranek, ale szczerze mówiąc, jeśli wpada pan do mojego domu, wymachując szabelką i wyżywając się koszmarnie na sierżant Green, to pogarsza pan tylko sprawę, bo nie zamierzam w takich okolicznościach z panem rozmawiać.

Zauważyłem, że podryguje mu noga. Zastanawiałem się, podając Green szklanę wody, czego trzeba, żeby zaczął stepować.

- Nie, to pan posłucha - warknął. - Znaleźliśmy ciało Kerry Fallow i...

- Farrow - skorygowała Green.

- To właśnie, kurwa, powiedziałem! - rzucił wściekle. - Lepiej zacznij mówić, przyjacielu - ciągnął, wyciągając gwałtownym ruchem pomietą kartkę z kieszeni i podsuwając mi ją pod nos. - Bo nie wyglądasz teraz zbyt mądrze.



- Co to jest?

- To, co zarejestrowała kamera na nabrzeżu, dwa i pół kilometra od miejsca, w którym zaginęła Kerry, i pięćdziesiąt metrów od miejsca, w którym znaleźliśmy wczoraj w nocy to, co z niej zostało.

- Sześćdziesiąt tysięcy - zauważyłem.

Fairey patrzył na mnie ze złością przez ułamek sekundy, potem parsknął:

- Co?

- Sześćdziesiąt tysięcy - powtórzyłem. - Liczba tych furgonetek sprzedawanych co roku przez Forda w tym kraju. - Stojąca za plecami Faireya Green skinęła głową, dając mi do zrozumienia, że nie ja pierwszy stosuję podobną argumentację. - A ten samochód - wskazałem ziarniste zdjęcie z kamery monitoringu - nie jest mój. Ale wiedział pan o tym, prawda? W przeciwnym razie już wciągałby pan na lawetę moją furgonetkę, żeby rozłożyć ją na części. Jeśli chce pan udać się do garażu i zabawić w „znajdź różnice”, to proszę bardzo. - W tym momencie uśmiech niemal samozadowolenia. - Ale jest pan w błędzie. To całkiem inny samochód.

I nie znaleźli też ciała Kerry, ale oczywiście nie mogłem mu tego w żaden sposób powiedzieć.

Stukał teraz czubkiem buta, zaciskając pięści przy bokach.

- Pieprzone gówno - wycedził wściekle przez zęby.

Otworzyłem szafkę z kluczami i wycelowałem pilotem przez okno.

- Drzwi garażu są otwarte - oświadczyłem. - Proszę się nie spieszyć.

- Mam tego dość. Próbuje pan zrobić ze mnie durnia.

- Nie potrzebuje pan do tego mojej pomocy - powiedziałem.

Zignorował moją uwagę i przeszedł do rzeczy.

- Aresztuję pana pod zarzutem morderstwa Kerry Fallow.

Green pokręciła niepokieszona głową.

- Farrow - mruknęła.

- Nie musi pan nic mówić - ciągnął Fairey. - Ale wszystko, co pan powie...

- Jest pan idiotą - odparłem. - Oto co mam do powiedzenia. Sierżancie, proszę przekazać inspektorowi Clouseau, że...

Moje słowa nie wydały mi się szczególnie ostre, ale dotknęły Johna Faireya do żywego.

- Dobra! - wycharczał, rzucając mi się jednocześnie do gardła. Był zaczerwieniony i skrajnie zdesperowany.

Green zdążyła tylko sapnąć:

- Co jest, kur... - próbując chwycić go niezgrabnie za płaszcz, ale złapała tylko powietrze.

Nachyliłem się ku niemu, żeby miał satysfakcję i mógł chwycić mnie za kołnierz koszuli. Walczyłem ponadto z pokusą, by wbić mu zakrzywione palce w krtań i rozerwać tchawicę.

Na szczęście dla nas obu Green oprzytomniała i z krzykiem:

- John, na litość boską! - Złapała przełożonego za kark i odciągnęła ode mnie. - Idź do furgonetki - nakazała, przyciskając ręce szefa do boków. Jej ciepła sympatyczna twarz zamieniła się nagle w kamienne, lodowate oblicze.

Fairey nie poruszył się, kiedy go puściła; patrzył tylko, a obnażone zęby dowodziły, że ma przed oczami czerwoną mgłę.

- Wystarczy fałszywe oskarżenie - oznajmiłem. - Proszę nie pogarszać sprawy, uciekając się do przemocy fizycznej.

- Dość - wtrąciła zdecydowanym tonem Green, która bez wątpienia przejrzała moje udawane oburzenie zranionego człowieka. - Idź, John. Ochłoń. Natychmiast.

Powoli, z rozmysłem, opuścił ramiona i rozluźnił biodra. Zobaczyłem, że ogień w jego oczach zapłonął na chwilę i przygasł. Wyszedł z domu bez słowa.

- Tak mi przykro - powiedziała Green. - Nic się panu nie stało?

Zmarszczyłem czoło.

- Dlaczego ten facet jest taki wściekły?

- Chodzi pewnie o to, że nazwał go pan idiotą, ale nie zamierzam tłumaczyć się za niego.

- Nie - odparłem. - Całkiem słusznie. Nie pani rola. Ale to idiota.

- Nie jest głupi - zapewniła. - Tylko nadgorliwy. Czasem działa pochopnie, zanim ustali wszystkie fakty.

- No właśnie. To kiepska metoda w przypadku śledztwa, prawda? Nie wiem, czy próbuje zastawić jakąś pułapkę, udając niekompetentnego i mówiąc mi wszystko, co wie albo czego nie wie, ale tak czy owak, ktoś powinien dopilnować, by nigdy nie grał w pokera. I przypomnieć mu, że zdjęcie przypadkowej furgonetki nie stanowi dowodu łączącego mnie z tym, co znaleźliście. Cokolwiek to jest.

Green już otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, gdy nagle zmarszczyła brwi.

- Co?

- Co „co”?

- Co pan ma na myśli?

- Co mam... - Powiedziałem coś niewłaściwego? - Co?

- Co pan ma na myśli, mówiąc „cokolwiek to jest”?

- No, przecież znaleźliście ciało dziewczyny.

- Sugeruje pan, że nie znaleźliśmy?

- Nie, sugeruję, że nie ma to nic wspólnego ze mną.

- Bo to nie Kerry Farrow?

Roześmiałem się. Ktoś musiał to zrobić.

- Bo nie zamordowałem jej i nie ukryłem w zwirowisku - powiedziałem.

Milczała, dobierając słowa. Zaskoczyła mnie przyjemnie, nie pytając, gdzie ją ukryłem.

- John jest przekonany, że ma pan coś na sumieniu, jeśli chodzi o tę sprawę - wyznała.

Roześmiałem się jeszcze głośniej.

- Moralista, co?

- Nie, ale jest skupiony na wyznaczonym celu i uważa, że odrażający z pana typ. Pragnie za wszelką cenę znaleźć coś, co rzuci na pana podejrzenie, więc jeśli chce się pan pozbyć jakiegoś ciężaru...

Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak Fairey zgniata zdjęcie w kulkę i rzuca nią wściekle o karoserię mojej furgonetki.

- A pani?

- Ja? Jestem stuprocentową moralistką. I jestem całkowicie przekonana, że coś pan kombinuje. Choć nie wiem co.

- No cóż... - Roześmiałem się. - Jak tylko się pani dowie, proszę mnie poinformować. Sam jestem od lat przekonany, że coś kombinuję.

Skinęła głową.

- Co pan tu pichci?

- Sarninę.

Wysunęła wargi i zmarszczyła nos; po jej ramionach przebiegł dreszcz.

- Biedny Bambi.

- Nic nie poczuł - odparłem, zagęszczając glazurę odrobiną miodu, choć sądząc po sceptycznym wyrazie twarzy sierżant Green, podejrzewałem, że

wiem znacznie mniej o zabijaniu saren niż ona. - No dobrze, mogę w czymś jeszcze pomóc czy też skończyliście już tę waszą zabawę w dobrego i złego glinę?

Przyglądała mi się przez chwilę, zagryzając w zamyśleniu wargę, jakby zastanawiała się nad ciętą ripostą, która pozwoliłaby jej wyjść z podniesionym czołem, zamiast ruszyć do samochodu ścieżką wstydu i zakłopotania. Kiedy jednak się odezwała, jej słowa mnie zaintrygowały.

- Dopóki pan wie, kto jest złym, a kto dobrym gliną.

A potem, nim zdążyłem się w ogóle zastanowić, co to za diabelska gra, w którą próbują mnie wciągnąć, zobaczyłem przerażony i osłupiały, jak odwraca się i włączy wprost na Ericę.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Biiip.

- Cześć, to ja. Rachel. Ja, hm... ha, ha. Okay, przyłapałeś mnie. Miałam nadzieję, że cię zastanę i że będziesz miał mi coś niezwykle ważnego do powiedzenia, a ja nie będę musiała udawać, że mam powód, by dzwonić. Nie za bardzo wychodzi mi rozmowa z automatyczną sekretarką. Hm... No cóż, okay, mam pewnie powód, żeby dzwonić, ale teraz, kiedy staram się za wszelką cenę nie wyjść na kompletną wariatkę... Okay, dobrze, czuję się głupio. Jest jakiś guzik, który mogę wcisnąć, skasować to wszystko i zacząć od nowa? Chyba nie ma, skoro słuchasz tego. Hm... Okay, wiesz co? Skasuj tę wiadomość. Zadzwoń później. Tak przy okazji... mówi Dave. Pomyłka. Na razie.

Biiip.

- Cześć. Cześć. Tu, hm... to ja. Rachel. Nie masz chyba nic przeciwko temu, że dzwonię tak zniecka, całkiem niespodziewanie i w ogóle, i... no wiesz, nigdy wcześniej nie dzwoniłam. Słuchaj, myślałam o tym, żeby pójść dziś wieczorem posłuchać jednego zespołu, nikt, o kim byś słyszał, to paru moich znajomych... Chodzi o to, że mam wolne miejsce w samochodzie, jeśli nie zaplanowałeś czegoś wcześniej, więc oddzwon do mnie, jak chcesz się wybrać. Dzięki. Do usłyszenia.

Biiip.

- Okay, jestem głupia, głupia. Chodziło mi o to... naprawdę bym chciała, żebyś się ze mną wybrał na ten koncert. Jeśli chcesz. I tak naprawdę nie mam samochodu, ale... no, zamierzałam wziąć taksówkę. W każdym razie zadzwoń do mnie, jeśli chcesz. Tak czy inaczej, zadzwoń. Jeśli jestem smutną idiotką, to możesz przynajmniej odprawić mnie delikatnie. I dlaczego ci dziękuję? Boże, ale ze mnie... blondynka. Okay... pogadamy później. Na razie.

Biiip.

- Cześć, Sal, to ja. Domyślałam się, że cię nie ma. Zamierzałam właśnie wypłakać ci się w ucho, że ze mnie taka stara panna... e... cholera,

wcisnęłam redial, prawda? Wiesz co, powinnaś sprawić sobie sekretarkę, która będzie nagrywać właściwe wiadomości, dzięki czemu coś takiego by się nie stało, a ja nie wydawałabym się tak koszmarnie niekompetentna. Wstydz się. Do widzenia.

- Cześć, tu Rachel. Albo nie ma mnie w domu, albo sprawdzam, kto do mnie dzwonił, w którym to przypadku cię ignoruję, bo jesteś nudny. Żartuję. No, może nie do końca. Zostaw wiadomość, a może oddzwonię.

- Cześć, Rachel. Jesteś najwyraźniej wariatką, ale rzeczywiście nie mam żadnych planów, i owszem, bardzo chciałbym pójść z tobą dziś wieczorem. Powiedz o której. Na razie.

Wsunąłem nóż z powrotem do bloku. Z góry napływał szum suszarki do włosów; nieustępliwe mechaniczne bzyczenie, a jednak na swój sposób kojące w swym powszednim kobiecym charakterze.

Przewróciłem mięso.

Moja matka zostawiła po sobie ślad. Pojedynczy, samotny odcisk buta, taki swoisty pożegnalny komentarz z trawy i błota. Rozmiar pięć. Zachowałem go starannie, wycieraczka znalazła się w czystej plastikowej torbie i trafiła do domu, gdzie umieściłem ją na lodówce. Czasem wyjmowałem tę wycieraczkę i oglądałem z uwagą, jakbym szukał wskazówek dotyczących celu matczynej podróży. Na próżno.

Lodówka była prawie pusta, kiedy matka odeszła. Drugiego dnia zjadłem resztki sera i tarty cebulowej. Trzeciego dnia skończyła mi się sałatka z rukoli i wciąż byłem głodny. W zamrażarce znajdowały się udźce jagnięce, połcie boczku, pęta kiełbasy i jeszcze raz pęta kiełbasy, wszystko bezużyteczne z braku odpowiedniej instrukcji. Przed upływem czwartego dnia zgłodniałem dostatecznie, by wziąć się do nauki.

Na stole kuchennym rozpościerały się otwarte książki niczym schematy gigantycznego latawca. Moją lekturą do łóżka była instrukcja obsługi piecyka. Na szafce stał szereg słoików z ziołami i przyprawami, powąchanymi i skosztowanymi, treść etykiet odczytana głośno i powierzona pamięci.

Szóstego dnia przypadało Boże Narodzenie. Spożyłem soczystego pieczonego indyka z kasztanami i nadzieniem żurawinowym, marchewką na parze, porami, brukselką i tłuczonymi ziemniakami. Potem uraczyłem się

tradycyjnym świątecznym puddingiem z dodatkiem brandy.

Siódmego dnia wypoczywałem.

*Jak wiesz, Bob, psychopata nie przejawia takich samych emocji jak inni ludzie. To, co ty i ja uważamy za przerażające i odrażające - dajmy na to morderstwo, gwałt albo okaleczenie - on traktuje z taką obojętnością jak narodziny dziecka albo zmianę koła w samochodzie. Nie odczuwa wyrzutów sumienia, litości ani strachu, co najwyżej lęka się schwytania i uwięzienia, i robi wszystko, by tego uniknąć. Mamy do czynienia z osobnikiem niezdolnym do uczuć, całkowicie pozbawionym jakiegokolwiek zmysłu człowieczeństwa.*

- Kto, do diabła, plecie takie bzdury?

Głęboko oburzony wyłączyłem telewizor i rzuciłem pilota w narożnik sofy. Spojrzałem na biblioteczkę w poszukiwaniu inspiracji. Zauważyłem, że stoi tam sporo książek. Niektóre były wąskie, inne szerokie. Różniły się kolorystycznie. Nie miałem ochoty po nie sięgać.

Wsluchiwałem się w rytm deszczu stukającego cicho w okno. Wpatrywałem się we własne odbicie na pustym ekranie telewizora. Zerknąłem na zegar. Minęła godzina. Zastanawiałem się, o czym myślałem. Nie „czułem” się śpiący.

- Jestem gotowa.

Już od dłuższego czasu uświadamiałem sobie swoistą ciszę; słyszałem tykanie kuchennego zegara, odległy szum deszczu na żwirowym podejździe. Popatrzyłem przez powieki na sufit, śniąc o tym, że śpię, mówiąc sobie, że powinienem się prawdopodobnie obudzić. Kiedy się obudziłem, nie byłem pewien, czy rzeczywiście tak się stało. Przedemną stał anioł, olśniewający, w sztyfonowej szacie, długie kręcone pukle włosów chwytały światło płynące z holu i spowijały ją niczym oślepiająca aureola. Patrzyła na mnie z góry zaciekawionym wzrokiem, jej miękka skóra promieniała, istna wizja doskonałości, pomijając trzy poszarpane ślady po paznokciach, podłużne, ciemne i zsiniałe.

- Jesteś piękna - wyszeptalem.

- Szczególna okazja. Pomyślałam, że się wystroję.

- Znalazłaś wszystko, czego potrzebowałaś?

- Chwilowo.

Popatrzyłem na swoje wyciągnięte ciało, dokonując pobieżnej inwentaryzacji rąk, nóg, palców u dłoni i stóp, szukając w umyśle oznak nowego bólu czy cierpienia. Wydawało się, że nic mi nie jest.

- Przegapiłaś okazję - powiedziałem. - Mogłaś dźgnąć mnie nożem w serce i nigdy więcej bym się nie obudził.

Erica uśmiechnęła się leciutko.

- By tak się stało, musiałbyś mieć serce.

Podniosłem się sztywno, obszedłem sofę i stanąłem przed nią. Nie cofnęła się nawet o krok, całkowicie nieruchoma, podążając za mną jedynie wzrokiem.

- Rozumiem, że się jej pozbyłeś - oznajmiła bezbarwnym głosem.

- Tak - odparłem. - Odeszła.

Skinęła z wolna głową i odwróciła się ode mnie, przełykając łzę.

- Rozpoznała mnie, prawda?

- Tak sądzę, owszem.

- Tak sądzisz. Wspaniale. Cieszę się, że się upewniłeś, że masz dobry powód, zanim, kurwa...

- Erico, ja...

- Kogo szukała?

- Co?

- Kogo szukała? Nie mnie, to pewne. Chodziło o Sarah? Kerry? Kogoś innego?

- Nie wydaje mi się, by miało znaczenie ko...

- Ale myślisz, że mnie rozpoznała?

- Prawdopodobnie - przyznałem. - Ale ktoś inny prowadzi twoją sprawę, poza tym nie jesteś już na pierwszych stronach gazet. Może skojarzyła fakty, ale to nie ma znaczenia. Za późno. Odeszła. Nie znajdą cię tu więcej.

- Nie licz na to - mruknęła. - A tak przy okazji... - Odwróciła się na pięcie w moją stronę, jej policzki rozпалиł nagły rumieniec gniewu. - Wiem, pewnie myślisz, że jestem głupia, i to, że wciąż tu stoję, dowodzi tego, ale tak na przyszłość nie musisz wymachiwać mi przed nosem nożem kuchennym, żebym zachowywała się odpowiednio, jakbym miała lada chwila zacząć biegać w kółko i się wydzierać. Naprawdę myślałam, że ją wypatroszysz na moich oczach, a to tylko sprawia, że jestem kurewsko zdenerwowana.

- Nie zrobiłbym czegoś takiego.



- Och nie, oczywiście, że nie. Nie chciałbyś tu nabałaganić, co? Nie daj Bóg, żeby pojawiła się tu choć drobinka kurzu, nie mówiąc już o kropli krwi. A w ogóle co to za miejsce, jakiś popieprzony eksperyment? Korzystałeś kiedykolwiek z tej wanny? Nie, masz rację, znacznie lepiej zabrać ofiarę na dwór i zastrzelić w pieprzonej stodole.

- Skończyłaś?

- Wiesz, że istnieje coś takiego jak przyjazna bakteria?

- Erico, masz ostatnią szansę, żeby się uspokoić.

- A potem co? Wyprowadzisz mnie na zewnątrz i zastrzelisz...

Powaliłem ją na podłogę uderzeniem płaskiej dłoni w poraniony policzek. Poczułem przyływ wstydu, kiedy sapnęła głośno, uniosła rękę do twarzy i siedziała osłupiała, patrząc szeroko otwartymi oczami na kolana, które się pod nią ugięły. Milczała przez chwilę, odzyskując z wolna panowanie nad sobą, potem ujęła poręcz sofy, wsunęła pod siebie nogi i dźwignęła się z podłogi. Między jej palcami pojawiła się kropla krwi i spłynęła po wierzchu dłoni. Erica popatrzyła na mnie ze złością, w jej oczach płonęły odraza i szok. Zaczepnęła głęboko powietrza i odetchnęła przeciągle, z rozmysłem.

A potem wymierzyła mi policzek.

- Nigdy więcej nie waż się mnie uderzyć, kurwa! - wrzasnęła, tłukąc mnie dłońmi w pierś, podczas gdy ja cofnąłem się zaskoczony.

Gdy chwyciłem ją za nadgarstki, zaczęła kopać mnie boleśnie po голениach. Pchnąłem ją na ścianę.

- Zabierz te pieprzone łapy... - syknęła, próbując mnie podrapać. Pluła i wierzgała wściekle, kiedy uniosłem ją z podłogi.

Objęła mnie w pasie nogami, jej pięty waliły mnie w krzyż, palce wygięły się w szpony, zęby kłapały, starając się dosięgnąć mojej twarzy. Naparłem na nią całym ciałem, jedną dłonią przygwoździłem jej nadgarstki do ściany nad głową, drugą chwyciłem za brodę, przytrzymując w miejscu. Wyginała się, wiła i warczała, kopiać raz za razem w nerki, w końcu jej energia zaczęła się wyczerpywać i opór stopniowo słabł.

- Teraz mnie wypieprzysz? - rzuciła wściekle. - Zgwałcisz, duży człowieku? No dalej, pojechańcu, na co czekasz? Zróbmy to. Śmiało.

- Uspokój się - powiedziałem.

W końcu szpony znów przemieniły się w palce. Spuściła luźno nogi. Wzrok

złagodniał, w oczach pojawiła się rezygnacja.

- Po prostu się uspokój - powtórzyłem, puszczając jej gardło, a ona zaczęła chwytać ze świstem hausty powietrza.

- Kiedy mnie następnym razem uderzysz, zabiję cię, kurwa - wydyszała.

Potraktowałem to jako uczciwe wyzwanie.

- Kiedy cię następnym razem uderzę, będziesz musiała odłożyć to na później.

- Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. - Uśmiechnęła się, jej wargi dzieliły od moich centymetry. Jej włosy otarły się o moją twarz, kiedy dmuchnęła, żeby usunąć je sprzed oczu. - Już w porządku, możesz mnie puścić, jeśli nie zamierzasz mnie zgwałcić.

Wdychałem woń wanilii, migdałów i kokosa, ślad mięty i delikatny, podskórny zapach świeżego, czystego potu. Policzek mnie palił, serce waliło jak młot, a dół brzucha zamienił się w ścisły, bolesny węzeł. Nogi jednak nawet nie drgnęły.

- Nie tknąłem jej palcem - powiedziałem.

- Nie - odparła cicho. - Tak mi się wydawało. I wróci, prawda?

- Och, wróci. - Skinąłem głową. - Gwarantuję to. Absolutnie.

Biiip.

- Około ósmej. Nie musisz się stroić. Do zobaczenia.

- Zastanawiam się, czy wiedzą, że wciąż żyję. To znaczy czy naprawdę wiedzą. Widzi się w telewizji tych wszystkich biednych skurwieli, którzy gadają w kółko o tym, jak nie wyrzekli się jeszcze nadziei, wiedzą, że ona gdzieś tam jest, i nie przestaną szukać, dopóki nie wróci cała i zdrowa, i błagamy, przywieźcie ją do domu, nie zasługuje na to, nigdy nie wyrządziła nikomu krzywdy i tego rodzaju gówno. Ale to bzdury, prawda? Koniec końców dowiadują się, że nie żyje, zanim zauważyli, że jej nie ma. Zabawne. Miałam rozmowę z mamą. Mogę się założyć, że pogodziła się z tym w swojej głowie, i to nie raz. Dranie już mnie prawdopodobnie pogrzebali. Mają obsesję na tym punkcie. Pogrzebali moją babcię, choć mówiłam tysiąc razy, że chce, by jej prochy rozsypano z nabrzeża w Eastburne. Moja siostra wprowadziła się już prawdopodobnie do mojego pokoju. Była załamana, kiedy znalazłam pracę i okazało się, że nie spieprzę na uniwersytet. Powtarzała mamie, żeby mnie wykopała i zmusiła do poszukania sobie

mieszkania, ale najwidoczniej jestem za dobra w sprzątaniu i niańczeniu dzieci, żeby pozwolić mi na własne życie. Więc żyję jak się patrzy w klatce i wycieram po marudnych małych sukach. Rany, wiesz co? Nie uświadamiałam sobie, w jak niewielkim stopniu zmieniło się moje życie. Właściwie jest nawet lepiej, bo teraz nie muszę zrywać się co dzień rano i iść do pracy. Na dobrą sprawę powinnam ci dziękować. Chodzi mi o to, że mnie żywisz i ubierasz, zapewniasz dach nad głową, przyrowadzasz mi miłe przyjaciółki, z którymi mogę się bawić... wystarczy, że dostanę od czasu do czasu po twarzy, i nie robisz tego nawet tak mocno i brutalnie jak mój ojczym, więc jest to coś w rodzaju pieprzonych wakacji. A ja marzyłam o tym, że rzucisz mi klucz i wpadniesz pod kombajn... Jak bardzo można być niewdzięcznym, kurwa?

- No i co ty na to?

Wygięta aluminiowa szyna, zabezpieczona trzema wspornikami przytwierdzonymi przez ściany i sufit klatki do zewnętrznych płytek stalowych na zewnątrz. Drewniane kółka o średnicy pięciu centymetrów podtrzymujące dwie bawełniane zasłony w kolorze lawendy, które zaciągnięte, otaczały toaletę i umywalkę, chroniąc przed obiektywem kamery.

- Mam wątpliwości co do koloru.

- Przyniosę ci kilka kredek.

- I oczywiście wystarczy, że obejdiesz klatkę z drugiej strony i będziesz mógł mnie widzieć.

- Jak ci już wielokrotnie mówiłem...

- Tak, tak, wiem, nie masz ochoty patrzeć, jak sikam.

- No to w porządku.

- Dobrze.

- Potrzebujesz czegoś jeszcze?

- Dziewczęcych utensyliów.

- Dziewczęcych utensyliów? Co to takiego? Kucyk pony? Prawdziwy kucyk?

- Nie, dziewczęce uten...

- Czym są, u diabła, dziewczęce uten...

- Och, do kurwy nędzy, zbliża mi się okres, okay? I nie zamierzam przez cały tydzień wpychać sobie w majtki papieru toaletowego, więc potrzebuję pod pasek Always Ultra, średni rozmiar, w zielonym opakowaniu. Leżą tuż

obok tych odświeżaczy powietrza. Mówię poważnie, nawet się ze mną nie kłóć, to nieludzkie.

No tak, racja.

- Spróbuję zapamiętać. I jeśli nauczysz się przed naszym następnym spotkaniem słowa „proszę”, to postaram się jeszcze bardziej.

- Boże, jesteś tak beznadziejny jak mój ta... - zaczęła, ale nie dokończyła.

Wygrzebałem skądś odpowiednią ripostę, ale jakoś nie mogłem się na nią zdobyć. Po krótkiej, lecz niezręcznej chwili milczenia Erica przewróciła oczami i odprawiła mnie impertynenckim ruchem ręki. A potem, kiedy otworzyłem drzwi pomieszczenia, zawołała do mnie:

- Zaczekaj. Zapomniałam o czymś.

Odwróciłem się do niej już na progu, z kluczami w ręku, walcząc z nagłym i osobliwym pragnieniem, by pozbawić ją możliwości potępienia samej siebie.

- O co chodzi? - rzuciłem opryskliwie.

Objęła się ramionami, wlepiła wzrok w podłogę.

- Dziękuję - wymamrotała. - Za te wszystkie rzeczy, które mam na sobie.

Są śliczne.

I znów nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć.

# ROZDZIAŁ CZTERNASTY

- To dziwaczne. - Rachel roześmiała się, kiedy staliśmy obok siebie na parkingu pod Zawziętym Królikiem, zastanawiając się nad procesem myślowym, który mógł zrodzić taką nazwę pubu.

- Wygląda trochę... obskurnie. Założę się o wszystko, że roi się tam od brudnych starych mężczyzn w gumowanych nieprzemakalnych płaszczach. Przesną rozmawiać, odwrócą się i popatrzą na nas, kiedy wejdziemy.

Było z pewnością cicho, jedynie migotanie świateł i przesuwanie się cienie za witrażowymi oknami zdradzały jakiegokolwiek oznaki życia.

- Jestem pewien, że będą patrzeć tylko na jedno z nas - zauważyłem.

- Prawdopodobnie. - Zachichotała, wskazując głową wizerunek puszystego różowego królika nad drzwiami. - Ale które?

- Słuszna uwaga - zgodziłem się. - Czyj to był w ogóle pomysł?

- Jestem pewna, że twój.

- Czy byłoby z mojej strony niezbyt dżentelmeńskie, gdybym pamiętał sprawy nieco inaczej?

- Tylko wtedy, gdybyś powiedział to głośno.

Zaciśnij zęby. Przełknij mocno.

- Wspomniałem, że wyglądasz w tej sukience oszałamiająco?

- W takim razie ci wybaczam. - Stuknęła obcasami, wyprostowała się, odetchnęła głęboko.

- Gotowy?

- Powiedziałbym: zdeterminowany.

Wzięła mnie pod rękę i poprowadziliśmy się nawzajem przez błoto i żwir do drzwi pubu. Nigdy sobie nie wyobrażałem, że taki gest może odznaczać się podobną naturalnością. W ciągu tych kilku sekund wyobcowanie ulotniło się niezauważalnie, a ja nie odczuwałem niczego innego prócz zadowolenia. Dopiero gdy stanęliśmy pod drzwiami, a Rachel cofnęła się o krok, żeby mi się przyjrzeć, w mojej głowie pojawiła się mgiełka; miałem wrażenie, że moje wnętrzości robią się ciężkie, a niepokój ujawnia się z całą siłą.

- Tak przy okazji - powiedziała, uśmiechając się cierpko i obrzucając mnie uważnym spojrzeniem. - Mogę powiedzieć, że wyglądasz dziś diabelsko przystojnie?

Nie przysięgłbym, ale jestem niemal pewien, że się zarumieniłem.

- Zachowuj się - ostrzegłem ją. - Moje rozdmuchane ego staje się niezdolne.

- Bzdura. - Roześmiała się, wprowadzając mnie do środka. - Jesteś jak szczeniaczek.

Od razu się zorientowałem, że mam kłopoty. Najpierw trzeba było użyć znacznej siły, żeby otworzyć solidne drzwi dębowe, ich gumowa uszczelka westchnęła z wyczerpania, uwalniając dźwiękową falę, która popłynęła niepowstrzymanie, atakując wilgotne wieczorne powietrze. Nikt nie znieruchomiał i nie popatrzył w zachwycie na Rachel, gdy wzięła mnie za rękę i wprowadziła w istny malstrom światła stroboskopowych i obnażonego ciała kobiecego.

Żar był intensywny, hałas prawie namacalny - jazgotliwe urywki prowadzonych krzykliwie rozmów mieszały się z rapowanym wokalem, muzyką filmową Hermanna i łomoczącym basem. Otaczali nas zewsząd młodzi, niecierpliwi ludzie w ferworze leniwych zalotów dwudziestego pierwszego wieku. Arogancy mężczyźni w koszulach znanych projektantów i czapkach baseballowych, pragnący za wszelką cenę obdarzyć swymi hormonami coś bardziej ożywionego niż chusteczka higieniczna. Stłumione chichoty nastoletnich dziewcząt odślanających połacie sztucznie opalonej skóry, miękkie, gibkie ciała wciśnięte w staniki push-up i obcisłe w biodrach spódnice nieprzyzwoitej długości. Tłoczyły się wokół baru, szukając okazji, by ocierać się bezwstydnie o siebie, i odsuwały się skwapliwie, gdy pojawiała się kelnerka obładowana drinkami. Każdy dobroczynny ruch tłumu stanowił przelotną, lecz podniecającą okazję, żeby bzyknąć nogę nieznanego. A powiadają, że romantyczność umarła...

- To towarzystwo udatni się, kiedy kapelusz zacznie grać - zapewniła mnie Rachel. - Nie przeważa do stulatków.

Zapowiadała się długa noc. Pochyliłem się niezgrabnie, moje ucho znalazło się dwa centymetry od jej ucha.

- Powiedziałam, że to towarzystwo ulotni się, kiedy kapela zacznie grać. Nie przemawia do nastolatków.

Mogłem mieć tylko nadzieję, że się nie myli; groziło mi poważne niebezpieczeństwo, że się ujawnię, gdy wycinaliśmy ścieżkę do baru przez zimny bufet pełen przesadnie aplikowanego błyszcząca do warg,

nakładanego kielnią podkładu, kruszącego się korektora. Krtań miałem zaciśniętą od mgiełki tanich perfum, przyprawiającego o mdłości odoru mandarynek, gardenii i fuksji. Zamknąłem oczy, skupiając się na miękkim ciepłe dłoni Rachel, na jej ramieniu, którym ocierała się o moje. Odgrodziłem się od bluźnierczej paplaniny, absurdalnego ogłuszającego śmiechu i powtarzanych przez głośniki żądań tuż nad moją głową: „dajcie więcej”, i przez jedną ulotną chwilę byliśmy upojnie sami, ciesząc się spokojnym spacerem po jakimś odległym, skąpanym w słońcu wybrzeżu, z dala od ciekawskich oczu, macających dłoni i kretyńskich pijaków odznaczających się suwerennymi palcami. Czując biały piasek pod stopami, delikatny wiaterek w ledwie zmarszczonych włosach, obserwowaliśmy, jak blask porannego słońca skrzy się na wodzie, spoglądaliśmy w nieskończony czysty błękit nieba i kołysaliśmy się w takt nieskazitelnej kołysanki, wygrywanej przez łagodne fale obmywające plażę.

A potem obróciła się do mnie, stanęła na palcach i krzyknęła mi prosto w ucho:

- Sam musisz coś zamówić! Nikt mnie nie obsłuży... kelnerki to wyłącznie młode dziewczyny.

Pętla się zacisnęła.

- O mój Boże, spójrz tylko na to. - Rachel wsparła się łokciami na stole i ukryła twarz w dłoniach, patrząc przez palce na koszmar przed sobą. - Poważnie, gdybyś miał tak wiele atutów, skrywałbyś je, prawda? Nie patrz.

Popatrzyłem. Zgodziłem się z nią. Skinąłem głową.

- Powiedziałam: nie patrz! Wie, że rozmawiamy o niej, cholera. Wciąż tu patrzy.

- No to podejdź do niej i powiedz, żeby nie patrzyła.

- Czekaj, idzie tu.

- Nieprawda.

- Chyba chce z tobą porozmawiać. Zaczekaj... ma różę między zębami i paczkę kondomów. Zamierza zabrać cię do domu i udusić tymi wielkimi spoconymi piersiami. Boże, i wystarczyło z twojej strony jedno nieznaczące spojrzenie. Wyobraź sobie, co mógłbyś tu podłapać, gdybyś bardziej się postarał!

- Drżę na myśl, co mógłbym tu podłapać.

- Wiem. Sama położyłam papier na sedesie i nie usiadłam na nim, kiedy

poszłam... pewnie nie potrzebujesz o tym wiedzieć.

- Nie chcę, masz absolutnie rację. Co z tego, że masz zdrowe nerki? - Głęboki łyk wina, by pokryć zmieszanie. To była głupia uwaga. Sikanie, nerki, takie skojarzenie, ale uwaga głupia. - Z drugiej strony naprawdę chcę wiedzieć o tobie wszystko, co tylko możliwe.

- Och, wierz mi, nie chcesz wiedzieć wszystkiego. - Skrzyżowała z rozmysłem ręce na piersiach, a potem pochyliła się i wsparła nimi o stół. - Większość jest niewiarygodnie nudna. Tata zwykł mawiać, że jeśli to masz, to się tym afiszuj, a jeśli nie, to wracaj do swojego pudełka. A jak się siedzi w swoim pudełku, to niewiele ma się do powiedzenia. Spytaj swoją nową dziewczynę, która tam stoi. Jestem pewna, że przyzna mi rację.

Tym razem oparłem się pokusie, by spojrzeć.

- Nie rozumiem - powiedziałem. - Czego ci niby brakuje?

- Tego. - Wzruszyła ramionami. - Wszystkiego, czym mogłabym się afiszować.

- Więc ta suknia do kostek z długimi rękawami... - Jej oczy straciły na chwilę blask, ich spojrzenie powędrowało ku mankietom. Moje oczy zdradzały źródło pytania. *Mayday*. - Chodzi o to, że wystarcza mi jedno spojrzenie, by zapragnąć afiszować się z tobą. Bóg jeden wie, że osobiście nie mam się czym chwalić.

W każdym razie nie publicznie.

Na twarz Rachel powrócił żartobliwy uśmiech, podniosła wzrok i roześmiała się, a elektryczna niebieska iskierka przebiegająca przeze mnie rozpałała moje zakończenia nerwowe.

- No cóż, przypuszczam, że to wyjaśnia, dlaczego siedzimy tu razem - oznajmiła w zadumie. - Bo znam cię od dwóch dni i ja też chcę, żebyś się ze mną afiszował.

Milczenie, jakie między nami zapadło, podczas gdy szukałem w myślach stosownej odpowiedzi, było błogosławione. Niestety kapela, i to w sposób doprowadzający do szału, nie podzielała mojego zdania.

Potem rozmowa była już prawie niemożliwa. Bolesny dla uszu napór plugawego funk-rocka był wystarczająco natarczywy, ale w miarę jak kapela się rozkręcała, prowizoryczny parkiet gęstniał od pijacko giętkich obecnych w tłumie. Przed końcem pierwszego utworu rytmiczne wężowe ruchy nagiego ciała kobiecego wyostrzyły mój umysł. Popatrzyłem na Rachel,



która uśmiechała się dociekliwie, trzymając mnie za rękę. Zaproponowała mi skręta. Odmówiłem. Pokręciła głową i nachyliła się bliżej.

- Powiedziała, że jestem wniebowzięta! - krzyknęła.

Pełen ulgi, zgodziłem się.

Oceeniłem sytuację. Sobotni wieczór, dwudziesta pierwsza czterdzieści osiem. Siedzę przy lepkiem i chybotliwym stoliku, w sali pełnej odsłoniętych dekoltów i nagich ud, trzymając się za ręce z oczarowaną nieznaną, mając uszy pełne uporczywego dzwonięcia. Przyjemne wrażenie opuściło mnie nagle. Łaskotanie w brzuchu zniknęło, pojawił się paskudny, drażniący niepokój. Poczułem, jak druga dłoń zaczyna drżeć, a prawe kolano podrygiwać bezwiednie. Rachel wciąż mówiła, wciąż się śmiała, jej komentarze spotykały się zapewne z moimi; rejestrowałem je jedynie jako fale odległego dźwięku. Intrygujące mrowienie u dołu kręgosłupa przemieniło się w węzeł napięcia, który już się rozplątywał, jego macki pełzyły po plecach powoli, lecz nieomylnie ku umysłowi.

- ...pieprzyć mnie, pijąc jednocześnie moją krew. - Rachel przewróciła oczami i roześmiała się z własnej niezdolności przewidywania.

Na szczęście wiedziałem, co ma na myśli.

Moja dorodna wielbicielka krążyła gdzieś w polu widzenia, zerkając na mnie ukradkiem. Prowadzona w przeciwnym kącie krzykliwa rozmowa między tlenioną blondynką a jej obwieszonym błyskotkami dandysem nabierała z każdą sekundą agresji. Wypięte piersi i gwałtowne ruchy rąk sygnalizowały bliskie fajerwerki, i rzeczywiście po chwili dziewczyna wstała gwałtownie i sięgnęła po najbliższy pełny kieliszek.

Ścisnąłem delikatnie kolano Rachel i wypowiedziałem bezgłośnie:

- Zaraz wracam - krzywiąc usta w imitacji beztroskiego uśmiechu.

Dzięki wcześniejszej penetracji wiedziałem, że korytarzem prowadzącym do toalet można też dotrzeć - skręcając, zawracając i korzystając z wyjścia pożarowego - do alejki w narożniku parkingu. Minąłem stolik skłóconej pary w chwili, gdy blondynka rzuciła pusty kieliszek na kolana oblanego jabłecznikiem przyjaciela, chwyciła torebkę i wpadła na mnie z bełkotliwym i zdawkowym:

- Sorry, kolego.

Uśmiechnąłem się fałszywie do jej pleców, uniosłem dłonie w geście zrozumienia i zniknąłem w korytarzu.

Zablokowałem drzwi pożarowe rygłem i umknąłem z alejki. Blondyna przystanąła, chwając się w blasku płynącym z okien, zaangażowana w walkę z zawartością swojej torebki, podczas gdy ja zbliżyłem się szybko i ukradkiem do furgonetki. Na szczęście gdy wyjęła z torebki rękę, okazało się, że trzyma kluczyki do wozu, po czym ruszyła po żwirze zygzakowatym i chybliwym krokiem w moją stronę, ewentualnie w stronę czegoś innego. Otworzyłem tylne drzwi furgonetki i wyjąłem strzykawkę wciśniętą pod podsufitkę ze sklejki, potem zdjąłem z igły gumowy kapturek i zwinąłem się jak wąż przed atakiem, gdy przeszła obok, nawet nie spojrzawszy na mnie.

Wiedziała jednak, że tam jestem. Jej kark zeszywniał. Dłoń zacisnęła się na kluczykach. Zatoczyła się, wykonując półobrót i zmieniając kierunek spojrzenia.

- Nacokurwasięgapisz - rzuciła przeciągle. Potem upadła.

Wsunąłem odruchowo strzykawkę między zęby i podniosłem dziewczynę z ziemi, obróciłem twarzą do góry i włożyłem do furgonetki. Przesunęła się po podłodze i walnęła mocno głową w przegrodę. Była całkowicie bezwładna, ręce i nogi rozrzucone, włosy rozsypane. Żyły, do wyboru, do koloru, gotowe przyjąć małą dawkę etorfiny. Najtrudniejsze już za nami.

Tyle że nie było to najtrudniejsze. Najtrudniejsze miało się dopiero pojawić. Usunąłem ze strzykawki nadmiar zawartości i umieściłem ją na swoim miejscu, po czym odpiąłem dwa główne pasy od przegrody i popatrzyłem na swą słabiutką ofiarę rozpostartą w stylu orła czy może kurczaka na podłodze, i poczułem, jak moje łaknienie, jak całe moje rozpaczliwe, nieustępliwe pragnienie po prostu się ulatnia. Nagle wszystko, co miałem w głowie, to była jedynie Rachel. Wszystko, co wypełniało mi trzewia, to był tylko żal. Wszystko, co spoczywało u mych stóp, to był tylko śmieszny, niezgłębiony błąd w ocenie.

- Cholera - mruknąłem i poczułem, jak w mojej krtani wzbiera żółć głębokiego wstydu. - Masz podejście do dziewczyn, kretynie.

Wciąż mogłem to rozwikłać. Może nawet węży ściskające mi żołądek. Zostawić ją w miejscu, w którym upadła, i pozwolić, by zgarnął ją jej przemoczony chłopak, kiedy byłby już na to gotowy. Schyliłem się, chwyciłem ją za kostki i zacząłem wyciągać z wozu.

- Przepraszam - powiedziałem. - Nie poznaję dziś samego siebie. Jesteś bardzo słodka, wiem też, że panuje ziąb, ale rozumiesz... trzy osoby to już

tłum i tak dalej.

Podobnie jak czternaście osób, czyli przybliżona liczba hałaśliwych bandziorów, którzy właśnie w tym momencie postanowili zapalić sobie na parkingu.

- Ale jaja - podsumowałem.

- Przepraszam, że nie byłem dziś wieczór idealnym kompanem.

Czułem się teraz bardziej odprężony, jadąc między czarnymi jak smoła rzędami sosen i widząc blask reflektorów, który wycinał we mgle enigmatyczną ścieżkę.

Rachel była z pewnością jeszcze bardziej odprężona. Ja wypłem jeden kieliszek wina, ona trzy, i z zamkniętymi oczami i miękkim uśmiechem opierała głowę o zimne, wilgotne okno.

- Nie bądź głuptasem. - W jej głosie wyczuwało się śpiewną nutę błęgiego zmęczenia. - Świetnie się bawiłam. Przykro mi tylko, że lokal okazał się taką spelunką.

- Był spelunką, dopóki się nie pojawiłaś.

Chryste. „Często tu przychodzisz? Co taka miła dziewczyna jak ty robi w takim miejscu? Muszą cię boleć nogi, bo przez cały wieczór biegając po moich myślach...”.

- Rany! - odrzuciła głowę do tyłu w napadzie chichotu, który był nieodparcie zaraźliwy.

- Przepraszam, nie mam pojęcia, jak mi się to wyrwało. - Roześmiałem się. - Albo jestem koszmarnym bawidamkiem, albo podróżuje z nami Tony Bennett, który wsiadł z tyłu, kiedy nie patrzyliśmy.

- Jeśli to naprawdę Tony, to mam nadzieję, że nie liczy na nocleg w moim domu.

- Nie, „żadnych obcych w raju...”.

Cholera. Moja puenta została przerwana gwałtownie przez niewielki garb na drodze; samochód podskoczył, a zza przegrody za naszymi plecami dobiegł odgłos ciężkiego uderzenia, a po chwili rozległ się potężny trzask i mokry łoskot, który odczułem przez podeszwy butów.

Rachel wyprostowała się gwałtownie i popatrzyła na mnie z niepokojem.

- Co to było, kurwa? - wymamrotała.

Nie musiałem udawać niepokoju.

- Nie jestem pewien, czy chciałbym wiedzieć.

Odpięła pas i uklękła na fotelu, potem przyłożyła ucho do cienkiej wykładanej materiałem ściany za swoim siedzeniem, ja zaś szukałem miejsca, w którym mógłbym się zatrzymać. Po kilku metrach na trawiastym poboczu pojawił się wylot przesieki; zjechałem ostrożnie z drogi i ustawiłem furgonetkę tyłem do drzew.

- Zostań tu i zamknij drzwi - nakazałem, wyciągając ze schowka małą latarkę. - Zaraz wracam.

- Zaczekaj. - Chwyliła mnie za ramię i przykuła do miejsca spojrzeniem, w którym malowało się przerażenie. - A jeśli to... a jeśli to Tony Bennett?

- „Rozchmurz się” - odparłem, cytując tytuł piosenki Bennetta. - Zna „zasady drogi”. Jeśli okaże się, że jedzie na gapę „o wczesnym poranku”, to „dotknie ziemi” własną twarzą. To z pewnością nie będzie „początek pięknej przyjaźni...”. No, mniejsza z tym. - Otworzyłem drzwi po swojej stronie i wyszedłem na nocne zimno.

- Biedny Tony. No cóż, „łatwo przyszło, łatwo poszło”.

- Nieźle zagrane. - Mogłem patrzeć, jak śmieje się przez cały wieczór, ale poradziłem: - Zamknij się od środka.

Zatrzasnąłem drzwi i znalazłem się sam w ciemności. Mgła się rozpostarła na dobre i zgęstniała, tworząc nieprzeniknioną kolistą ścianę w odległości niespełna sześciu metrów. Powietrze było ciężkie, wilgotne i wypełnione ciszą, zakłócaną jedynie donośnym echem moich kroków; podążało za mną, kiedy zmierzałem w stronę tylnej części furgonetki, wypatrując w mlecznej gęstości oznak jakiegokolwiek ruchu, nasłuchując z uwagą trzasku gałązek, szelestu liści. Stałem przez chwilę nieruchomo plecami do drzwi wozu, próbując zmusić nocne stworzenia, by zdradziły swą obecność. Ale niczego nie było. Zadowolony, że jestem sam, odwróciłem się i otworzyłem drzwi.

Zła wiadomość: dwa haki pękły i mój ładunek nie był już zabezpieczony.

Dobra wiadomość: nigdzie nie dostrzegłem Tony’ego, a blondynka wydawała się zgaszona niczym światło.

- Ale łomotało! - Rachel cofnęła się gwałtownie, kiedy otworzyłem drzwi.

- Znalazłeś tam jakichś piosenkarzy na gapę?

- Niestety nie. Tylko przewrócone pudełko z narzędziami.

- Szkoda. Moglibyśmy zafundować sobie „Księżycową serenadę”. - Wyrzwała w szarość spowijającą furgonetkę. - Gdyby był tu księżyc.

- Mógłbym oczywiście zaśpiewać, ale o ile sobie przypominam, nigdy mi

to nie wychodziło.

Uśmiechnęła się i przyjęła wypoczynkową pozę przy oknie.

- Wobec tego jedziemy do domu. Zatańczymy nadzy pośród drzew innym razem.

- Chcę to zrobić, i to zdecydowanie.

Uśmiechnąłem się, odnotowując w pamięci, by dostosować odpowiednio plany, i wyjechałem z powrotem na drogę, zostawiając blondynkę, by odespała za ostrokrzewem mniejsze zło z dwóch możliwych.

# ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Niedziela zaświtała bajkową cudownością dziecięcego rysunku; na nieskończonym niebieskoczarnym niebie, upstrzonym migotliwymi gwiazdami i wełniastymi chmurami, płonął postrzępiony patchwork czerwieni i różu. Patrzyłem, jak słońce wschodzi nad drzewami, i słuchałem odległego wołania kukułki, siedząc w ogrodzie z herbatą; wdychałem słodką woń fuksji i wspominałem słowa pożegnania wypowiedziane przez Rachel.

Zatrzymałem się przed jej domem, a ona zaprosiła mnie do siebie. Zwalczyłem pokusę i odmówiłem, aczkolwiek nie mogąc ukryć natychmiastowego żalu. Uśmiechnęła się do siebie z zadowoleniem, jakbym przeszedł jakąś niepisaną próbę. Wyraziła życzenie, by znów się ze mną spotkać, i to wkrótce. Potem przysunęła się bliżej, ścisnęła mi rękę i pocałowała delikatnie w policzek. Uczucie ciepła było mi całkowicie nieznanne i radosne, chciałem doznać go znowu, znowu, znowu, znowu, znowu i znowu. Czy nie o tym mówiły te wszystkie piosenki?

Wschodzące słońce spalało chmury, malowało niebo na olśniewający porcelanowy błękit i ogrzewało mi skórę, kiedy wytaczałem jensena z garażu i rozpoczynałem zmagania z nową wiązką kabli, pogwizdując przy robocie i rozkoszując się zaraniem doskonale pięknego dnia.

Mogłem się więc domyślić, że o siódmej pojawi się sierżant Green i zepsuje mi ów dzień do szczętu.

- Cóż za niezwykła przyjemność - oznajmiłem z serdecznym uśmiechem na ustach, kiedy wysiadła z tylnej kanapy bmw, jeszcze nim samochód zatrzymał się na dobre. Tani kostium zniknął, jego miejsce zajął uspokajająco powszedni strój. Top był gustownie skrojony, ale miał tendencję do podjeżdżania o kilka centymetrów w górę, gdy Green zamykała za sobą drzwi samochodu. Dżinsy opierały się na wąskich biodrach i kończyły kilkanaście centymetrów nad adidasami. - Nie możemy tak się spotykać. Poufałość rodzi lekceważenie, jak powiadają.

- Właśnie dlatego inspektor Fairey zostanie w wozie - odparła.

Za tylnym oknem bmw widać było niewiele więcej niż tylko sylwetkę Faireya, ale mogłem zauważyć, że uraczył mnie jednopalcowym pozdrowieniem, kiedy starałem się go dostrzec.

- Rozumiem, że ma pan chwilę? - dodała raczej zbędnie.

- Dla pani zawsze. - Zaciśnięciem zębów. - Kogo tym razem zamordowałem?

Odwróciła się w stronę samochodu i uśmiechnęła nieznacznie, gdy z przodu wysiedli dwaj osobnicy w szytych na miarę garniturach.

- To jest główny inspektor Lowry - powiedziała, wskazując przy tym niższego z mężczyzn. Po czterdziestce, nieogolony od tygodnia, lekko utykający. Ogorzała twarz, na której, jak się domyśliłem, gościł niezmienny wyraz zniecierpliwienia. - I sierżant Diaz. - Około trzydziestu pięciu lat, zadbany i lepiej wyglądający w swoim garniturze. Chodził odrobinę pałakowato, prawdopodobnie był to skutek częstej jazdy na dużym motocyklu. Nie wyglądał na koniarza. Ani na Portugalczyka, skoro już o tym mowa. - Wydział zabójstw - dokończyła.

Kurwa. Dziwne słowo. Tak cudownie uniwersalne, a jednak, w efekcie, tak pozbawione konkretnego znaczenia. Pamiętam dokładnie, jak ojciec, przeciąwszy sobie kciuk piłą taśmową, z dumą oddał należny honor temu określeniu, postępując się niemal wszystkimi jego wariacjami w jednym wybuchu wściekłości:

- Och, kurwa! - wrzasnął. - Shirley, przynieś mi kurewski bandaż! Shirley? Do kurwy nędzy, gdzie to kurewstwo... Znajdź te kurewskie opatrunki! Nie obchodzi mnie, kurwa, co robisz... Spójrz na mój kciuk, właśnie go skurwiłem! Ożeż kurwa!

Mniejsza z tym.

- Miło mi poznać - skłamałem grzecznie.

Lowry ujął moją wyciągniętą dłoń i potrząsnął nią energiczniej, niż mogłem się spodziewać, sądząc po jego zachowaniu.

- Mnie również - odparł chrapliwie, jakby miał gardło pełne żwiru, niewątpliwy akcent z okolic Londynu.

Uścisk Diaza był bardziej zwarty, mocniejszy.

- Dzień dobry. - Uśmiechnął się, ujawniając brak siekacza i nie zdradzając nawet w najmniejszym stopniu pochodzenia.

- Wie pan, dlaczego tu jesteśmy? - spytał Lowry, licząc zapewne na to, że zaoszczędzę mu trochę czasu i wyznam prawdę.

- Obawiam się, że nie - odparłem, starając się za wszelką cenę obdarzyć ich zakłopotaniem spod znaku „mam-nadzieję-że-zdołam-jakoś-pomóc”. - Co mogę dla panów zrobić?

Lowry, z całkowicie obojętną miną, wyjął z kieszeni marynarki zdjęcie formatu osiemnaście na dwanaście centymetrów i podsunął mi pod nos. Pozbawiony kroju czarny blezer, wymuszony uśmiech, niebieska welurowa kotara w tle. Portret szkolny.

- Prowadzimy śledztwo w sprawie zaginięcia... - Teraz czułem się zupełnie inaczej, wręcz pewnie, wiedząc, dokąd tym razem to zdanie zmierza, nawet jeśli z góry ostrzeżony nie zawsze jest uzbrojony. - ...Eriki Shaw i Sarah Abbott... - drugie zdjęcie ukazało się zza pierwszego z całym szpanem taniej sztuczki karcianej - ...które są od lutego uznawane za zaginione.

Sytuacja była niezręczna. Green z pewnością знаła tożsamość na wprost ubranej łobuzicy, którą spotkała poprzedniego dnia; i rzeczywiście, zerknęła na zdjęcie, a potem, żeby mnie jeszcze bardziej pogłębić, skinęła Lowry'emu głową i zwróciła się do mnie z niemal figlarnym uśmiechem, który mówił: „Wyjaśnij to”. Zaprzeczenie zatem nie było opcją, chyba że chciałem spędzić cały poranek na tylnym siedzeniu nieoznakowanego radiowozu i czekać, aż zjawią się posiłki, żeby przekopać ogród.

Inna opcja, możliwa dzięki rewolwerowi schowanemu pod paskiem spodni, oznaczała podjęcie działania bardziej afirmatywnego i przekopania ziemi w innym miejscu. Co w nieunikniony sposób prowadziło do podobnego efektu.

Po chwili zastanowienia wybrałem opcję numer trzy: nie próbuj ukrywać, że kogoś rozpoznałeś; okaż niespieszne zmieszanie; wyraż niewinne zaskoczenie.

- Zaginione? - zaskamlałem, być może przesadzając odrobinę z potulnością, skoro Green zbyt jawnie uniosła brew.

- Poznaje pan którąś z tych dziewcząt? - spytała.

- No, jak najbardziej - odparłem, wskazując zdjęcie Eriki. - W przeciwnym razie nie pytałaby pani. Jak to ona się nazywała...?

Green przewróciła oczami i pokręciła w milczeniu głową; najwidoczniej słyszała to już wielokrotnie wcześniej.

- Shaw - wyjaśnił Lowry. - Erica Shaw.

- Powiedziała, że ma na imię Mary - mruknąłem. - Pewnie mi powiecie, że ma piętnaście lat?

Główny inspektor, wykonując zamaszysty gest, schował zdjęcia z powrotem do kieszeni.



- Nie ma piętnastu lat. - Uśmiechną się. - Ale najwidoczniej jest cała i zdrowa, co sprawia, że tym bardziej powinniśmy z nią porozmawiać. Przebywa tutaj?

Zinterpretowałem „tutaj” jako „tutaj, z nami, na podjeździe”, więc moja odpowiedź:

- Nie, obawiam się, że nie - miała w sobie walor prawdy.

- Jak dobrze pan ją zna? - Diaz. Akcent zachodniej Anglii?

- Powiedziała, że ma na imię Mary - powtórzyłem.

Green pochyliła głowę, żeby ukryć cierpki uśmiech.

Diaz spróbował ponownie.

- Jak długo ją pan zna? - Położył nacisk na słowo „długo”.

Skierowałem wzrok ku górze, w lewo, i trzymając ręce przy bokach, dokonałem w myślach szybkiego działania arytmetycznego.

- Około trzydziestu siedmiu godzin - zawyrokowałem.

Tylko Green nie poruszała ustami, kiedy dokonywała obliczeń. I jako pierwsza uzyskała wynik, ale postanowiła milczeć i pozwoliła Lowry’emu ogłosić werdykt.

- Dziewiąta wieczorem, piątek - wydedukował. Należał mu się w nagrodę lizak. - I co, poznaliście się na gruncie towarzyskim czy...

Tak, „grunt towarzyski” brzmiał odpowiednio. Nie krępuj się, naciskaj mnie, ile chcesz.

- Poznałem ją u Murphy’ego. - Gdzie studenci zjawiają się w liczbie trzystu za jednym zamachem, nikt nie zostaje dłużej niż na jednego drinka, a wszystkie dziewczyny wyglądają identycznie. Bo nikt nie patrzy na ich twarze. - Dwie butelki wina i mogą być kimkolwiek. Ciemny bar, krótka spódniczka... wie pan, jak to jest.

Lowry podniósł ręce, które złączyły się na wysokości jego twarzy, palce obracały ukradkiem obrączkę, on sam zaś pokręcił tępo głową.

Green zagryzała w zamyśleniu wargę.

Diaz popatrzył na mnie.

- Więc została tu w piątek na noc, a potem co?

- A potem zawiozłem ją na dworzec autobusowy i pojechała do domu.

- Do domu, to znaczy...

- ...to znaczy tam, gdzie mieszka - potwierdziłem. - Lokum takiego czy innego rodzaju. Może dom albo mieszkanie. - Wszyscy troje przykuwali mnie

niecierpliwym spojrzeniem. - Nie wiem. Gdzieś w mieście.

- Okay. - Lowry skinął głową. - Kiedy znów zamierza się pan z nią zobaczyć? Może ma pan numer jej telefonu?

- Nie. Jeśli nie mogę do niej zadzwonić, to nie mogę też zrobić tego w niewłaściwym czasie. Innymi słowy, sprawiam zawód, kiedy jestem trzeźwy.

- Wygodne.

- Tak, dla niej.

Mogło mi to ująć na sucho.

Mogło.

Lowry popatrzył na dom, na stodołę, za siebie, w stronę garażu.

- Więc jak pan powiedział, nie ma powodu zakładać, że jest tu w tej chwili...

Roześmiałem się.

- Nie trzymam jej skutecznej łańcuchem w piwnicy, jeśli to ma pan na myśli.

Green spojrzała na dom, zmrużyła oczy.

- Piwnica? - spytała w zamyśleniu.

- Nie mam czegoś takiego - poinformowałem. - Ale możecie się rozejrzeć, proszę bardzo - zasugerowałem, analizując gorączkowo i mentalnie swoje włości, by mieć pewność, że moja propozycja jest słuszna. - Nie wątpię, że sierżant Green żywi też pewną ciekawość, którą chciałaby zaspokoić. Może zechce... hm... upiec dwie pieczenie...

Przyglądała mi się badawczo, powstrzymując nieznaczny uśmiech.

- Proszę mi zaufać - powiedziałem niezbyt podświadomie. - Naprawdę nie mam nic przeciwko temu. Czujcie się jak u siebie w domu. Drzwi są otwarte. Pilot do garażu i kluczyki do transita wiszą na haczyku w holu wejściowym. Piwo jest w lodówce. Cała przyjemność po waszej stronie.

Green i Diaz stali przez chwilę w milczeniu, przewiercając mnie wzrokiem, a Lowry skinął refleksyjnie głową. W końcu zwrócił się do sierżant Green i rozkazał:

- No dobra, wyciągnij tego palanta z samochodu i załatwmy to raz na zawsze.

Żałowałem, że nie mogę podzielać jego optymizmu.

- Jeszcze raz chciałabym przeprosić za wczorajsze zachowanie inspektora Faireya - powiedziała Green, znów skupiając się na badawczej obserwacji

mojej twarzy, gdy tylko detektywi od zabójstw znaleźli się poza zasięgiem naszych głosów. - Mam tylko nadzieję, że nie ma pan w zwyczaju żywić urazy, bo ci goście potrzebują każdej możliwej pomocy, a nie chciałabym myśleć, że strzeliliśmy sobie w stopę, jeśli chodzi o Sarah Abbott. Tu nie chodzi o jakąś drobnostkę.

- Zgadza się całkowicie - zapewniłem ją.

- Więc dlaczego opowiadał nam pan te wszystkie bzdury? - spytała rzeczowo, krzyżując ręce na piersiach i opierając się jak gdyby nigdy nic o samochód.

Miała nieprzeniknioną twarz, jak pokerzysta, to musiałem jej przyznać. Wolałem zachować ostrożność, więc spytałem po prostu:

- Co ma pani na myśli?

- Och, niech pan da spokój - jęknęła. - Mały zbieg okoliczności, co? Dziewczyna jest od dwóch miesięcy zaginiona, prawdopodobnie ją zamordowano, a ja przypadkiem znajduję ją w pańskim domu, gdzie przesłuchuję pana w sprawie... co to było? - Uniosła brodę w udawanym odruchu zastanowienia. - Ach tak. Kerry Farrow, zaginiona, prawdopodobnie zamordowana.

- Hej, to niesprawiedliwe - przypomniałem jej. - Sama pani powiedziała, że cała ta sprawa z prostytutką to podpucha.

- Nie, do cholery, nie powiedziałam! - Sapnęła wściekle. - Skutek niepewnej i niepotwierdzonej informacji, tak, to możliwe, ale nie wyciągamy nazwisk z kapelusza. Tak bardzo nie przepadam za papierkową robotą! Wie pan - pomachała dydaktycznie palcem - jestem bardziej szczerą, niż się panu wydaje. Chronić niewinnych, służyć społeczeństwu, stać na straży prawa. Jak RoboCop, tyle że nie tak... stalowo.

- Czy nie tak właśnie mówicie? Wy, policjanci? - Roześmiałem się.

- Prawdopodobnie - odparła. - Ale teraz, kiedy wiemy, że Erica żyje, będzie musiała odpowiedzieć na kilka poważnych pytań, między innymi jak często wychodzi na drinka ze szlafrokiem i lokówką elektryczną.

O cholera. Ponieważ nawet ja nie wierzyłem w ani jedno słowo, jakie dotąd padło z moich ust, spodziewałem się jak najbardziej, że znajdzie jakąś dziurę w mojej wersji. A to była otchłań, ona zaś wypełniła ją gniewnym spojrzeniem, które powstrzymałoby szarżującego byka.

- I - ciągnęła - jestem pewna, że jeśli przemyśli pan starannie te pytania,

to dostrzeże pan w nich sens i nam pomoże, ponieważ ukrywanie tej osoby będzie oznaczać, że jest pan współwinny czemuś, co zrobiła, albo wie pan coś, o czym ona wie, a w takiej sytuacji wpadnie pan po same uszy w gówno. Jestem pewna, że wie pan więcej, niż mówi, i że nie chce pan narobić sobie niepotrzebnych kłopotów, więc lepiej niech pan zacznie iść nam na rękę, zanim ktokolwiek nabierze w stosunku do pana podejrzeń. Albo zanim sam pan sobie zaszkodzi.

Zacisnąłem wargi i skinąłem głową, mając nadzieję, że jest w tym geście uległość, ale nie chęć wyznania czegokolwiek.

- Oczywiście. - Uśmiechnąłem się. - Zrobię, co w mojej mocy.

Green nie odpowiedziała. Wyraz jej twarzy się nie zmienił. Stała nieruchomo jak głaz, wlepiając we mnie wzrok; uświadamiałem sobie mgliście, że mnie prowokuje do jakiejś wypowiedzi. Uplłynęło dobre dziesięć sekund, nim się połapałem.

- Zaraz - powiedziałem i gdy odetchnęła głęboko, uświadomiłem sobie, że zrobiła to po raz pierwszy od dłuższej chwili. - Co miała pani na myśli, mówiąc, że sobie zaszkodzę? - Brak odpowiedzi. - Coś, co zrobiła? Chce mi pani powiedzieć, że zabiła swoją przyjaciółkę?

Green pokręciła nieznacznie głową.

- Niczego takiego nie mówię. - Zerknęła przez ramię, upewniając się z satysfakcją, że jesteśmy sami. - Mówię, że jeśli ktoś nie jest oskarżony o dźgnięcie ojczyzna nożyczkami, nie oznacza, że tego nie zrobił.

Przywykłem już do niebezpiecznego salta w wykonaniu mojego żołądka, ale lodowatość umysłu była dla mnie czymś nowym.

- Jestem... - Jestem... co? Zaskoczony? Naprawdę? - Przepraszam - wyjąkałem. - Co zrobiła?

- Prosto w tyłek, zaraz po tym, jak złamał jej mamie nos. Chwilowy obłęd, jak to określił psychiatra. - Wzruszyła ramionami. - Daleka jestem od tego, by sugerować, co miał na myśli, ale uważam, że powinien pan wiedzieć. - Żebyś mógł się pogrzążyć. - Leży mi na sercu wyłącznie pańskie dobro - zapewniła, uśmiechając się nieprzekonująco.

Odetchnąłem z teatralną ulgą.

- Tak - odparłem bez cienia sarkazmu. - A więc naprawdę jest pani tym dobrym gliną.

Parsknęła cynicznie i podsunęła mi paczkę lucky strike'ów.

- Nic nie jest białe ani czarne, waźniaku - powiedziała. - Nic.

# ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Kiedy masz urodziny?

- Słucham?

- Twoje urodziny. - Erica wzięła ze stołu mój pusty talerz i postawiła go na szafce kuchennej obok swojego. - Kiedy wypadają?

- Były trzy tygodnie temu. Dlaczego pytasz?

Wrzuciła resztki fasolki i boczku do kubła na śmieci.

- Nie wspomniałeś o tym.

- Nie sądziłem, że to ważne.

- Co dostałeś?

- Nie rozumiem.

- Co dostałeś na urodziny?

Przełknąłem resztę herbaty, niepewny, dokąd to pytanie prowadzi. Spodziewałem się głównie kolejnej porcji wyzwick.

- Nic mi nie przychodzi do głowy - odparłem.

- To znaczy, że nie możesz sobie przypomnieć, czy naprawdę nic nie dostałeś?

- Nic nie dostałem.

Włożyła z uwagą talerze do zlewu, patrząc na nie posępnie.

- To przygnębiające - zauważyła.

- Niezupełnie. Jestem do tego przyzwyczajony.

- To jeszcze bardziej przygnębiające.

- O co ci właściwie chodzi?

Erica wzruszyła ramionami, odwracając się od zlewu.

- Tak na dobrą sprawę, to o nic - przyznała. - Tyle że skoro jesteś ostatnią osobą, jaką kiedykolwiek zobaczę, byłoby chyba miło wiedzieć o tobie trochę więcej. - Przesunęła dłonią pod strumieniem, syknęła, odkręciła kran z zimną wodą. - Jestem pewna, że nie winisz mnie za ciekawość. Chodzi mi o to, że jesteśmy tu tylko we dwoje, prawda? I nie wątpię, że żadne z nas nie wie, jak długo będę się tym jeszcze cieszyć. - Popatrzyła na mnie z nieoczekiwanym uśmiechem. - Wiem, jaki jest dziś dzień. Jak długo tu jestem. Zabawne. Potrafię sobie przypomnieć godzinę przed spotkaniem z tobą, jakby było to dziś rano, a mam wrażenie, że jestem tu od lat, nie

tygodni. - Roześmiała się z tej myśli, wlewając do zlewu płyn do naczyń; patrzyła przez chwilę na pienne bąbelki, potem zakręciła krany i zanurzyła w wodzie druciak. - A najgorsze jest to, że kiedy wczoraj dosłownie wlałam na tę policjantkę, to uśmiechnęłam się słodko, jakbym wszystko miała w nosie. I najgłupsza rzecz pod słońcem... zrobiłam to wyłącznie ze względu na nią. Spędzę zapewne resztę życia w klatce, żebyś nie obciążł głowy komuś, kogo nawet nie znam. - Zachichotała pod nosem, skrobiąc energicznie talerze. - Zabawne, przypuszczam, że w tej sytuacji i tak jest mi tu najlepiej. Nie zajdę daleko w życiu, odznaczając się takim instynktem przetrwania, prawda?

- Nie gadaj głupstw - powiedziałem. - Nie ma czegoś takiego jak bezinteresowny akt. Zrobiłaś to dla siebie, nie dla niej. Zrobiłaś to, żebyś nie musiała brać na siebie odpowiedzialności za to, co mogłoby się z nią stać. Wiedziałaś, że nie masz wyboru, i patrz, wciąż tu jesteś. Nigdy nie można być pewnym, co się wydarzy. Może następnym razem nie będziesz stać na straconej pozycji.

- To dla ciebie tylko gra? - Postawiła hałaśliwie talerz na suszarce i odwróciła się do mnie gwałtownie, rozchlapując mydliny po podłodze. - Bo wiesz, to, że zniknęłam z powrotem na górze jak grzeczna dziewczynka, a potem słuchałam, jak jedyna osoba, która może mnie odnaleźć, wsiada do samochodu i odjeżdża, nie wygląda mi na grę. I porozmawiajmy o tym „następnym razie”, dobrze? Nie sądzę, byś kiedykolwiek planował, że zostanę tu tak długo. Zgadza się?

Nie zdawałem sobie sprawy, że to takie oczywiste.

- Dlaczego tak mówisz?

- Cieszę się, że mnie spytałeś. Od czasu, jak tu jestem, wprowadziłeś trzy modyfikacje w moim pokoju. Przyniosłeś mikrofalówkę, żebym mogła przyrządzać sobie posiłki, powiesiłeś zasłonę, żebym mogła myć się bez skrępowania, i zainstalowałeś kamerę, żebyś mógł się przyglądać, jak sikam, i nie musiał cały dzień chodzić tam i z powrotem po podjeździe. Co więcej, Kerry zjawiała się i zniknęła... jak szybko? Po tygodniu? I nie tylko wciąż tu jestem, jak zauważyłeś, ale też wybrałeś się do miasta i kupiłeś mi całą garderobę. O ile się orientuję, wciąż tu będę w wieku osiemdziesięciu lat i czy wolisz to, niż skrócić mi kark i uporać się z tym raz na zawsze... no cóż, naprawdę nie wiem. Dopieś herbatę?

- Tak.

- Wobec tego proponuję, żebyś przyniósł mi kubek, jeśli chcesz, żebym go umyła. Nie podejść do ciebie z własnej woli.

Nie zamierzałem się spierać.

Erica robiła swoje i zabrała się do sprzątnięcia kuchni. Siedząc przy stole, patrzyłem na nią, jak czyści szafki, skrobie piekarnik, zmiata i przeciera na mokro podłogę. Pracowała w milczeniu, co najwyżej zerkając na mnie z urazą. Kiedy skończyła, opuściła ramiona z pełnym satysfakcji westchnieniem.

- No - mruknęła.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Przyszło mi do głowy, żeby jej podziękować, choć nie bardzo wiedziałem, dlaczego miałbym to robić. W końcu nie prosiłem jej, żeby sprzątała. Na szczęście uwolniła mnie od tego ciężaru.

- Pójdę się chyba położyć - oznajmiła. - Chyba że chcesz, bym zrobiła coś jeszcze.

Byłem pewien, że najrozsądniej byłoby się zgodzić, ale uległem dziwnemu impulsowi.

- Właściwie to tak. Chciałbym, żebyś poszła do salonu i rozłożyła się tam wygodnie. Za chwilę do ciebie przyjdę.

Zmrużyła podejrzliwie oczy.

- Mówiąc „rozłożyła się”, chodzi ci o to, żebym...

- Żebyś usiadła, wyciągnęła nogi, odprężyła się.

Nie sprawiała wrażenia przekonanej, ale zrobiła to, o co ją prosiłem.

Kiedy poszedłem za nią chwilę później, miałem w ręku butelkę znośnie przyzwoitej rui i dwa kryształowe kieliszki. Zastałem Ericę usadowioną na samym brzegu sofy, złożone dłonie trzymała na kolanach. Siedziała idealnie nieruchomo, obserwując mnie tak, jak mysz mogłaby obserwować krążącego nad nią sokoła. Otworzyłem butelkę, z przyzwyczajenia zostawiając korek na szpikulcu korkociągu, nalałem do kieliszków i usiadłem w fotelu obok.

- O co chodzi? - Zmarszczyła czoło.

Dostrzegłem jej pozę świadczącą o niepokoju, jej spojrzenie pełne oburzenia i niepewności, i zmusiłem się do uśmiechu.

- Erico, chciałem cię o coś prosić.

Uniosła pytająco brew.



- Jeśli zamierzasz się oświadczyć...

Stłumiłem śmiech.

- No cóż, zamierzałem, ale teraz, kiedy tu siedzimy, a ty obdarzasz mnie lodowatą wrogością, myślę, że odłożę to na inny dzień.

- Sądzę, że tak będzie lepiej. Wiesz, że nie pasuję do ciebie pod żadnym względem.

Uśmiechałem się, kiedy tak siedziała, stukając nerwowo paznokciami, a jej wzrok wędrował ku kieliszкови na stoliku. Och, do diabła z tym.

- Odpowiadając na twoje pytanie, nie jestem z nikim na tyle blisko, by ten ktoś miał pamiętać o moich urodzinach - powiedziałem.

Jej zakłopotanie było aż nadto widoczne.

- Nie bardzo rozumiem dlaczego - zażartowała.

- Nie przygnębia mnie to, że nie dostaję prezentów na urodziny. Pod względem materialnym mam wszystko, czego potrzebuję. Choć może chciałbym dostać kartkę z życzeniami, która świadczyłaby o tym, że ktoś, gdzieś tam, myśli o mnie. Nieważne kto, po prostu ktoś, kto nie ma na imię detektyw.

- Mówisz poważnie? - Sprawiała wrażenie osłupiałej.

- Erico, możesz wierzyć albo nie, ale czasem to męczące być jedyną osobą, która o mnie w ogóle myśli.

- No cóż, jeśli będzie to dla ciebie jakakolwiek pociechą, to ja na pewno myślałam o tobie w dniu twoich urodzin.

- Tak - odparłem z uśmiechem. - Ale myślałaś tylko o tym, czy najpierw wydrapać mi oczy, czy zacząć od kopniaka w jaja.

- Owszem, masz z grubsza rację. - Roześmiała się. - Tak do twojej wiadomości, postanowiłam zrobić to jednocześnie, coś w rodzaju manewru kleszczowego.

Łyknęła wina i obejmując kieliszek dłońmi, podwinęła nogi i usadowiła się na sofie.

- Pewnie załatwiłoby to sprawę - zgodziłem się. Niemal natychmiast nabrałem pewności, że jeszcze pożałuję tych słów, choć sekundę później przebiłem samego siebie następną ofertą. - Okay, co jeszcze chcesz wiedzieć?

Przyglądała mi się przez długą chwilę, na jej twarzy malowało się rozbawienie.

- Co, wszystko? - spytała w końcu z powątpiewaniem w głosie.
- Tak, czemu nie? Wszystko, co chcesz.
- No dobrze - odparła, a jej uśmiech zgasł w mgnieniu oka. - Dlaczego?
- Dlaczego co?
- Wiesz dobrze. To. Ja, Sarah, Kerry...
- Być może „wszystko” zabrzmiało zbyt mocno.
- Niska samoocena i kompleks Edypa - zasugerowałem.
- Och, daj spokój, stać cię na więcej.
- Tak, prawdopodobnie, ale nie rozumiesz istoty. Powiedziałaś, że chcesz poznać mnie lepiej, a nie dokonywać mojej psychoanalizy.
- A czego się do diabła, spodziewałeś? „Jaki jest twój ulubiony kolor?”.
- Gdybym wiedział, że będę musiał stawiać pytania, nie tylko odpowiadać...
- Dobrze - warknęła. - Mniejsza z tym. Nie mam oczywiście prawa wiedzieć, co się ze mną stanie ani co zrobiłam, by na to zasłużyć...
- A kto ma takie prawo? Zastanów się nad tym, co mówisz, Erico. To dwa najważniejsze pytania ludzkości, na które nie ma odpowiedzi: dlaczego tu jestem i jak długo pozostanę? Nie wyróżniasz się szczególnie, nie mogąc dotrzeć do ich sedna.
- Nie, masz rację, nie wyróżniam się. Ale z drugiej strony nie przebywam teraz w wielkim niezmiernym świecie, zastanawiając się, czy jutro przejedzie mnie autobus. Nie próbuj mi wmawiać, że to tutaj to jakaś mikroskopijna wersja prawdziwego życia, bo jest, kurwa, dokładnie odwrotnie. Występuje tu tylko jedna zmienna i jesteś nią ty. - Podkreśliła swój punkt widzenia, osuszając kieliszek, potem sięgnęła zdecydowanym gestem w stronę stolika i znów sobie naląła. - Pieprzyć to - oznajmiła na koniec. - Wiem przynajmniej, że nie przejedzie mnie jutro autobus.
- Tyle mogę ci obiecać - odparłem.
- Odzyskała w tym momencie niejaki spokój, westchnęła ciężko w swój kieliszek i popatrzyła na mnie z mroczną ciekawością.
- Mogę ci zadać pytanie dotyczące Sarah? - odezwała się cichym głosem. Absolutnie i bezwarunkowo nie.
- Tak.
- Zawahała się i zmarszczyła czoło w chwili skupienia, jakby odgrywała w swoim umyśle słowa, te jednak utkwily jej na języku, kiedy otworzyła

usta. W końcu zamknęła oczy, wzięła głęboki oddech i uwolniła je z siebie:

- Cierpiała?

Zastanawiałem się przez moment, czy nie uniknąć odpowiedzi na to pytanie, ale doszedłem szybko do wniosku, że nie ma to sensu; w końcu Erica była świadkiem. Czułem się jednak zaskoczony i trochę zakłopotany taktownością własnej odpowiedzi.

- Nie - zapewniłem. - Nie wiedziała nawet, że tam jestem.

W miarę jak Erica opróżniała kieliszek za kieliszkiem, jej pytania zmierzały z wolna do punktu, w którym chciała po prostu usłyszeć ode mnie to, czego jak dotąd nie wiedziała. Wraz z upływem popołudnia okazywała narastające urzeczenie i fascynację moimi opowieściami o różnych przygodach w Europie i na Bałkanach. W wersji skróconej, ma się rozumieć.

Kiedy wracała o zmroku do swojego pokoju, zataczała się pijana, rechocząc chrapliwie przy każdym niepewnym kroku i pozostawiając za sobą ślad pod postacią książek podróżniczych, które wypadły z zawiniątka przyciskanego do piersi. Z miejsca przyjęła pozycję horyzontalną na łóżku, świadoma wirującego pokoju, szarpiąc ubranie w bezowocnej próbie uwolnienia się od niego. Oszczędziłem jej beznadziejnych zmagania i pomogłem rozpiąć guziki; przyjęła łaskawie i pasywnie moje zabiegi, choć chichotała bezustannie, uciekając się do wyrafinowanych komentarzy w rodzaju: „odpierdol się, nienawidzę cię” i „jesteś stukniętym draniem i nienawidzę cię”, i „nienawidzę cię tak bardzo, że robię się mokra jak pieprzona pizda”, i „jeśli tkniesz moich cycków, zabiję cię”. Na szczęście była dostatecznie przytomna, by wsunąć się pod pościel; spała, nim zamknąłem drzwi, kończąc tym samym jej dzień.

Mój nastrój, gdy wracałem do domu, odznaczał się przez chwilę lekkością. Kiedy jednak znalazłem się w czterech ścianach, byłem wdzięczny za powrót ciszy i spokoju, ponieważ dały mi szansę kontemplacji pierwszej fazy mego uniewinnienia.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Nie wiem, czego się spodziewałem po Annie: prawdopodobnie nieufności albo drzwi zatrzaśniętych przed samym nosem, albo przynajmniej jakiejś iskierki zaskoczenia w oszronionych od wódki oczach. Gdybym zastanowił się nad tym uważniej, to wzięwszy pod uwagę wczesną godzinę, mógłbym oczekiwać na dobrą sprawę, że będzie spała albo uwalniała się od woni jakiegoś nieodpowiedniego zalotnika. Nic z tego.

Annie rozmawiała przez telefon, pękata, staromodną słuchawkę bezprzewodowego aparatu przytrzymała policzkiem na ramieniu, przerwane słowa błąkały się niecierpliwie na jej ustach. Trzymała w ręku dwa kubki herbaty, podała mi jeden, ledwie patrząc na mnie, kiedy odsunęła się na bok i tym samym zaprosiła mnie bez słowa do środka. Potem odwróciła się plecami i przeszła przez swój przeciętny mały salon, tak szary jak przeciętny duch w jej przeciętnych legginsach i przeciętnym swetrze, marszcząc przeciętnymi włochatymi kapciami róg przeciętnego chodniczka przy kominku.

- Nie rozumiem - powiedziała.

Nie ona jedna. Powąchałem ostrożnie herbatę, zastanawiając się, jak długo zwlekałem przy jej furtce ogrodowej, nim zdobyłem się na odwagę, żeby zapukać do drzwi. Dostatecznie długo, by sąsiedzi zgłosili policji obecność podejrzanego intruza? Miałem nadzieję, że nie. Dostatecznie długo, by zauważyli moją obecność? Mogłoby się sprawdzić, pomyślałem, choć oznaczałoby to nieprzyjemną perspektywę, czyli konieczność wyjaśnienia Rachel istnienia Annie, gdyby cały ten plan diabli wzięli. Kubek tymczasem był gorący, a jego zawartość pachniała jak... no cóż, jak herbata. Rzuciłem kluczyki na stół przy drzwiach wejściowych i usadowiłem się na sofie, pluszowej, zachęcającej i odpowiednio sprężystej. Kiedy byłem ostatnim razem w tym domu, podczas gdy Annie leżała w łóżku, śpiąc jak kamień, musiałem użyć całej siły woli, by nie zwinąć się na tych poduszkach w kłębek w celu odchorowania resztek katastrofalnego wieczoru. Patrząc wstecz, gdybym nie napotkał na swej drodze Kerry Farrow, oszczędziłbym sobie stresu i niewygody związanych z tą śmieszną sytuacją; pociągająca perspektywa, gdyby nie Rachel, nieunikniona cena mojego zdrowego

rozsądku. Wehikuł czasu i koc, których miała mi dostarczyć Annie, pomogłyby tylko wymazać Rachel z mojego życia, a nie byłem pewien, czy to całkiem uczciwie. Wehikuł czasu, czyli podróż wstecz, do chwil, które już przeżyłem. A na które rozpaczliwie potrzebowałem alibi dla całego zastępu policjantów.

- Moja siostrzenica - oświadczyła Annie, machając leniwie w moją stronę słuchawką telefonu. - Jest kurewsko podjarana. Posłuchaj... - Włączyła na tryb głośnomówiący i postawiła słuchawkę na stoliku do kawy, żeby jej ledwie nastoletnia siostrzenica mogła wygadać się do woli, podczas gdy ona popijała herbatę.

- ...to właśnie mówi Amy, choć i tak nie lubi obcokrajowców, no ale z drugiej strony jest mało prawdopodobne, by zżarł mnie rekin w basenie, ale mimo wszystko nie weszłam do żadnego basenu przez dziesięć lat, jak już obejrzałam „Szczęki”, nawet jeśli nikt w „Szczękach” nie został pożarty w basenie, wszystko działo się na morzu, a tak po prawdzie pływałam w morzu, kiedy byłam w Australii, był tam jeden chłopak, z którym chodziłam do łóżka, pracował w barze plażowym, twierdził, że jakiś rekin ugryzł jego wuja, kiedy ten był w łodzi, w co nie bardzo wierzyłam, ale tak właśnie stało się w „Szczękach”, choć podobno jeśli naprawdę ugryzą człowieka, to mało kiedy go zjadają, bo ludzie smakują rekinom kurewsko koszmarnie, co jest prawdą, ale wolałabym, żeby przekonały się o tym, żrąc kogoś innego, na przykład Brada, szczerze mówiąc, bo ukradł mi wszystkie czekoladki podróżne, więc koniec końców wakacje okazały się gówniane, pomijając to, że nie użarł mnie rekin, mniejsza z tym, potem byliśmy w McDonalddie, a potem siedziałam w samochodzie osobowym, jak mi się wydaje, albo w furgonetce, nie jestem pewna, ale wóz cholernie podskakiwał i chyba... wciąż skręcailiśmy w lewo, bo chyba się zgubiliśmy, a potem tak się jakoś stało, że wylądowaliśmy na plaży i była trzecia nad ranem, i Lucy nie miała na sobie góry i ci dwaj odrażający faceci stali przed nią, a ona waliła im konia w...

- Jezu Chryste.

Annie chwyciła słuchawkę i pognąła do kuchni z tak przerażającą szybkością, że niemal się spodziewałem, iż zobaczę jej cień w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą stała. Wypiłem herbatę, mniej słodką i bardziej aromatyczną niż ta, którą sam bym dla siebie zaparzył, po czym

słumiłem kakofonię grozy docierającą z kuchni osobistymi refleksjami na temat koszmaru, jakim jest ponoszenie odpowiedzialności za wrażliwą młodą kobietę.

Potrzebowałem jedynie krótkiej i przelotnej chwili, by uświadomić sobie, że nie dysponuję niczym, co przypominałoby jakikolwiek długoterminowy plan związany z Ericą, i że nie sformułuję żadnego, kiedy Annie robi tyle hałasu, więc przestałem myśleć i zacząłem liczyć jej porcelanowe figurki.

Kiedy już krzyki umilkły, zapadła cisza, która trwała minutę. W końcu Annie wyszła dumnym krokiem z kuchni, szczęki miała zaciśnięte, oczy w kącikach zaczerwienione. Wzięta gwałtownym ruchem mój kubek ze stolika i wyszła; nasłuchiwałem pomrukiwań i bulgotania czajnika, brzęku łyżeczki, suchego pociągania nosem i urywanego oddechu, kiedy westchnęła głęboko i policzyła do dziesięciu. Liczyłem razem z nią. Kiedy znów się pojawiła, na jej twarzy malował się spokój, a ruchy wyrażały pewność. Postawiła przede mną ostrożnie herbatę, a potem usadowiła się na fotelu naprzeciwko i po dziewczęcemu podwinęła nogi, opierając swój kubek na udach. Przez długą chwilę przyglądała mi się z ciekawością.

- Była tu policja - powiedziała rzeczowo. - Zadawali pytania dotyczące twojej osoby... Czy cię znam, jak cię poznałam, kiedy widziałam cię po raz ostatni, czy tu byłeś, kiedy wyszedłeś, dokąd się udałeś... - Urwała i wrzuciła wyczekująco ramionami. Otworzyłem usta, ale mi przerwała. - Powiedziałam im to, co wiem. Że uratowałeś mnie z opresji, że zobaczyłeś, jak ktoś mnie zaczepia, i pospieszyłeś z pomocą. Powiedziałam, że ten mały gówniarz chciał mi ukraść iPhone'a, że tak mi się zdawało, że nie chciał mnie zgwałcić, bo wiesz, ostatnia rzecz, jakiej potrzebowałam, to przesłuchanie rodem z pieprzonej inkwizycji. Więc powiedziałam, że mnie odwozłeś do domu, bo byłam roztrzęsiona, że wypiliśmy po dwa drinki i że położyłeś mnie do łóżka. Powiedziałam im, że nie wiem, kiedy wyszedłeś, i że od tamtej pory nie kontaktowałeś się ze mną, i że nie składałeś też żadnych obietnic. - Podmuchała na herbatę i napiła się trochę. - Najlepsze, co mogłam zrobić, mając tak niewiele czasu, żeby się zastanowić - oznajmiła i wyprostowała się, żeby sięgnąć do kieszeni po paczkę mentolowych marlboro. - Ale uczciwość popłaca, prawda?

Moja herbata była teraz słodsza i słabsza, tak jak lubiłem.

- Pytali o... tego gówniarza?

Wydawała się zaskoczona i przyglądała mi się podejrzliwie. Zapaliła papierosa, sięgnęła po popielniczkę na stoliku i napiła się herbaty, zastanawiając się, jak i czy w ogóle odpowiedzieć.

- Powiedziałam im, że nie widziałam jego twarzy - odparła w końcu i wypuściła z ust długą wiązkę niebieskiego dymu, który zaczął krążyć kolistnie wokół wentylatora pod sufitem. - Ale to nie jest zbyt ważne, prawda? Nie chcieli powiedzieć, z jakiego powodu przyszli, ale było to całkiem jasne. Jestem pewna, że nie masz nic wspólnego ze zniknięciem tych dziewczyn, bo gdybyś był cholernym Kubą Rozpruwaczem, to miałbyś idealną okazję, żeby pokroić mnie na kawałki tamtego wieczoru, prawda? Jesteś w środku nocy w moim domu, ja leżę nieprzytomna i pijana, a ty mnie nie dźgasz, nie gwałcisz ani nawet nie dotykasz, o ile wiem. Jeśli tylko przyjrzałeś mi się dokładnie, ubierając mnie w koszulę nocną, to wykazałeś się miernymi umiejętnościami seryjnego zabójcy.

- Trochę widziałem - odparłem pomny, że uczciwość popłaca i tak dalej.

Policzki Annie pokryły się rumieńcem; znów podniosła kubek, jakby chciała się za nim ukryć.

- Brudny drań - oznajmiła, ale w jej głosie wyczuwało się kokieterijne zadowolenie. - Daruję ci. Ocaliłeś mi tyłek, więc przypuszczam, że miałeś prawo obejrzeć go sobie.

- No cóż, jest bardzo ładny, więc cieszę się, że to zrobiłem - zapewniłem ją. Był, szczerze mówiąc, najmniej przeciętnym z jej atrybutów.

Parsknęła rozbawiona, puszczając dwa równiutkie krążki dymu, i skinęła głową w teatralnym geście wdzięczności. Po chwili humor zniknął z jej oczu, uśmiech przygasał, aż do grzecznościowego grymasu pośrodku ust.

- Posłuchaj, za dziesięć minut muszę wyjść do pracy, więc jeśli zjawisz się, żeby poprosić mnie o jakąś przysługę, to... - urwała z zamaszystym i ponaglącym gestem dłoni, jej papieros kreślił dymne spirale w przestrzeni, która nas rozdzielała.

Nagła zmiana nastroju zbiła mnie z tropu. Siłilem się na pogardliwe westchnienie, ale zaskoczony jej domyślnością parsknąłem tylko pełnym winy śmiechem. Oboje wiedzieliśmy, że zaprzeczenie oznaczałoby jedynie stratę cennego czasu, więc wyznaczyła mi ścisły i nieprzekraczalny termin. Zgodziłem się, bo uczciwość popłaca.

- Potrzebuję lokum, w którym spędziłem rzekomo kilka nocy -

powiedziałem, doznając nagłego niepokoju, bo przyszło mi do głowy, że opieram się wyłącznie na przekonaniu, jakobym miał do czynienia z przychylną Annie.

Wlepiła we mnie mroczne spojrzenie, spopielaając jednym haustem połowę papierosa.

- Tak. - Wydała z siebie chrapliwe westchnienie palacza, potem zgmiotła niedopałek, dopiła herbatę i odstawiła hałaśliwie kubek i popielniczkę na stolik. - No cóż, miło czuć się potrzebnym. Tak na przyszłość... to niezbyt pochlebne, kiedy mężczyzna tylko udaje, że chce spędzić ze mną noc, no ale cóż, takie już moje szczęście, prawda? - I dodała śpiewnym tonem: - „Poproś Annie-Marie, nie będzie miała nic przeciwko temu. Stara, dobra, zgodna Annie. Uczynna Annie. Annie Pieprzone Alibi”.

Chwała Bogu, byliśmy tego samego zdania.



# ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Przeze mnie Annie mogła się spóźnić do pracy, więc wciskała gaz do dechy. Miała stare renault twenty, które w połączeniu z tym, jak prowadziła ten samochód, spychało na drugie miejsce jej tyłek jako najmniej zwyczajny atrybut jej osoby. Była to ciężka, prostoduszna maszyna, lecz Annie potrafiła rozkołysać ją do zastraszającego tempa. Wydawało się, że kluczem jest impet, nie zaś sama szybkość; ledwie przekraczała sto kilometrów na godzinę, ale też ledwie schodziła poniżej tej prędkości. Prowadziła z wprawą duży samochód po wąskich drogach porośniętych z obu stron przez niesforne krzewy jeżyn, trzymając dłonie luźno i wygodnie na kierownicy, rzadko dotykając stopą hamulca, pokonywała zakręty niczym odrzutowym myśliwcem i nieustraszenie stawiała czoło wozom, które nadjeżdżały z naprzeciwka. Choć przepelniała mnie niepowstrzymana chęć, by złapać za rączkę nad głową, zachowywałem się kulturalnie, trzymając spocone dłonie między kolanami i skupiając się na spokojnym oddechu.

- Obiecuj mi jeszcze raz - powiedziała, a samochód podskoczył i zatrząsł się, kiedy wjechała dwoma kołami na pokryte koleinami pobocze, żeby uniknąć zderzenia z jakimś land roverem.

- Obiecuję - obiecałem.

- Bo jeśli to, co robisz, czymkolwiek jest, wróci rykoszetem i da mi po tyłku...

- Wykluczone - zapewniłem ją i dodałem z nieco mniejszym przekonaniem:

- Nie zrobię nic, czego byś nie aprobowała.

Było to prawdopodobnie kłamstwo, ale z drugiej strony znałem Annie tylko odrobinę lepiej niż ona mnie, więc istniała szansa, że jest całkowicie wolna od uprzedzeń. Zawsze można mieć nadzieję.

- Tak, no cóż, nie wiem, dlaczego jesteś tego taki pewien - zauważyła. - Ale przypuszczam, że powinnam wierzyć ci na słowo, bo w przeciwnym razie nie mogłabym pod żadnym pozorem pomóc ci w potrzebie. Prawda?

- Ja...

- Tak dla porządku, aprobuję wiele rzeczy i sądzisz, że zawsze będę uważać, że jestem ci coś winna i tym samym nie mogę ci odmówić, ale...

- Nie jesteś mi nic winna.

- No tak, słusznie, zgadza się, ale w każdym razie pomagam ci, ponieważ czuję, że jestem ci coś winna, i uważam, że jesteś zasadniczo dobrym człowiekiem albo przynajmniej starasz się być dobry, więc jeśli zrobisz ze mnie idiotkę, wszelkie umowy zostają anulowane. Okay?

- Jasne - odparłem, choć słowo to dobyło się z moich ust niepełne i drżące, gdy wcisnęła hamulec, wrzuciła gwałtownie drugi bieg i skierowała wóz pod zwartym kątem dziewięćdziesięciu stopni w prawo, zahaczając przy okazji o krawędź rowu i zwalniając, by nie zarzuciło tyłem przy skręcie.

Uległem instynktowi i chwyciłem za rączkę nad głową. Annie wybuchnęła śmiechem. Miała, jak zauważyłem, uśmiech hollywoodzkiego wampira, niezwykle szczery, pomijając modnie dumne górne siekacze. Stłumiłem nagle i nonsensowne pragnienie, by ją ugryźć. Po chwili rząd krzewów wzdłuż drogi ustąpił i przednią szybę wozu wypełniło bez reszty poranne błękitne niebo ciągnące się nad morzem po horyzont i przez jedną olśniewającą chwilę myślałem po prostu: „Pieprzyć to”. I powiedziałem:

- Daruj sobie pracę. Chodź, kupimy kostiumy kąpielowe i spędzimy cały dzień na plaży.

Zabrała mnie na plażę, ale zostawiła mnie tam samego bez stroju kąpielowego.

- Zachowaj klucz tak długo, jak będziesz go potrzebował - oznajmiła i dodała: - Spokojnej nocy, na wypadek gdybyśmy mieli się nie zobaczyć.

Wychyliła się na fotelu, pocałowała mnie w policzek i powiedziała, żebym uważał na siebie.

- Zobaczymy się za kilka dni - zapewniłem i uśmiechnąłem się, bo w jakiś dziwny sposób reagowałem na to, że Annie mnie lubi.

Przespacerowałem się blisko brzegu, kiedy odjechała, potem usiadłem na piasku i patrzyłem, jak cienie łodzi rybackich stają się coraz krótsze, aż w końcu poczułem dokuczliwą gęsią skórę, o którą przyprawiał mnie zimny wiatr przenikający koszulę. Wstałem i poszukałem schronienia na promenadzie, gdzie omyłkowo spytałem pijanego francuskiego turystę o drogę.

Wreszcie, po bezowocnych próbach zrozumienia nawigacyjnej funkcji w swoim telefonie, kupiłem w kiosku z pamiątkami normalną mapę i spaloną herbatę w plastikowym kubku, i tak wyposażony, przeklinając kamyki w skarpetkach, wyruszyłem na poszukiwanie pociągu.

Po drugiej stronie przejścia siedziała młoda kobieta. Miała dwadzieścia kilka lat, gładką jasną skórę i blond włosy upięte w zwarty węzeł tak jak u Rachel. Na jej twarzy nie widniały zmarszczki zmęczenia ani cynizmu, na dobrą sprawę nic z wyjątkiem dwóch niewyraźnych symetrycznych blizn tuż przy linii włosów, być może ślad typowy dla małej dziewczynki i żywotnego szczeniaka, zmagających się z obopólnym niedoświadczeniem. Nosiła adidas Dunlopa i rozkloszowaną spódnicę w prążki. Niski dekolt barmańskiej bluzeczki odsłaniał szyję, zwarte węzły i łuki, niczym wiktoriański most wiszący. Oczy miała zamknięte przed blaskiem słońca migoczącym za szybą, w jej uszach tkwiły białe guziczki, szczupłe palce wystukiwały stały rytm *moderato* w harmonii ze swobodnym ruchem ramion. Nie słyszałem muzyki, ale gdy się tak przyglądałem, jej ciało skupiło się bez reszty na głębokim oddechu, ruch położonej płasko dłoni przyspieszył, biodra zakołysały się na dźwięk czterech mocnych akordów, głowa opadła, ona sama zaś zacisnęła kolana i podciągnęła stopy, mięśnie łydek naprężyły się, kości kostek obróciły, ścięgna karku podrygiwały raz za razem, więzadła szyi napinały skórę na obojczykach, podczas gdy całe ciało wiło się węzowato w rytm czegoś, co w mojej głowie brzmiało jak solo na gitarę Hugh Burnsa w „Baker Street”, bez najmniejszych wątpliwości. I choć była ograniczona fotelem, tańczyła bez skrępowania i oporów, i każdy maleńki ruch w każdej maleńkiej jej części - w życiu w niej obecnym - wydawał mi się najpiękniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek widziałem. Chciałem ująć ją delikatnie w swe dłonie, zanieść do domu i zatrzymać na zawsze, ale świadomy prawdopodobieństwa, że być może przyświecają jej inne cele i zamiary, zamknąłem oczy, podkręciłem muzykę w swojej głowie, po czym duchowo i odrobinę cieleśnie zatańczyłem z tą dziewczyną.

Ponad godzinę później byłem w mieście i wypożyczałem nijakiego chevroleta na nazwisko Henry’ego Suttona. W oczach przypadkowego i baczego obserwatora, obdarzonego dostatecznie żywą wyobraźnią, by odmalować go sobie bez trzydziestocentymetrowej brody, Henry nadzwyczaj mnie przypominał. Pomijając surową atrakcyjność rysów, miał miłą memu sercu skłonność do pozostawiania torby podróżnej na pastwę losu, kiedy udawał się do toalety w pociągu. Nie wiem, po jakim czasie odkrył zniknięcie portfela i nie zdołał go odnaleźć na peronie i w końcu zablokował kartę kredytową, ale dzięki szybkiemu nabyciu wyściełanej koperty

i znaczka pocztowego zaryzykowałbym twierdzenie, że wcześniej mu ją odesłałem.

Wcisnąć gaz, ale bez przesady. Ograniczenia szybkości przekraczane z dopuszczalną tolerancją. Pokusa, by zaprzepaścić plan za sprawą wizyty u Rachel, odparta. Dom o godzinę drogi.

Przejechałem dwa razy obok wjazdu na swoją posesję, wypatrując pośród drzew śladu kogokolwiek czy czegokolwiek. Przy trzecim podejściu zatrzymałem się pod bramą i wysiadłem z samochodu. Zacząłem węszyć w powietrzu. Nasłuchiwać wiatru. Zamknąłem oczy i próbowałem wyczuć na karku łaskotanie wścibskiego wzroku.

Nic. Byłem sam.

Wjechałem na posesję i zamknąłem bramę na kłódkę. Dotarłem pod dom i postawiłem samochód w jego cieniu, blisko drzwi frontowych, mając niczym niezakłócony widok na stodołę i ciągnące się za nią pole. Nic się tam nie poruszało, nie połyskiwało ani nie przycupnęło w zdradzieckim bezruchu. Nikt nie obserwował. A więc jak zwykle do roboty.

- Głowa ciąży mi jak... kamień? Czy coś innego? Nie wiem nawet, jak się nazywam... Położyłeś mnie wczoraj w nocy do łóżka? Mogłeś zostawić mnie na sofie. Byłam kompletnie nieprzytomna, nigdzie się nie wybierałam. Czekał... mam rozumieć, że mnie obmacywałeś, ty zboczeńcu?

Przerzuciłem dziesiątego naleśnika na talerz stojący obok piecyka i zaniósłem na stół. Po twarzy Eriki przemknął zielonkawy cień, kiedy postawiłem przed nią zamaszystym ruchem swoje wypieki.

- Spróbuj trochę zjeść - zasugerowałem, po czym zsunąłem naleśnika na swój talerz, skropiłem go obficie sokiem cytrynowym, posypałem cukrem i zawinąłem.

Wydała z siebie dziwny gulgoczący dźwięk i wzdrygnęła się jak w temperaturze minus dziesięć stopni, ale muszę jej przyznać, że się starała. Pochłonęła cztery naleśniki okraszone syropem klonowym, nim zwymiotowała potężnie do zlewu.

Dałem jej pół godziny na leżaku ogrodowym, żeby mogła napełnić płuca świeżym powietrzem i ogrzać skórę odrobiną słońca. Potem odesłałem ją do łóżka, żeby odespała kaca. Nie opierała się.

Zostawiłem jej aspirynę, wiaderko z lodem, colę zapewniającą nawodnienie i dawkę cukru we krwi, herbatniki różnego rodzaju i kilka dań z makaronu do mikrofalówki, żeby nie była w nocy głodna. Wychodząc z piwnicy, zabrałem jej brudne rzeczy; dwie lub trzy sztuki znalazły się w plastikowej torbie w bagażniku wypożyczonego samochodu.

Potem się przespałem.

Jak zwykle wieczorem dom rodzinny Abbottów był pogrążony w ciemności, kiedy przejeżdżałem obok niego o zmierzchu. O tej porze roku sprawiał też wrażenie przyjemnie odosobnionego; czy to z żalu, czy też ze zwykłego lenistwa, Abbottowie pozwolili, by ogród żył swoim naturalnym życiem, co sprawiło, że z trzech stron otaczał go wysoki, niesforny parawan kwiecia jabłoni i pokrzywy.

Zbliżając się do domu, przywierałem do ogrodzenia, żeby nie zostawić w trawie głębokiego do kolan śladu. Ceną były liczne ukłucia na twarzy, co kazało mi się zastanawiać, czy cierpienie dla własnej sztuki jest w jakikolwiek sposób bardziej pożądane od całkowitego braku sztuki. Doszedłem do wniosku, że tak czy owak, zdecydowanie wolałbym być gdzie indziej.

Klucz należący do Sarah, ocalony z mojego zbioru, wszedł gładko w zamek tylnych drzwi. Zostawiłem zabłocone buty na wycieracze przed progiem i wśliznąłem się do wyłożonej terakotą kuchni. Nawet w tej wszechobecnej ciemności było widać, że nie wszystko jest takie, jakie pozostawiłem, ale na szczęście stołu nie zabrano do badań, nic też nie wskazywało na to, by Abbottowie zrobili coś drastycznego, na przykład wyprowadzili się. Na dobrą sprawę nie było widać, by zrobili cokolwiek. Blat szafki lepił się od tłuszczu pod stosem brudnych naczyń, tak dużym, że groził runięciem; te na górze śliskie, kleiste i poplamione od bezustannego płukania, te u dołu skamieniałe i przeznaczone jedynie do pochówku. Luźno zawiązane reklamówki, pękate od pleśniejących resztek jedzenia, tworzyły w kącie obok wyjścia cuchnącą piramidę. Na przeciwległej ścianie, między framugą drzwi i przekornie pustą tablicą korkową, wisiał kalendarz z misternym obrazem wąskiej łodzi między dwoma zaśnieżonymi brzegami kanału przecinającego podmokłe obszary wschodniej Anglii. Nikt nie przewrócił lutowej strony.

Zmierzając w stronę podnóża schodów, zatrzymałem się obok drzwi salonu,

gdzie zajrzałem w mrok panujący wewnątrz. Na stoliku do kawy cztery kubki z lepкими krążkami wokół brzegu i jakiś magazyn celebrycki. Niski kredens, na nim, jako centralny punkt pomieszczenia, dwanaście oprawionych w drewno i obstawionych świeczkami zdjęć zaginionej córki, przypuszczalnie Przebywającej Gdzieś Tam.

Zakłopotany, niemniej jednak zachęcony, wszedłem na schody, pokonując po dwa stopnie naraz, i dotarłem na podest, po czym stanąłem obok uchylonych drzwi do głównej sypialni. Pchnąłem je czubkiem buta. Łóżko Abbottów było niepościelone i nikt na nim nie leżał. Niedawno ktoś na nim krwawił. Wycofałem się stamtąd, minąłem pakamerę i łazienkę, po czym znalazłem się przy jedynych zamkniętych drzwiach w całym domu. Wsunąłem dłoń w rękaw i nacisnąłem klamkę; drzwi ustąpiły cicho w stronę ciemności. Odetchnąłem z ulgą, odkrywając, że tak jak rodzice Sarah, jej liliowy buduar w stylu Króla Lwa zastygł niemal w czasie.

Ręcznie wypchane pluszowe misie w liczbie sześćdziesięciu pięciu rzucały zbiorowe zezowate spojrzenie na lewo lub prawo ode mnie. Przeżyły wcześniej stratę jednego ze swych pobratymców, płowego zwierza, którego uprowadzono i zmuszono do życia w nieznaney mu wilgotności - od tej pory wchłaniał łzy i smarki na poduszce Carol Abbott. Po krótkim namyśle sprowadzono mu kolegę, małego brązowego niedźwiadka z włochatym futrem i ruchomymi kończynami, usadowionego po wieczne czasy na stoliku obok łóżka, tak aby mógł spoglądać na swego starszego krewniaka i aby obaj dotrzymywali sobie towarzystwa w trakcie tych długich nocy, gdy nikt akurat przy nich nie spał.

Poza tym niezwykła była jedynie zwyczajność. Pokój pachniał odkurzaczem i pastą do polerowania mebli. Z komody i parapetu usunięto niedawno wszystkie bibeloty, odpucowano powierzchnie i zagracono na nowo. Łóżko zasłano, ale bez przesadnego wysiłku i podwijania prześcieradła na szpitalną modłę. Kosz na śmieci wciąż był wypełniony do połowy puszkami po coli dietetycznej i zużytymi chusteczkami higienicznymi. Zegar na stoliku nocnym przestawiono na letni czas brytyjski. Jak wskazywała na to sypialnia, Sarah wraz ze swoim pamiętnikiem szykowała się do wieczoru.

Nie uszło mojej uwagi, że taki stoicyzm ułatwia mi życie, więc pełen wdzięczności pracowałem szybko i schludnie. Zdołałem napełnić małą zapinaną na zamek błyskawiczny torebkę złotymi kosmykami włosów

pobranymi ze szczotki należącej do Sarah, jej poduszki i kołnierza kurtki zmiętej w nogach łóżka. Pod nim, tuż przy listwie przypodłogowej, znalazłem zmiętoszone i brudne czarne stringi. Wreszcie, z wnętrza zwiniętych w kulkę rajstop w środkowej szufladzie komody, wydobyłem pół paczki marlboro lights i zapalniczkę marki Zippo z wygrawerowanymi inicjałami SJA. Doskonale.

Czas na najtrudniejszą część zadania.

# ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Za dnia osiedle Milton Cross jest przytłaczająco pęsnym, ale poza tym przeciętnym mrowiskiem betonowych mieszkań z lat sześćdziesiątych. Pozostawione samo sobie bez jakiegokolwiek dozoru, stanowi istny ul beczynności, zamieszkały przez trutki, których oczy rzadko znajdują motywację, by napotkać czyjkolwiek wzrok. Nie ma tu sali parafialnej, wspólnych poranków przy kawie, organizowania zabaw dla dzieci. Nikt nie zostawia otwartych drzwi. To istna antyteza społeczności.

W nocy jednakże Milton Cross ulega czemuś w rodzaju przestępczej wibracji, która przyciąga trolli spod mostów z drugiej strony miasta. Przybywają kawalkadami starych bmw i absurdalnie podrasowanych małych hatchbacków, po czym kierują się w stronę domów z otwartymi drzwiami, gdzie framugi okienne drżą od łaskotu identycznej muzyki dyskotekowej, a po gankach rozlewa się przyćmiony blask zakopconych od wieków kloszy.

Jednak na ganku interesującego mnie mieszkania na parterze światło się nie paliło, ponieważ już wcześniej wykręciłem żarówkę. Przez dziesięć minut, kiedy to stałem w cieniu schodów, minęły mnie cztery minispódniczki i dwa dresy, przechodząc w odległości niespełna pięciu metrów, ale nikt nie zerknął nawet w moją stronę. Okna w mieszkaniach naprzeciwko były ciemne, zasłony zaciągnięte i nieruchome. Wydawało się oczywiste, że klasyczny przypadkowy obserwator nie wymagałby tego wieczoru uspokajających gestów; wszystko wskazywało na to, że jestem niewidzialny.

W mieszkaniu jednak nikogo nie było. Odsłonięte szyby były zimne, rozrzucone elementy salonu trwale usadowione, samotne i spowite mrokiem. Na szczęście stanowiły też typowe pozostałości po lokatorze płci męskiej, który w dodatku niedawno tu przebywał, jeśli wnosić z uporczywej woni sosu podgrzanego w mikrofalówce.

Nazywał się Mark Boon, ja zaś szukałem powodu, by zwrócić mu portfel zabrany z miejsca, w którym próbował dokonać ataku na bieliznę Annie. Nie miałem wątpliwości, że jego nieobecność w poniedziałek, dziesięć minut przed północą, można przypisać podobnemu wyczynowi, więc dodałem to do listy jego wykroczeń, nie wspominając już o tym, że powinien wykazać się zwykłą przyzwoitością i siedzieć w domu, kiedy zjawiłem się, by go zabić.



Miałem nadzieję, że Mark nie musiał czekać, aż zamkną kluby, nim znajdzie jakąś nieszczęsną zawiąną studentkę, którą mógłby sterroryzować. Podejrzywałem jednak, że prawdopodobnie będzie musiał, więc zamiast kryć się w żywopłocie, postanowiłem zaczekać w samochodzie pięćdziesiąt metrów od domu, z termosem i egzemplarzem „Classic & Sports Car” z ofertami kupna-sprzedaży.

Krótko po trzeciej pojawił się wreszcie wyraźnie poruszony i emanujący pośpiechem, czapka nisko opuszczona, kołnierz podniesiony, pięści wciśnięte w kieszenie kurtki, które przy szybkim ruchu jego rąk przypominały torpedy. Co sześć kroków obracał gwałtownie głowę, żeby spojrzeć przez ramię, a jego brwi błyskały w neonowym blasku latarni ulicznych zjadliwą pomarańczowością.

Włożyłem nowe obciste skórzane rękawiczki i sięgnąłem do plecaka na fotelu pasażera. Rozpiąłem przednią komorę i wyjąłem ceramiczny nóż z blokadą ostrza, wciśnięty wcześniej w spoconą i lepką dłoń Eriki, kiedy już odpłynęła na dobre.

Gdy Mark znalazł się w odległości piętnastu metrów od samochodu, wysiadłem, przeszedłem na drugą stronę ulicy i ruszyłem przed siebie z plecakiem na ramieniu i nożem w tylnej kieszeni. Zauważył mnie oczywiście, ale oddalający się gość, który szuka kluczy, nie mógł równać się pod względem zagrożenia z tym, czego wypatrywał przez lewe ramię. Wręcz przeciwnie, wydałem mu się prawdopodobnie zbyt nieszkodliwy, tak więc nadałem swym ruchom nieco celowej chwiejności i potykałem się co piąty krok, wyznaczając sobie krętą trajektorię ku miejscu dokładnie naprzeciwko popękanej i kruszejącej ścieżki do drzwi Marka. Posuwałem się nieco wolniej niż on. Podążył drugą stroną ulicy czternaście metrów za mną, dwanaście, dziesięć...

Moje wyczucie czasu było idealne; dotarłem do swego celu pięć kroków przed nim, zapewniając mu doskonały punkt obserwacyjny, gdy upuściłem klucze na ziemię, potknąłem się o własną stopę i zatoczyłem na żywopłot. Usłyszałem, jak podeszwy jego butów zaszurały o chodnik, gdy skręcił ostro w stronę ścieżki ogrodowej, nie próbując mi nawet pomóc, tak jak tego oczekiwałem. Teraz spodziewał się, że będę szukał wokół siebie upuszczonej własności, i z pewnością nie zamierzał ryzykować i zerkać przez ramię z obawy, że nawiąże kontakt wzrokowy z wielkim, rozeźlonym pijakiem,

którego upadku - o czym obaj wiedzieliśmy - z rozmysłem nie zauważył. Reważ był szybki i nieunikniony.

Mark znajdował się w odległości dziesięciu metrów ode mnie i właśnie przekręcał klucz w zamku. Wystrzeliwszy jak z bloków startowych, z kluczami w kieszeni, pokonałem dystans sześcioma zamaszystymi krokami i dopadłem go w chwili, gdy uchylał drzwi. Nie zdążył się nawet zorientować, co go zaatakowało.

Miałem przygotowaną przemowę, ale Mark nie dostosował się do scenariusza; tak to zwykle bywa, gdy zadają sobie trud ćwiczenia wyuczonych wersów.

Samo wejście na scenę było doskonałe; dopadłem Marka i szybko dźgnąłem w nerki, po czym wepchnąłem wyprostowaną ręką do pogrążonego w mroku mieszkania. Potem jednak plan zaczął szwankować. Podłoga w holu wyłożona była tanim laminatem, na którym Mark położył cienki, niechlujny chodniczek ozdobiony wizerunkiem wielkiego liścia marihuany. Najpierw wrzasnął, potem próbował zwać, w efekcie czego dywanik zrolował się i zaplątał między jego stopy; obaj przewróciliśmy się o niego.

W sytuacji, gdy mój ucisk zelżał, Mark rzucił się do ucieczki, choć nie wiadomo dlaczego wybrał ciemność mieszkania zamiast względnie bezpieczną ulicę. Może sądził, że uda mu się dopaść jakiejś broni albo że utraciwszy nad nim przewagę, zniknę z podkulonym ogonem. W każdym razie czekało go rozczarowanie, ponieważ miałem w ręku bat i zamierzałem go porządnie wychłostać.

Zataczając się, postąpił jakieś osiem kroków w stronę salonu, kiedy rzucony pospiesznie chodnik owinął się wokół jego kostek, on sam zaś runął jak długi na podłogę ze stłumionym westchnieniem. Podniósł się szybciej, niż upadł, ale tym razem byłem już przy nim, zahaczając prawą stopą o jego stopę i podnosząc wysoko nogę; przyjął pozycję horyzontalną, a jego głowę od podłogi dzieliła jedynie grawitacja.

No cóż, grawitacja i stolik do kawy.

Uderzył w niego twarzą, krawędź blatu rąbnęła go w oczy i grzbiet nosa. Niestety, zdążyłem już przydeptać go uspokajająco powyżej łopatek i jego wykrzywiona szyja wydała dość złowieszczy chrupot. Nim jego odbita rykoszetem głowa wylądowała na podłodze, wydawała się trzymać tylko

luźno na ramionach. Pomyślałem, że za chwilę się ocknie.

Zamknąłem kopniakiem drzwi, podszedłem niepewnym, chwiejnym krokiem do okna, żeby zaciągnąć zasłony, potem ruszyłem wzdłuż ściany, aż natrafiłem na kontakt. Była tu tylko jedna żarówka, ale nieosłonięta i mocna; rzucała ostre wyraźne cienie na pobojuwisko, w które przemienił się salon Marka.

Umeblowanie miał skromne; niezbyt wygodna na pierwszy rzut oka kanapa ze skaju i dwa podniszczone fotele wydarły dwanaście dziur w brązowym prążkowanym dywanie. Na obróconej skrzynce od mleka, pod dużym wiszącym telewizorem, stała droga wieża hi-fi, oba sprzęty połączone były płataniną kabli biegnących do routera na podłodze. Stojąca w kącie zmordowana biblioteczka do samodzielnego montażu przechylała się kilka stopni w prawo pod ciężarem gier komputerowych, a także dzieł Barkera, Kinga, Herberta i Strauba.

Tak, niewiele miał mebli, miał za to kartony po pizzy, puszki po piwie, opakowania po herbatnikach i skarpetki. Lepkie poplamione kubki i talerze pokryte zaskorupiałymi resztkami jedzenia. We wnękach i zakamarkach tkwiły poupychane reklamówki. Koperty rozerwane na tyle, żeby obejrzeć nagłówek listu, a potem ciśnięte byle gdzie.

Sypialnia nie prezentowała się wiele lepiej i śmierdziała kocurem, ale przynajmniej znalazłem na dnie garderoby trochę czystych poszewek. Ściągnąłem pościel z łóżka Marka, po czym złożyłem ostrożnie prześcieradło, by zachować wszystko, co się na nim znajdowało. Następnie zaniósłem je do salonu i rozłożyłem bez przesadnej staranności na kanapie; na wierzch położyłem poduszkę i zrobiłem w niej wgłębienie wielkości głowy, nim z grubsza przykryłem całość kołdrą.

Ułożyłem na łóżku świeże prześcieradło i wyjąłem z torby brudną bieliznę Eriki. Były tam trzy pary majtek, jedna wydawała się bardziej złachana od pozostałych, i te właśnie przewróciłem na drugą stronę, wytarłem nimi środkowy fragment prześcieradła, a potem cisnąłem je w kąt pokoju. Zwinąłem w kulkę drugą parę i zostawiłem na łóżku, które przykryłem miękkim kocem. Następnie zanurzyłem rękę w niewielkim zbiorze kosmetyków w plecaku i spryskałem pokój tanim sprejem do ciała; większość wylądowała w moich ustach.

Jakiś czas później, kiedy przestałem już kichać i kasać w rękaw,

odsunąłem łóżko o mniej więcej piętnaście centymetrów od ściany i wrzuciłem za nie stringi należące do Sarah, a także nowo zakupioną szczotkę, na którą nawinałem kosmyki jej włosów.

Potem zabrałem pozostałą część bielizny oraz torbę z kosmetykami i kierując się wyczuciem, ruszyłem do łazienki. O dziwo, była względnie czysta i schludna, w każdym razie do chwili, gdy opróżniłem torbę zamaszystym ruchem, a jej zawartość rozsypała się na umywalce i wannie. Jediną rzeczą, którą podniosłem, była szczoteczka do zębów. Położyłem ją na umywalce obok kubka ze szczoteczką Marka.

Zadowolony z faktu, że efektem mojej inscenizacji jest realistyczny i rzucający się w oczy chaos, zgasilem światło, wziąłem torbę i udałem się do maleńkiej kuchni. Nie musiałem długo szukać szuflady z drobiazgami. Była tylko jedna szafka, a zatem tylko jedna szuflada, o której można powiedzieć, że jest druga od dołu. Za pomocą paczki papierosów należących do Sarah zrobiłem wśród precjozów otwór odpowiedniej wielkości. Potem wsunąłem szufladę do połowy i wróciłem do salonu, gdzie umieściłem starannie papierosy i zapalniczkę na środku stolika do kawy. Odkrycie, prezentacja, wyzwanie. „Skąd się wzięły te rzeczy, Mark? Co zrobiłeś z Sarah?”. Doświadczonemu miłośnikowi serialu „Colombo” wszystko to mogłoby się wydawać zbyt oczywiste, ale nigdy nic nie wiadomo, nie należało wykluczać, że się sprawdzi. Bądź co bądź, nic tak nie tłumii niedowierzania jak namacalna rzeczywistość, czyż nie?

Nieważne. Zrobiłem, co w mojej mocy. Szczerze mówiąc, bardziej niepokoił mnie teraz Mark, którego oddech stał się niebezpiecznie płytki. Mój plan polegający na tym, by wpakować mu nóż między żebra, opierał się na założeniu, że zrobię to, gdy on sam będzie przytomny i wyprostowany, a jego ręce i nogi odpowiednio ukrwione, ale facet leżał jak kłoda i za Boga nie mogłem podnieść go do pionu i przytrzymać jedną ręką dostatecznie długo, by go dźgnąć.

Nie po raz pierwszy zdecydowałem się na szybkie i nieczyste cięcie. Obrócony w moją stronę policzek stracił już wszelki kolor, ale przypuszczałem, że ten drugi wzbiera czerwienią, więc trzymając w dłoni nóż, zdjąłem mu czapkę, ująłem garść pomarańczowych włosów i podniosłem mu głowę. Jego szyja wydała słabutki chrzęst oporu, a potem z głuchym puknięciem poddała się całkowicie, ramiona zwiotczały, a twarz obróciła się

w moją stronę i popatrzyła na mnie doskonale martwym wzrokiem.  
Nie miałem w zanadru planu C.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Słońce wschodziło, nim wrzuciłem kluczyki do skrzynki pocztowej wypożyczalni samochodów i skierowałem się w stronę stacji. Świt był spektakularny - różę, złocenie, bezkresny migoczący błękit. Odczuwałem zadowolenie, obserwując ten brzask, który przesunął się za oknem wagonu i zagłuszał stukot kół na torach.

Na końcu linii wysiadłem wprost na świeże, czyste, niczym nieograniczone powietrze, po czym idąc za dźwiękiem rozbijających się fal i pobrzękiwaniem dzwoneczków, ruszyłem ku promenadzie. Zrobiło się już ciepło, lecz wiatr od morza sprawiał, że kuliłem się w swojej kurtce niczym żółw w skorupie. Powieki miałem ciężkie i zeszywniałe, skóra mrowiła mnie od zmęczenia. W ustach czułem paskudny smak. Nie zwlekałem.

Sto metrów dalej, przy nabrzeżu, znajdował się postój taksówek; jedna z nich dowiozła mnie do sklepiku wiejskiego, jakieś czterysta metrów od drzwi wejściowych Annie. Kierowca silił się na poranne uprzejmości, ale z pewnością potrafił dostrzec zniechęcenie typowe dla człowieka po nieprzespanej nocy, tak więc spędził dwudziestominutową jazdę w pełnym szacunku milczeniu, podczas gdy ja drzemałem. Wręczyłem mu przeciętny napiwek, a potem udałem, że szukam czegoś w swoim plecaku, dopóki nie odjechał. Następnie, pogwizdując niemelodyjnie i prezentując z myślą o wścibskich sąsiadach półlitrowy karton mleka i gazetę, które wcześniej nabyłem, ruszyłem spacerkiem w stronę domu.

Nie wiem, czego się spodziewałem po Annie; ulgi być może albo obojętności, albo cienia głupiego żalu. Zważywszy, że była punktualnie ósma rano, kiedy przekręcałem klucz w zamku i wchodziłem do domku, mogłem oczekiwać jak najbardziej racjonalnie, że będzie rozmawiać przez telefon, próbując jednocześnie zjeść grzanekę, dokończyć makijaż i zdążyć do pracy. Okazało się jednak, że nie.

Dom był pogrążony w ciszy, chłodny i od wielu godzin pozbawiony życia. Zasłony zaciągnięte. Na stole nie stał kubek ani miseczka po płatkach śniadaniowych z centymetrową warstwą ziarnistego mleka na dnie. Zsunąłem ze stóp buty, położyłem torbę na podłodze i pocłapałem do

kuchni. Zlew był pusty, blaty szafek czyste. Naczynia na suszarce wyschnięte na kość.

Zostawiłem mleko i gazetę na szafce i spenetrowałem salon. Wydawało się, że wszystko jest na swoim miejscu. Obróciłem ucho ku sufitowi, mając nadzieję, że uda mi się wychwycić skrzywienie deski podłogowej albo szum wody w odkręconym kranie, albo jęk sprężyn w łóżku. Usłyszałem, jak włącza się sprężarka w lodówce, przez co omal nie wyskoczyłem z pozabawionej snu skóry, ale to było wszystko.

Ostrożnie, świadom alarmowych dzwoneczków na karku, ruszyłem w stronę schodów. Żadnej odpowiedzi, kiedy zawołałem ją po imieniu, więc wszedłem na górę. Łazienka nie prezentowała się nieskazitelnie; na podłodze leżał ręcznik, a w umywalce pasta do zębów, zasłona przy wannie, tam gdzie znajdował się prysznic, oznaczona była smugami po wodzie, ale sama wanna sucha, deska klozetowa zaś lodowato zimna. Tak więc ruszyłem prosto do pokoju Annie. Nie przypominał w ogóle pozostałych, ponieważ Annie zostawiła tu koszmarny bałagan.

Wyczułem to, jeszcze nim otworzyłem drzwi, ale i tak wszedłem do środka. Kołdra leżała na podłodze, odrzucona gorączkowym gestem. Obok tylnej części łóżka spoczywał samotny but, tam gdzie spadł, przy luźnym brzegu prześcieradła, pomiętego i niezłożonego pod materac, niegdyś białego, teraz jednak w większości szkarłatnego; ciemna szeroka plama ciągnęła się od żaloznego wzgórka brudnych rzeczy pośrodku.

Annie bez wątplenia nie było.

Zamknąłem oczy, czekając, aż serce przestanie mi dławić gardło. Potem dokonałem inwentaryzacji.

Posłużyła się podkoszulkiem i kaszmirowym swetrem, próbując powstrzymać wyciek; jedno i drugie było przesiąknięte. Materac pod prześcieradłem był poplamiony, ale nie poniósł poważniejszego uszczerbku.

Pokój pachniał śliwkami i odrobinę kwiatami, ze słodką domieszką dębu. Ślad karmelu i... grzanki? Nie byłem pewien, ale stawiałem na jakiegoś merlota. Sądząc po wielkości plamy, w butelce nie pozostała nawet kropla.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na zewnątrz między brzegami zasłon. Oczywiście nigdzie nie dostrzegłem renault Annie. Rozminąłem się z nią, to wszystko.

Pozbierałem zniszczone rzeczy i zaniósłem do kuchennego kosza na śmieci.

Poszewkę kołdry i stos szmat znalezionych na podłodze wrzuciłem do pralki, a potem, po raz drugi w ciągu sześciu godzin, wybrałem się na poszukiwanie czystej bielizny pościelowej. Znalazłem ją w małej szafce-suszarce w gościnnej sypialni – komplet w kolorze przyćmionego różu, miękki jak futerko kociaka. Nim skończyłem powlekać poduszki, zaległem i po chwili spałem jak kamień.

Blask słońca padał niemal horyzontalnie przez szczelinę w zasłonach, kiedy się w końcu ocknąłem. Budzik na stoliku nocnym wskazywał po szóstej. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatnim razem udało mi się przespać dziewięć godzin; zdumiewało mnie, jak bardzo czuję się wypoczęty i gotowy do działania, co zresztą nie sprawiło, bym poruszył choćby jednym mięśniem, ponieważ w domu wciąż panowały ciepło i cisza, materac był miękki jak poduszka i wypełniony pianką, a pościel tak delikatna, że w ogóle się jej nie wyczuwało, a zatem nie potrafiłem sobie również przypomnieć, kiedy ostatnim razem było mi tak wygodnie. W każdym razie do chwili następnego doznania, czyli bryły lodu, którą poczułem na nodze.

Usiadłem wystraszony, co obudziło Annie; próbowałem przetrwać to w swoim umyśle, ale bez powodzenia. Patrzyłem tylko, jak się przeciąga i ziewa. Obróciła się i spojrzała na mnie.

- O co chodzi?

- Ale masz zimne stopy – wypaliłem.

Uśmiechnęła się leniwie, mruknęła przeciągle z sennym zadowoleniem i znów ułożyła się na poduszkach.

- Przepraszam – powiedziała. - Kiepskie krążenie i...

Miała włosy w nieładzie. Wyglądała pociągająco. Przetarłem oczy. Nie dostrzegłem żadnej zmiany.

- Ładnie wyglądasz z rozczochranymi włosami – zauważyłem.

- Odpieprz się – odparła. - Wiesz, gdzie jest czajnik. Zajmij się nim.

Wybuchnąłem śmiechem. Teraz, kiedy o tym wspomniała, mogłem dodać do swojej listy najważniejszych rzeczy także głód. Mój żołądek emitował grzmot, który postawiłby na nogi sejsmologów.

- Przygotuję obiad – powiedziałem.

- Najpierw śniadanie – mruknęła. - Trzymaj się ustalonego porządku. Nie naruszaj tradycji.

Bo była pieprzona szósta rano.



- Kupiłeś „Daily Mail”? Co z ciebie za potwór? - Annie rzuciła gazetę na stół i usiadła przy mnie w podkoszulku z wizerunkiem Hello Kitty, w którym spała.

- Przyznaję się do błędu - zapewniłem ją.

Odgryzła kawałek grzanki i delikatnie strzepnęła okruchy małym palcem.

- Domyślam się, że masz za sobą dwa ciężkie dni - powiedziała. - Nie mogłam cię zeszłej nocy dobudzić za żadne skarby świata. Dobrze się czujesz?

- Czuję się obudzony. - Roześmiałem się. - Już drugi raz mnie o to pytasz.

- Martwiłam się - wyznała szczerze. - Myślałam, że zapadłeś w śpiączkę, dopóki nie zacząłeś się rzucać i dyszeć. Wtedy przyszło mi do głowy, że masz gorączkę błotną czy coś w tym rodzaju. Bałam się, że będę musiała wezwać kogoś, żeby cię zabrał i... skierował mnie na kwarantannę. Załatwiłeś wszystko, co miałeś do załatwienia?

Uśmiechnąłem się, skinąłem głową i dopiłem herbatę.

- Za minutę będziesz miała mnie z głowy.

Cmoknęła.

- Nie o to mi chodziło.

- Wiem - odparłem. - Ale...

Ale nie zajmowałem się Ericą od trzydziestu sześciu godzin.

- Ale?

- Nie nakarmiłem kota.

Annie roześmiała się tak serdecznie, że omal nie udławiła się grzanką.

Chciała, żebym zatrzymał klucz do jej domu.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy będziesz go potrzebował. - Wsunęła mi go z powrotem do kieszeni. - Ale najpierw zadzwoń, na wypadek gdybym była tu z jakimś mężczyzną.

- Rozumiem.

Znowu zachichotała.

- Jakby było to w ogóle możliwe! - Potem wyprowadziła mnie na blask słońca i udała, że obejmuje czule na oczach sąsiadów. - Pokaż swoje zdolności aktorskie. Udawaj, że wpadłeś na gorący numerek.

Znowu mnie rozbawiła.

- Uważaj na siebie, Annie. - Roześmiałem się. - Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił.

- Czy to trudne? - spytała, ściskając mnie. - Nie zapominaj o mnie, Nieznajomy.

Tęsknota za Annie była dla mnie czymś nowym. Nie bardzo wiedziałem, co o tym myśleć. Jako ktoś, kto wcześniej nie miał, nie potrzebował ani nie chciał przyjaciółki, nigdy nie zdawałem sobie sprawy, czego mi brakuje. Świadomość, że może być to Annie, wydawała się równie niepokojąca, jak chęć powrotu do Rachel; bolesne pragnienie, które schwytało mnie w pułapkę na obrzeżach wioski i wnikało coraz głębiej w pierś przy każdym czerwonym świetle i na każdym zakorkowanym skrzyżowaniu na dystansie sześćdziesięciu pięciu kilometrów.

Jednak w nieunikniony sposób im bliżej byłem domu, tym ważniejsze jawiły się oczekujące mnie tam problemy, i nim skręciłem w podjazd, moja żarłoczna głowa doznawała mdłości, sycąc się nadmiarem kłopotów.

Po kolei: Erica. Zadowolony, że spośród moich begonii wciąż nie wyziera lornetka, zszedłem hałaśliwie do piwnicy z rękami podniesionymi w przepaszającym goście i zastałem ją drzemiącą z książką w dłoni.

Drgnęła, gdy wszedłem do klatki, i powitała mnie ziewnięciem tak obojętnym, jak to tylko było możliwe.

- Dzień dobry - wymamrotała.

- Jak się czujesz? - spytałem, powstrzymując się szczęśliwie od wyjaśnienia, którego nie byłem jej winien, wzięwszy pod uwagę przypisane nam role. Zaskoczyła mnie w jakiś sposób swoim zachowaniem i moje słowa odznaczały się kapryśnym, nerwowym brzmieniem.

- Miałam mnóstwo jedzenia - odparła, wskazując naczynia poustawiane starannie na tacy obok drzwi. - Ale jest coś nie tak z toaletą. Trzeba ją przepchać.

Musiałem przyznać, że prawdopodobnie zasługuję na to.

- W porządku. Coś jeszcze?

Wzruszyła ramionami.

- Boli mnie głowa - powiedziała.

Domyślając się, że czeka na właściwy moment, przyniosłem jej paracetamol i dzbanek wody z lodem, po czym zabrałem kubek, ponieważ zamierzałem nastawić czajnik.

Wróciłem z filiżanką, paczką herbaty w saszetkach i torebką cukru, co przypawiło ją o łyż. Spytałem, czy potrzebuje jeszcze czegoś. Odparła, że

przydałaby się jej łyżeczka.

Przyniosłem jej łyżeczkę, a także, po namyśle, paczkę herbatników maślanych. Świadomy niebezpieczeństwa związanego z gotowaniem wody w mikrofalówce, wziąłem też czajnik. Poczucie winy oznaczało coraz wyższe koszty.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

- Jakbyśmy byli nad morzem. - Rachel roześmiała się, kiedy wzięłam ją za rękę i pomogłem wysiąść z jensena na miękki piasek parkingu. - Tyle że... wiesz... bez morza.

- A także turystów i rozwrzeszczanych dzieciaków - przyznałem.

Uśmiechnęła się do słońca i zanurzyła palce stóp w piasku.

- Dokąd teraz?

Parking rekreacyjny był opustoszały. Przed nami, na dystansie czterystu metrów, rozciągało się morze wrzосу, aż do drogi i zwartych szeregów smukłych sosen widocznych nieco dalej. W górze głęboko błękitne niebo, upstrzone wielkimi skłębionymi bawełnianymi chmurami, każda obdarzona charakterystycznymi dla siebie, głęboko osadzonymi oczami, elfimi uszami i spiczastym nosem. A za nami trzydzieści kilometrów kwadratowych liści, kory i cienia. Wiedziałem, co mi najbardziej odpowiada.

- Wybieraj - powiedziałem. - To twój dzień.

- Właściwa odpowiedź. - Uśmiechnęła się, wyciągnęła do mnie rękę, żeby zachować równowagę, i wsunęła stopy w buty. - Mam nadzieję, że czujesz się sprawnie.

- Jak lis - odparłem, ciesząc się przelotnym mignięciem jej pleców na wysokości krzyża, kiedy schyliła się, by zawiązać sznurowadła. - No dobrze, jakiego asa chowasz w rękawie? - Skrzywiłem się na dźwięk tych fatalnie dobranych słów, ale nie spotkały się na szczęście z lodowatym spojrzeniem.

Stała po prostu, odwróciła się do mnie i z chytrym uśmiechem odparła:

- Będziesz musiał zaczekać. - Powiedziawszy to, poprowadziła mnie do lasu.

- No. - Ścisnęła mi rękę. - Tu przyprowadzasz wszystkie swoje przyjaciółki?

Ha.

- Gdybyś tylko wiedziała. - Przepraszam, wyrwało mi się. - Zaraz -

zaprotestowałem pospiesznie, by moje słowa nie dotarły do niej. - Co znaczy „wszystkie”?

- Słusznie. - Roześmiała się. - Gdybym tylko wiedziała. Więc mi o tym opowiedz.

- Tak naprawdę nie ma o czym - zapewniłem ją, siląc się niezgrabnie i bez powodzenia na przekonujący ton. Mogłem mieć tylko nadzieję, że zaakceptuje bez oporów zmianę tematu, a potem spokojnie o tym zapomni. - Spytaj mnie o coś innego.

- Kto jest twoim ulubionym Bondem? - zareplikowała, nawet nie zerkając w moją stronę.

Łatwe.

- Roger Moore.

- Naprawdę? - Zachichotała.

- Te filmy leciały w telewizji, kiedy byłem mały. Tam, gdzie dorastałem, wiadomo było, że jest Gwiazdka, jak na ekranie pojawiał się Roger Moore.

Chwila ciszy niczym uniesione brwi.

- Tak, identycznie było u nas - przyznała. - Mój ulubiony to „Szpieg, który mnie kochał”.

- To ten z lo...

- Z lotusem, który jest łodzią podwodną, owszem. - Roześmiała się, wzięła mnie pod rękę i spojrzała na migotliwy baldachim liści.

- Zawsze chciałem mieć taki pojazd - oznajmiłem w zamyśleniu i też się uśmiechnąłem.

Rachel przywierała do mnie, kiedy szliśmy, ale czułem, że to ja bardziej potrzebuję wsparcia niż ona. Kręciło mi się w głowie od niepokoju wywołanego świadomością dzielenia prywatnej, osobistej przestrzeni; ożywcza nowość, ja zaś nachylałem się ku Rachel, trzymałem za rękę, by mieć ją blisko siebie, by dostosować swój puls do słodkiego *allegro* jej dłoni. Słuchałem godzinami jej lekcji na temat skowronka borowego, lelka i błędnych ogników; cybulicy hiszpańskiej, idealnej bezy i rzadkiego storczyka kukawki. Mówiła o liściach na drzewach i zrywała maleńkie kwiaty z ziemi. Zatrzymała się jak wryta na widok łąki i przycisnęła palec do moich ust, gdy zwierzak znieruchomiał tak jak my; stłumiła radosny śmiech, gdy pognał przed siebie wielkimi susami, biały ogon migotał między drzewami przy kakofonii trzaskających krzewów. I gdy przebyliśmy

połąć wysokojej do kolan trawy, w miejscu gdzie spotykały się cztery zagajniki, położyła mi głowę na ramieniu i westchnęła.

- Chcesz dowiedzieć się czegoś naprawdę dziwnego? - spytała.

- Tak - odparłem. Nie mogło to być dziwniejsze od tego, co czułem.

Było, oczywiście.

- Szczerze, nie przychodzi mi do głowy żadne miejsce na świecie, w którym wolałabym być bardziej niż tu, z tobą. - Nagle, po chwili krótkiej jak jedno uderzenie serca, patrzyła na mnie z góry, a ja leżałem jak długi u jej stóp. - Chryste... - Wybuchnęła śmiechem. - Nic ci nie jest?

Gdyby istniało bardziej podchwytliwe pytanie...

- Co to, u licha, było?

- Jama królicza - wyjaśniła, macając ziemię czubkiem buta, a potem przechyliła głowę i spojrzała na mnie z kpiącym uśmiechem. - Chyba trzeba umieścić ten gatunek na liście groźnych drapieżników. Jest ci wygodnie?

- Bardzo. - Czułem, jak twarz oplata mi miękka trawa, a słońce zalewa mnie swym ciepłym blaskiem. Nawet jeśli odczuwałem pragnienie, by się podnieść z ziemi, zniknęło bez śladu, gdy tylko Rachel położyła się u mego boku. - Nie rozkładaj się tak - ostrzegłem. - Wkrótce się ściemni.

Przysunęła się bliżej, wtuliła we mnie i błysnęła szelmowskim uśmiechem.

- Wiem.

Leżeliśmy w milczeniu, podczas gdy słońce zanurzało się za drzewami; w miejscu, które przed chwilą opuściło, trwały jeszcze pasemka pomarańczy i krwawej czerwieni, nim i one wśliznęły się bezszelestnie za horyzont. A potem niebo zniknęło i na bezkresnej czarnej pustce zaczął się rozpościerać kobierzec gwiazd, które pojawiały się jedna za drugą.

Wreszcie, gdy po raz pierwszy rozbłysnął półksiężyc, Rachel dźwignęła się na kolana i wzięła mnie za rękę.

- Jest doskonale - wyszeptwała. - Chodź.

Podniosła się i pomogła mi wstać, a potem skinęła na mnie, odwracając się i idąc przed siebie.

Obserwowałem ją przez chwilę, jej rozkołysany ruch bioder, kiedy brnęła przez trawę. Nie odwróciła się, gdy ruszyłem za nią, choć z pewnością wyczuwała moją obecność za plecami. Nie odezwała się, schodząc w prawo z naszej pierwotnej ścieżki i kierując się w stronę gęstwiny leśnej, gdzie drzewa wyrastały z dywanu szerokolistnej paproci.

- Wiesz, co zjada wszystkie króliki w tych lasach? - spytała.

- Tak - odparłem. - Łasice.

- Gronostaje...

- Na jedno wychodzi.

Roześmiała się.

- Owszem, gdyby łasica poćwiczyła na siłowni, to myślę, że mogłaby...

- Przejdź do rzeczy - powiedziałem z uśmiechem.

I wtedy, gdy dotarła do linii drzew, odwróciła się na pięcie i zatrzymała mnie w miejscu, kładąc mi na piersiach dwie mocne dłonie.

- Wiesz, jak gronostaj chwyta królika?

- Pozbawia go woli życia za sprawą tańca nowoczesnego.

- Hipnotyzuje go. - Roześmiała się. - Wzbudza jego fascynację. Wprawia w niesamowity halucynogeny trans. - Odsunęła się ode mnie, po jej twarzy przesunęła się nagle ciemność współgrająca z otaczającym ją leśnym mrokiem. Jednym szybkim ruchem chwyciła sweter za brzeg przy szyi, ściągnęła go przez głowę i odrzuciła na bok. - I gdy ten mały królik tylko zezuje i jest całkowicie oszołomiony... - Zsunęła ze stóp buty, sięgnęła za siebie, żeby rozpiąć spódnicę, wyswobodziła się z niej zgrabnie i uśmiechnęła wyzywająco.

Poczułem, jak się chwieję, gdy światło gwiazd zagrało na jej skórze, miękkie zaokrąglenia ciemnej sylwetki wabiły mnie i jednocześnie przykuwały do miejsca. Moja głowa zamieniła się w kłębowisko iskier i zwarć, po moim kręgosłupie peły wiązki elektryczności. Posłyszałem samego siebie, poczułem ruch swoich dłoni.

- Okay, ugryzę. - Rozpiąłem koszulę i rzuciłem ją w krzaki. Zacząłem manipulować przy pasku i uwolniłem się od spodni. Zadrzałem, gdy nocne powietrze napięło mi skórę i pokryło ją dreszczem chłodu.

Jej uśmiech przerodził się w gardłowy śmiech, gdy zanurzyła się w wysokie do ramion paprocie i zdjęła stanik.

- Dlaczego myślisz, że jesteś gronostajem? - spytała. Prąd nabrał mocy, kiedy Rachel zniknęła mi na chwilę z oczu; wyprostowała się i rzuciła bieliznę na kupkę odzieży. - Twoja kolej - poinstruowała.

Wszelkie oznaki niepokoju ustąpiły, kiedy odrzuciłem resztki ubrania. Ledwie ją widziałem, ale w tym momencie czułem jej wzrok na całym sobie, tak jak czułem wzrok każdej sowy, ćmy i nietoperza, które mogły się czaić

w tych lasach. Owo wrażenie wytrącało mnie z równowagi, więc opuściłem ramiona, każąc dłoniom zsunąć się w dół, by ocaliły moją skromność. Przywarły bezużytecznie do ud.

- Dobrze - powiedziała Rachel. A potem z głośnym, radosnym chichotem sprawiła, że mój umysł powrócił gwałtownie do rzeczywistości. - Teraz zamknij oczy i policz do dziesięciu. - Roześmiała się. - I złap mnie, jeśli potrafisz.

Zanurkowałem w labirynt paproci i w ciągu kilku sekund znalazłem się w całkowitej niemal ciemności. Giętkie gałęzie wyginały się bez trudu przede mną, liście ledwie łaskotały mi skórę, gdy wytyczałem w gęstwinie ślepy szlak.

Po trzydziestu krokach przystanąłem, starając się wychwycić jakikolwiek dźwięk, który mógłby zdradzić pozycję Rachel. Gdzieś z przodu, z prawej strony dobiegł nieznacznym szelest listowia. Z lewej przelotny, ale wyraźny trzask gałązek. Zaryzykowałem i rzuciłem się w prawo i wtedy szelest zamienił się w ogłuszający łoskot, któremu towarzyszył głośny, figlarny śmiech. Poczułem, jak wzbiera we mnie nerwowe, radosne podniecenie, ujawniające się szerokim uśmiechem na mojej twarzy, gdy przyspieszyłem kroku, rzucając się w ślad za czymś, co jawiło się jako umykająca zwierzyna. Usłyszałem, jak obraca się błyskawicznie i biegnie w lewo, a ja skoczyłem za nią. Gałęzie, które Rachel wprawiała w niepokój, wciąż mnie chłostały, gdy kosiłem je na swej drodze. Docierał do mnie zdyszany oddech, tupot stóp w ciemności przed moimi oczami, niemal na wyciągnięcie ręki. Potknąłem się, wysuwając ramiona, i uderzyłem o ziemię tak mocno, że odbiłem się od niej i dźwignąłem na nogi, jeszcze nim zdążyłem poczuć ból.

Cisza była tak głęboka, że dzwoniła mi w uszach. Stałem nieruchomo jak kamień, pragnąc, by Rachel zdradziła swą obecność. Nie czekałem długo, bo odchrząknęła głośno i z rozmysłem, dając mi do zrozumienia, że znajduje się w odległości niespełna dziesięciu metrów ode mnie. Rzuciłem się do przodu i pokonałem dzielący nas dystans sześcioma krokami, ale natrafiłem tylko na pustą przestrzeń; od razu usłyszałem, jak Rachel biegnie za moimi plecami, pozostawiając za sobą ślad cichego śmiechu. Odwróciłem się błyskawicznie, żeby rzucić się w pogoń, ale ledwie się za nią znalazłem, kiedy zniknęła. Zahamowałem piętami, zatrzymałem się gwałtownie, a ona znowu była za mną, biegnąc z powrotem ku otwartej przestrzeni. Jej kształt



ledwie rysował się w blasku księżyca za lasem; wykorzystując tę przewagę, ruszyłem na pełnym gazie, chłuszcząc paprocie. Moje stopy niemal nie dotykały ziemi. Wlepiłem wzrok w barki Rachel, a moje pozostałe zmysły prowadziły mnie między drzewami, kiedy zbliżałem się do niej wielkimi napowietrznymi susami. I wtedy upadła.

Zanurkowałem i skoczyłem na nią z instynktownym, bezwiednym pomrukiem. I znów runąłem tylko na siebie. Skuliłem się i przetoczyłem, tysiące odłamków martwego drewna rozdzierały mi plecy, gdy zatrzymałem się raptownie. Uchwyciłem ją kątem oka, próbując znaleźć punkt oparcia, podnieść się z ziemi, drąc podłoże rozcapierzonymi palcami. Z pewnością ją słyszałem; trzask gałęzi, szelest rozdzieranych liści, kopyta uderzające o...

- Cholera! - wyrwało mi się z ust, kiedy przez ułamek sekundy spoglądałem w oblicze swej zwierzyny. Sprawiała wrażenie równie zaskoczonej jak ja; miała oczy szeroko rozwarte i obnażone zęby, gdy wykonała piruet, tylne nogi przebiegały rozpaczliwie, szukając oparcia, nim uniosły się nad ziemią.

Nie zdążyłem się nawet wyprostować. Niemal czterdzieści kilo żywej sarniej wagi walnęło mnie prosto w pierś, przewróciło i przetoczyło się po mojej głowie. Leżałem oszołomiony i pozbawiony tchu, gdy zwierz rąbnął o poszycie za moimi plecami, wierzgając nogami, zwierając kopyta w panicznych próbach podźwignięcia się z ziemi. Na szczęście gdy to zrobił, moje modlitwy, by podążył w obranym kierunku, zostały wysłuchane; nie zamierzał zawracać i stratować mnie ponownie.

Leżałem nieruchomo przez minutę, łapiąc oddech, czekając, aż serce odzyska w miarę regularny rytm. Szok ustępował szybko, wypierany przez niemal deliryczne rozbawienie, które łagodził pulsujący ból każdego niemal mięśnia. Nie miałem ochoty wstawać.

Ten brak motywacji przeminął jednak w mgnieniu oka, kiedy usłyszałem, jak Rachel woła mnie po imieniu. Była blisko; nasłuchiwałem z uwagą tupotu jej stóp, zdecydowany się upewnić, że ma tylko dwie, nim podjąłbym polowanie. Poruszała się powoli, zmierzając z powrotem w ciemność. Wstałem, by za nią podążyć, z początku niespiesznie, kołyszac biodrami, rozprostowując ramiona i otrząsając ręce z bólu.

Stopniowo nabierałem szybkości, osiągając tempo ukradkowego kłusa; byłem teraz pewny pozycji Rachel, moje uszy chłoneły odgłosy jej wysiłku,

skupiając się na krystalicznie czystym dźwięku liści, które ocierały się o jej skórę.

Krzyknęła, usłyszawszy, że się zbliżam, i rzuciła się pełnym pędem przed siebie. Miałem ją; słyszałem jej oddech, czułem zapach skóry, smakowałem woń perfum, gdy skoczyłem na nią na ślepo. I byłem dostatecznie blisko, żeby jej dotknąć, gdy nagle, wbrew temu, o czym zapewniały mnie słuch i węch, poczułem, że znajduje się za mną. Serce podjechało mi do gardła, moje wnętrzności wykonały fikołka, ja zaś wpadłem w wysokie na półtora metra paprocie, gdy obróciłem się na pięcie w jej stronę. Dostrzegłem przed sobą mignięcie jej cienia, usłyszałem trzaskające gałązki i szeleszczące liście, gdy przemykała niedaleko. Słyszałem ją nad sobą i czułem obok siebie, wiedząc, że krąży tuż za mną, a świadomość, że ścigam echo, roznieciła ognistą kulę panicznej dezorientacji w mojej głowie. Wtedy straciłem nad sobą kontrolę.

Porzuciłem zmysł ironii i wybrałem najkrótszą drogę ku linii drzew, wzrok skupiałem na widniejącej tam szczelinie, w uszach miałem odgłos trzaskających łądyg orlicy, nerwy przewodziły elektryczność; każdy włoszek na moim ciele był naprężony, kręgosłup zwinięty w węzły, oddech dobywał się ze mnie krótkimi, zbyt płytkimi sapnięciami. Wyprzedziła mnie bez trudu, więc czułem niemal jej tchnienie na plecach, gdy wypadłem zza zasłony paproci. W tym momencie straciłem równowagę i na chwilę uniosłem się w powietrze, gdy ciało prześcignęło uginające się pode mną nogi, po czym poleciałem głową w przód w stronę ziemi. Przekręciłem się na plecy i dobrnąłem niezdarne jak krab na otwartą przestrzeń, pokonując ostatnie metry; w uszach dzwonił mi własny oddech, gdy zrezygnowałem z walki niczym ofiara drapieżnika, pokonany, bezbronny wobec jej ataku.

- Chryste, nic ci nie jest?

Usłyszałem własny krzyk strachu, poczułem, jak zawodzą mnie wszystkie organy, kiedy jej głos przyplłynął gdzieś z tyłu. Odwróciłem się do niej. Stała tam w wysokiej do kolan trawie, blask księżyca przenikający korony drzew pogrążał jej skórę w pajęczej poświacie.

- Jezu - wyjąkałem. - Ale mnie wystraszyłaś.

- Było niesamowicie, co? - Uśmiechnęła się, wyciągnęła dłonie zza pleców i przysunęła się do mnie bezgłośnie na palcach. - Zerwałam dla ciebie kwiat.

Opadłem, zamknąłem oczy i odrzuciłem do tyłu głowę, starając się na próżno uspokoić oddech, gdy uklęka przy mnie. Choć bardzo pragnąłem patrzeć na nią i widzieć, jak muska mnie miękkimi płatkami po piersi, w moim mózgu jarzył się blask dnia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Było po trzynastej, kiedy dotarłem do domu. Nie przełknąwszy niczego od dwudziestu czterech godzin, byłem wygłodniały. Włożyłem do piecyka zamrożoną pizzę i czekając, aż się podgrzeje, opychałem się herbatnikami pełnoziarnistymi w czekoladzie.

Kiedy pizza była gotowa, udałem się do salonu i odprężyłem na sofie, stopy oparłem o stół, talerz postawiłem sobie na kolanach. Moje biodra przypominały boleśnie o zimnym, twardym łożu z minionej nocy. Sięgnąłem po pilota, ale dłoń mi znieruchomiała, gdy uświadomiłem sobie, co się dzieje.

- Nie mogę uwierzyć, że znów mnie zostawiłaś samą.

- Erica, tak mi przy...

- Wiesz, co jadłam wczoraj na kolację? - Przestała krążyć nerwowo i przykuła mnie wściekłym spojrzeniem. - Wiesz?

- Byłem...

- Krakersy ryżowe popijane wodą z kranu. A wiesz, co jadłam na śniadanie?

- Ja...

- Krakersy ryżowe popijane wodą z kranu. I domyślisz się pewnie, co jadłam na obiad...

- Posłuchaj, ja...

- Gdzie się podziewałaś, u diabła? - Stała nieruchomo jak głaz, ręce wspierała na biodrach, gniew emanował z niej gorącymi falami, paląc mnie w policzki.

- Erico, nie było mnie dłużej, niż początkowo planowałem - odparłem. - Przykro mi.

- Naprawdę? - Pokręciła głową, parszkając szyderczym śmiechem. - To musi się skończyć. A jeśli coś ci się stanie? Jeśli będziesz miał wypadek i wylądujesz w szpitalu na kilka dni, tygodni albo miesięcy? Jeśli w ogóle nie wrócisz do domu? Pomyślałaś o tym? Sam mówiłaś, że nie chcesz, bym zagłodziła się na śmierć, prawda? No cóż, może powinieneś przygotować jakiś plan awaryjny, bo gdy tylko nie jesteś po prostu bezduszny, stajesz się

kurewsko samolubny i nieodpowiedzialny. I po co w ogóle twierdzisz, że jest ci przykro? Nie wiesz nawet, co to znaczy.

Do tej chwili mogła mieć rację. Niewykluczone nawet, że nie zrozumiałem jej pytania. Lecz gdy spojrzałem w te rozognione oczy, gdy poczułem żar jej gniewu, jej strach, i przy akompaniamencie burczenia w moim brzuchu także jej głód, odniosłem wrażenie, że w jakimś stopniu wiem, co znaczy, że komuś jest przykro. Patrzyłem na nią z niekłamanym bólem.

- Przygotowałem ci obiad - powiedziałem. - Jest na górze.

Spuściła w końcu wzrok i westchnęła głąboko.

- Na górze? Więc przyniosłeś mi odpowiednio długi widelec?

Przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem szeroko drzwi klatki, potem odsunąłem się i czekałem. Erica trwała przez chwilę w uporczywym bezruchu; pokręciła głową i roześmiała się do samej siebie, najwyraźniej walcząc z pokusą kontynuowania swej gniewnej tyrady. W końcu posłała mi pełne rezygnacji spojrzenie i wypadła jak burza z pomieszczenia.

Wyszedłem za nią na podjazd; wciągała w płuca hausty świeżego, słodkiego powietrza, a jej wściekły początkowo marsz zmienił się w nostalgiczny spacer, gdy tylko pojawiło się naturalne światło. Trącała czubkiem buta żwir, podciągając spódnicę, i zatrzymała się pod drzwiami, żeby popatrzeć na słońce.

Ponagliłem ją, by weszła do domu, i zaprowadziłem do salonu, gdzie czekała już moja pizza.

- Nie musisz się spieszyć - zapewniłem. - Obejrzyj sobie telewizję, jeśli masz ochotę. Przyniosę ci coś do picia.

Siedziała sztywno, ręce trzymała między kolanami, przyglądając się posiłkowi. Po chwili spojrzała na mnie z półuśmiechem.

- Dziękuję - powiedziała.

Wziąłem słuchawkę telefonu bezprzewodowego i wróciłem do kuchni, gdzie bezskutecznie penetrowałem lodówkę, nim stwierdziłem, że jest dosłownie pusta. Zadowolilem się kanapką z pastrami i śliwkowym czatni, a także filiżanką słodkiej herbaty.

Odtwarzałem w myślach każdą minutę ostatniej nocy, od chwili gdy podniecona Rachel otworzyła drzwi swojego mieszkania, aż do momentu, kiedy jej palce zwinęły się do wnętrza dłoni, a ja skuliłem się obok niej

i zapadłem w głęboki, pełen zadowolenia sen pod gwiazdami. Nie wiem, jak długo spoglądałem przez okno, ale moja herbata zrobiła się zimna jak lód, nim przyszło mi do głowy ją wypić.

- Co ci się stało, u licha?

Erica wyrwała mnie gwałtownie z zamyślenia, przyglądając mi się podejrzliwie, kiedy wkładała brudny talerz do zlewu.

- O co ci chodzi?

- O twoje plecy - odparła, dając mi znak spiralnym gestem dłoni, żebym się odwrócił. - To twoja krew?

Pytanie mnie zaniepokoiło, jego przypadkowa szczerota stanowiła bolesne przypomnienie o miejscu, jakie z pewnością zajmowałem w jej myślach. Poczułem się nagle odsłonięty, w niewytłumaczalny sposób zmuszony do zapewniania o własnej niewinności, choćby pozornej i absurdalnej.

- A czyja? - Tylko na to było mnie stać.

- Przestań gadać bzdury - powiedziała, obracając mnie silnym ruchem ręki na moim ramieniu. - O Boże, cuchniesz perfumami. Nie wiem, czy chcę znać szczegóły.

- To nic takiego - zapewniłem ją. - Przewróciłem się, to wszystko.

- Zdejmij koszulę.

- Co? Nie ma mowy. - Wylałem zimną herbatę do zlewu i znów nastawiłem czajnik.

- Boli?

- Tak. - Zwłaszcza teraz, kiedy o tym wspomniała.

- Chodź tu. - Stała przede mną i zaczęła mi rozpinąć koszulę, nim zdążyłem zaprotestować. - Możesz sobie być twardzielem do woli, ale nie potrafisz obejrzeć własnych pleców. Chyba że nie masz kręgosłupa, oczywiście. - Ściągnęła mi koszulę z ramion i odwróciła mnie tyłem do siebie. - No tak. Upadłeś, co? Bo się potknąłeś o wielką górę? Co, u diabła, robiłeś w nocy? Cuchniesz kurewsko koszmarnie.

Wciągnąłem koszulę na ramiona.

- No cóż, dziękuję za diagn...

- A wyglądasz jeszcze gorzej. Zdajesz sobie sprawę, że jesteś naszpikowany kolcami, prawda? - Tym razem koszula została zdjęta do końca i wylądowała pomiętoszona w kącie. - Usiądź - poleciła. - Znajdę pęsetę.

Erica przez całą godzinę wyciągała mi z pleców kolce i osty, a także

drzazgi kory i gałązek. Nie przejawiała szczególnej delikatności, wbijając się we mnie agresywniej, niż było to konieczne. Okazyjnie zahaczała o otwartą ranę, ignorując moje sykliwe skargi. Pomimo jednak swej celowej niezgrabności była chwalebnie rzetelna. Pracowała w milczeniu, jeśli pominąć sporadyczne uwagi w rodzaju „siedź nieruchomo”, usuwała starannie każdy ślad leśnej flory i dorzucała go do schludnego wzgórka na blacie stołu. Wreszcie odłożyła pęsetę i cofnęła się o krok, żeby ocenić z podziwem swe dzieło.

- No - oznajmiła dumnie. - Jesteś wolny od wszelkiego drewna.

Byłem bardziej obolały i pokaleczony niż wtedy, kiedy zaczęła swoje zabiegi, czułem też wyraźnie kilka strużek krwi spływających po plecach, ale nie mogłem się zdobyć na krytykę. Cięż Eriki na moim ciele miał w sobie ciepło i odczułem niejaki rozczarowanie, że usługa zapewniana przez jej dłonie nie jest już potrzebna. Czy tego rodzaju myśli miewali wujowie o swoich siostrzenicach? Podejrzywałem, że tak, choć wydawało się to trochę niestosowne.

- Dziękuję - powiedziałem, co wydało mi się zbyt zdawkowe.

- Nie skończyłam jeszcze. - W jej głosie dało się wyczuć cięż uśmiechu. Słuchałem cierpliwie, kiedy wyjmowała miękką watkę z celofanowego opakowania i zdejmowała metalową zakrętkę ze szklanej butelki. Ściągnęła ręcznik z oparcia mojego krzesła i owinęła mnie nim prowizorycznie w pasie. - Okay, pochyl się, siedź grzecznie i nieruchomo, oddychaj głęboko. Trochę zapieczę.

Posłuchałem z uśmiechem i oparłem czoło o stół, oczekując pierwszych ukąszeń środka dezynfekującego, dziwnych i intensywnych rozlewisk lodowatego płomienia, niemal przyjemnych poprzez swą obietnicę uzdrawiania. Jednak to, czego doświadczyłem, było istną falą bólu tak intensywnego, że mój umysł skurczył się w sobie, a oczy utraciły ostrość widzenia.

Erica oblewała mi powoli plecy zawartością buteleczki, starając się nie marnować środka dezynfekującego na nienaruszoną skórę. Wydałem z siebie pełen szoku skowyt, gdy moja skóra się napięła, a ciało skręciło w konwulsjach; przywarłem twarzą do stołu, cierpiąc tak koszmarnie, że zacząłem się zastanawiać, czy może jednak poszła na całość i już skrzesła zapalkę.

Na bis, gdy chwyciłem rozpaczliwie krawędź blatu, odstawiła pustą buteleczkę i wzięła ręcznik. Rozpostarła go na moich plecach, by zbierać strugi środka dezynfekującego i rozprowadzać go po ranach, wcierając tak mocno, że uderzałem raz za razem głową o dębowe drewno stołu.

- No, już po wszystkim - oznajmiła, okrywając mi ramiona ręcznikiem. A potem, kiedy ze zbolałym jękiem próbowałem odzyskać ostrość wzroku, położyła dłoń na moich rozpalonych plecach, nachyliła się do ucha i wyszeptała: - Mam nadzieję, że była tego kurewsko warta.



# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Kontrola. Kontrola, kontrola, kontrola, kontrola. Jedź.

Nie wiedziałem, dokąd zmierzam, i gdy przybyłem do miasta, nie miałem pojęcia, jak tam dotarłem. Towarzyszyła mi tylko świadomość, że muszę odzyskać panowanie nad swoim życiem, bo w przeciwnym razie nie przetrwam następnego tygodnia.

Plecy wciąż mnie piekły. Zaciskałem zęby, aż zaczęły mnie drażnić przy każdym oddechu, a nadgarstki bolały od zaciskania dłoni na kierownicy. Wyciągałem z transita prawie sto siedemdziesiąt kilometrów na godzinę; kabina śmierdziała spalonym olejem i pyłem klocków hamulcowych. Dokuczala mi głowa.

Zatrzymałem się na rogu King Street, światła przejeżdżających samochodów przesuwaly się po zamglonych wspomnieniach pewnego popołudnia, kiedy przechadzałem się tam i z powrotem, obgryzałem paznokcie i walczyłem z tysiącem myśli, które tak hałaśliwie biły się o miejsce w mojej głowie, że żadnej nie dało się wyraźnie usłyszeć. Przypomniałem sobie przyszczatego młodzieńca w jasnoczerwonej koszulce polo, który sprzedał mi wielką jak spiżarnia lodówkę do piwnicy, z dużym zamrażalnikiem i półką na butelki. Przypomniałem sobie, że nie mogę sobie przypomnieć, co robiłem.

Kontrola.

Na ulicy pojawiały się i znikaly dziewczyny, parada kołnierzy ze sztucznego futra i skórzanych spódniczek, nagie nogi, marmurkowane i blade, oczy zapadnięte i mroczne. Wyłaniały się z cienia i nachylały do szyb samochodowych; na miejsce każdej, którą pospiesznie odwożono, pojawiała się natychmiast inna. Przewijały się niemal co godzinę, ich twarze za trzecim razem utrwały się w pamięci. Żadna nie spojrzala dwa razy w moją stronę, gdy siedziałem całkowicie nieruchomo w ciemności, prawie niewidoczny we wnętrzu furgonetki.

Patrzyłem, jak się zjawiają i znikają, wyraz ich twarzy utrwał się coraz bardziej, drżenie kolan było coraz widoczniejsze. Studiowałem ich postawę, ich energię, czujność w oczach, eliminując je jedna po drugiej, aż w końcu, przed jedenastą, wybrałem taką, która robiła najkorzystniejsze wrażenie.

I wtedy, gdy czekałem, aż pojawi się ponownie, pokazała się nowa twarz i wszystko inne zostało zapomniane.

Ta wydawała się idealna. Kołysała się niepewnie na nogach, ciężki rąbek jej płaszcza ocierał się o kostki, kiedy się obracała, wodząc nerwowo wzrokiem od jednego końca ulicy do drugiego, rzuciwszy pustą butelkę po piwie w pobliskie krzaki. Była wysoka, ale szczupła; zakładałem, że odzież, pomijając wełniane płaszczy i buty motocyklowe, stanowi połowę jej wagi.

Nie traciłem czasu; furgonetka została uruchomiona i znalazła się przy przeciwnym krańcu ulicy w mgnieniu oka. Spuszczona szyba. Uśmiech na twarzy.

- Cześć - powiedziałem.

Obdarzyła mnie nerwowym uśmiechem, ponownie penetrując uważnym spojrzeniem oba końce ulicy, nim nachyliła się do okna wozu.

- Chcesz ze mną porozmawiać? - spytała, jękając się.

Z bliska wydawała się wyjątkowo nietypowa, jej twarz była delikatna i nie nosiła śladów przeżyć, włosy świeżo umyte, a płaszczyk sprawiał wrażenie dobrze uszytego. Intrygujące. Wysiadłem na chodnik i stanąłem z boku, otwierając jej drzwi.

- Tak, dlaczego nie? - Wzruszyłem ramionami. - Wskakuj.

- Więc... co chcesz robić? - Teraz, kiedy samochód ruszył, a ona zapaliła papierosa, wyglądała na bardziej odprężoną, choć lekkie drżenie w głosie zdradzało powściągliwość.

- Sama mi powiedz - zaproponowałem. - Masz jakieś specjalne oferty?

- Ręką dwadzieścia funtów, ustami trzydzieści. Możesz mnie przelecieć za sześćdziesiąt - odparła bez najmniejszego śladu ironii. - Albo wszystko za osiemdziesiąt, najkorzystniejsza propozycja w tym tygodniu. Skręć w lewo.

Choć podziwiałem prostotę takiej polityki cenowej, musiałem podać w wątpliwość jej zasadność. Liczyła sobie za leżenie na plecach i wpatrywanie się w sufit dwa razy tyle, ile za kreatywne połykanie, no i dodawała premię za cały zestaw. Wedle moich obliczeń trzy usługi za jednym zamachem powinny zredukować koszt do trzydziestu sześciu funtów sześćdziesięciu sześciu pensów według obowiązujących stawek. Pobierała pełną detaliczną marżę. Zdumiewające.

Skierowała mnie w stronę wąskiego traktu między ogródkami działkowymi i granicą Londynu. Zdjęła płaszczyk, zanim zdążyłem zgasić

silnik.

- No dobrze. Tu czy...? - Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, w których malowało się wyczekiwanie. Spodziewała się najwidoczniej dalszych instrukcji.

- No cóż, nie ma tu zbyt dużo miejsca - zauważyłem.

- Nie. - Zmarszczyła przeprasząco czoło. - Sorry, nigdy wcześniej tego nie robiłam.

To nawet lepiej.

- Nie mówisz chyba poważnie - odparłem.

Złączyła dłonie na udach, wyraźnie zakłopotana.

- Wiem, wszystkie tak twierdzą, prawda?

- Wszystkie?

- Rozumiesz... pracujące dziewczyny.

- Przyznaję, że czuję się zaskoczony - wyznałem. - Nie jesteś jedną nich?

Pokręciła głowę bez większego przekonania.

- Jestem barmanką - wyjaśniła.

- Dobra. Więc co, płacę ci sześćdziesiąt funtów, a ty przyrządzisz mi drinka?

- Nie. - Roześmiała się. - Chodziło mi o to, że nie robię tego dla kariery ani żeby kupić cracka czy coś w tym rodzaju.

- Więc dlaczego to robisz?

- Bo... - Westchnęła. - Właśnie zwolnili mnie z pracy. Mój szef to dupek, mówi, że nie stać go, żeby mi płacić, a ja potrzebuję gotówki.

- Są przecież inne bary - zauważyłem.

- Tak, ale nie znajdę pracy i nie dostanę pensji przed końcem tygodnia, więc nie zapłacę czynszu i nikt nie nakarmi licznika elektrycznego ani mnie. I zanim cokolwiek powiesz, zapewniam, że prędzej znajdzie się pracę niż dostanie jakikolwiek zasiłek. - Zapaliła następnego papierosa. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i spuściłem szybę. - Dlaczego właściwie nie mogłabym się tym zająć na stałe? To znaczy jeśli mogę po prostu pieprzyć się przez dwie godziny co noc i zarobić, powiedzmy, trzydzieści tysięcy rocznie, to jestem do przodu. Da się wytrzymać, prawda?

Moje myśli powędrowały do noża myśliwskiego w schowku na rękawiczki i nylonowych pasów przymocowanych po drugiej stronie przegrody, dosłownie kilka centymetrów ode mnie.

Chryste, co ja wyprawiałem, kurwa? Naprawdę czułem się tak bezsilny w swym życiu, że musiałem w ramach rekompensaty odebrać je tej biednej, bezbronnej istocie? Czyn przeciwny całkowicie mojemu instynktowi, taki, który już raz omal mnie nie zniszczył, taki, który w rzeczy samej uważałem za zbrodnię czystego, niczym nieskażonego tchórzostwa? Co, u diabła, zamierzałem w ten sposób udowodnić?

- Wszystko w porządku?

- Jak masz na imię?

Zaciągała się długo i głęboko.

- Tammy.

- A naprawdę?

- Okay, Sammy. - Roześmiała się. - Zdrobnienie od Samantha. Możesz obejrzeć sobie moje prawo jazdy, jeśli chcesz.

Nie skorzystałem z oferty.

- Posłuchaj, Samantho, czy zastanawiałaś się nad tym, jakiego rodzaju człowiek może wybrać właśnie siebie?

- No, ty mnie wybrałeś - zauważyła.

- Właśnie.

- Co? Nie jesteś otyłym, starym, cuchnącym dziwakiem, prawda? Gdybyś podszedł do mnie w klubie i postawił mi kilka drinków, i tak bym się z tobą bzyknęła, więc co za różnica?

- Różnica polega na tym, że nie masz pojęcia, kim jestem. Nikt nie widział, jak wsiadasz do mojego samochodu. To spore ryzyko jak za sześćdziesiąt funtów.

Połknij haczyk, Sammy. Nie jest jeszcze za późno.

Przewróciła oczami i uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Nie jestem dzieckiem - powiedziała. - Potrafię o siebie zadbać.

Nie miała pojęcia. Popatrzyłem na jej drobne dłonie i chude kostki u stóp, niepewność w jej oczach tłumiła wszelki opór. Wzdychając, wyjąłem portfel i położyłem trzy dwudziestki na siedzeniu obok niej; uśmiechnęła się i schowała banknoty do torebki.

- Okay, w porządku - powiedziała. Wyraźnie się ucieszyła. Nie miałem nic przeciwko temu, żeby zapewnić jej tygodniowe wyżywienie. W gruncie rzeczy zamierzałem uruchomić silnik i odwieźć ją do domu, kiedy wyskoczyła na błotnistą ziemię i zatrzasnęła za sobą drzwi. - No dalej,

chodźmy. - Uśmiechnęła się, patrząc na mnie przez otwarte okno. - Nie mam na zbyciu całej nocy.

Próbowałem dać jej ostatnią szansę. Nie pasowała do tego wszystkiego; była dzieckiem, na litość boską, zdesperowanym i tracącym grunt pod nogami, i niemal namawiała mnie, bym wyrządził jej krzywdę. Nie zasługiwała na to, co miało ją spotkać, ale jednocześnie nie podejmowała żadnego wysiłku, by tego uniknąć. Nawet gdy ściągała koszulę przez głowę, chciałem tylko odstawić ją bezpiecznie pod drzwi jej domu, ostatnia szansa, ostatnia szansa, ale Boże dopomóż, jej miękki, błady brzuch - rozciąć go! - przestań! - w kształcie litery V i szczyty bioder nad paskiem nisko noszonych dżinsów, niemal dziecięcych, taka młoda, zbyt młoda, żadnego rozsądku, żadnej idei, nigdy nie zaznała bólu, śmierci ani strachu, tylko nieskończenie jałowa nadzieja i kurewsko beznadziejna zdolność jakiegokolwiek osądu. Sama utrudniała to niemal na własne życzenie. I jak można było oczekiwać, kiedy już stała przede mną naga i dała znak, bym się pospieszył, wybór nie należał już do mnie.

Kiedy pierwszy raz położyłem dłonie na jej szyi, trzymałem ją dostatecznie długo, aż jej chwyt na moich nadgarstkach osłabł, a usta przestały się krzywić, próbując bezskutecznie złapać powietrze. A potem moje ciało sprzeciwiło się samo sobie i po prostu ją puściłem, usiadłem wsparty plecami o przesuwane drzwi furgonetki i patrzyłem, jak przełyka spazmatycznie i krztusi się, jak podpełza do ściany wozu i prostuje się. Obrzuciła mnie spojrzeniem udręki przepełnionej strachem, naga pierś unosiła się gwałtownie, ona sama zaś powracała z wysiłkiem do życia.

- Przykro mi - powiedziałem niepewnie i słabo. - Sam nie wiem, co robię.

Nie byłem nawet pewien, do którego z nas się zwracam.

- Ty - wysapała. - Ty...

- Wiem. - Skinąłem głową. - Za późno na przeprosiny, prawda? Zła nie da się cofnąć.

Wiedziała równie dobrze jak ja, że nie pozwolę jej odejść, ale i tak dźwignęła się na nogi. Zaczęła płakać, ruszając chwiejnym krokiem ku tylnym drzwiom; zmagala się przez chwilę z zamkiem, łkając, dławiąc się i czkając chrapliwie, aż w końcu prawe skrzydło rozwarło się na oścież, a ona poleciała w błoto. Wylądowała na dłoniach i kolanach, krztusząc się gwałtownie pod wpływem świeżego powietrza. Dałem jej chwilę;

wiedziałem, że nie ucieknie daleko.

Za drugim razem byłem wobec siebie twardy. Wciągnąłem ją do furgonetki, okraczyłem jej nagie biodra i przycisnąłem kciuki do tchawicy, uciszając krzyki. Trzymałem ją jeszcze długo po tym, jak jej ręce opadły, a nogi przestały wierzgać, jak jej przepełnione niedowierzaniem i paniką spojrzenie przygasało, a oczy uciekły w głąb czaszki. Trzymałem ją, gdy podrygiwała nieznacznie, aż poczułem ból w rękach i skurcz w palcach. Aż z jej skóry zniknął wszelki ślad różu. Nawet wtedy trzymałem ją jeszcze przez chwilę.

Teraz zaś, kiedy siedziałem, wodząc opuszkami po jej zimnych zarysach, nie doznawałem najmniejszej nawet satysfakcji, że udało mi się zakrzyczeć głoś w własnej głowie. Żadnego uniesienia, ulgi. Wbrew sobie nie czułem niczego prócz wydrążenia.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Halo, jest tam kto?

Sobota, dziewiąta. Rachel stała przy łóżku w śnieżnobiałym szlafroku, trzymając tacę z rogalikami i kawą, i przewracała oczami z żartobliwą niecierpliwością.

- Cześć.

Otrząsnąłem się z obrazu martwych oczu Sammy, podłożyłem poduszki pod plecy i zrobiłem miejsce na stoliku nocnym. Rachel postawiła tacę i wskoczywszy na łóżko, okraczyła moje kolana i nachyliła się, by mnie pocałować.

- Byłeś w jakimś miłym miejscu? - zamruczała.

- Nie bardzo. - Szlafrok był luźny i z niewielką pomocą mojego palca wskazującego ukazywał najbardziej uroczy widok. - Ale teraz jestem.

- Bezcelny. - Roześmiała się i zgarnęła połę szlafroka. Rękawy podjechały w górę i ujawniły wyraźne blizny na nadgarstkach. Zorientowała się, że je zauważyłem, i zastoniła się bez słowa.

- Nie bądź taka wstydliva - powiedziałem z cieniem przebiegłego uśmiechu na ustach. - Jest za późno, nie masz już nic do ukrycia.

- Nie - przyznała. - Chyba masz rację.

Ująłem jej ręce i przyciągnąłem do swojej piersi; zagryzła nerwowo wargę, kiedy obróciłem je dłońmi do góry i odsunąłem mankiety szlafroka.

- Opowiedz mi o tym - poprosiłem.

Popatrzyła niepewnie na ręce, westchnęła ciężko. Po chwili namysłu uśmiechnęła się ze smutkiem.

- To chyba hołd dla młodszej siostry. - Cofnęła dłonie z mojej piersi, przyjrzała im się dokładniej. - Niezbyt szczęśliwa chwila w moim życiu.

- Co się stało?

Położyła ręce na moich kolanach, wsunęła palce w moje dłonie.

- Była młodsza ode mnie o rok - powiedziała. - Nie rozstawaliśmy się od najmłodszych lat. Wszyscy myśleli, że jesteśmy bliźniaczkami, bo tak bardzo byliśmy do siebie podobne, a mama ubierała nas identycznie. Na dobrą sprawę, kiedy mogłyśmy już ubierać się same, wciąż wkładałyśmy to samo, bo zależało nam na przyciąganiu uwagi. Myślę, że czasem nawet mama

i tata zapominali, że nie jesteśmy połówkami tej samej osoby. Rozstawaliśmy się tylko w szkole, ponieważ chodziła do klasy niżej, ale i wtedy ulatniałyśmy się w czasie przerwy i jadłyśmy razem w stołówce. – Uśmiechnęła się smutno, wpatrzona w kwiatowy wzór pościeli. – Oczywiście inne dzieci uważały, że jesteśmy dziwne i nietowarzystkie, więc i tak nikt nie chciał się z nami bawić – oznajmiła ze śmiechem. – No cóż, po ukończeniu szkoły zrobiłam sobie rok przerwy, żeby siostra zdała maturę, bo obie chciałyśmy pójść na Uniwersytet Wschodniej Anglii i studiować język angielski. Pracowałam przez ten czas w domu towarowym, żeby kupić mały samochód. To był jeden z tych ostatnich klasycznych mini cooperów. Tata się trochę dołożył. Miał dość robienia za taksówkarza. Tak czy inaczej, wóz był niesamowity, brytyjska ciemna zieleń, i miał szerokie nadkola i skórzane siedzenia, do tego odtwarzacz CD, choć głośniki były dość kiepskie.

Na jej twarzy pojawił się wyraz przygnębienia; zagryzła wargę i wlepiła wzrok w moje nogi tkwiące między jej kolanami.

Puściłem jej dłoń, przesunąłem delikatnie opuszkami palców po bliznach. Nie bardzo wiedziałem, co powiedzieć; moje pragnienie szczęśliwego zakończenia jej opowieści było stłumione przez nieuchronność i nagle odczułem zdenerwowanie. Ale pozwoliłem jej mówić.

– Znalazło się parę osób do wspólnego zamieszkania, więc na tydzień przed początkiem semestru przewożyłyśmy nasze rzeczy, co oznaczało w praktyce, że tata wynajął furgonetkę i odwalał całą robotę i jechał za nami. Doszło do wypadku. Nic z tego nie pamiętam, ale powiedział, że zjechałam ze swojego pasa wprost pod traktor. Nie mam pojęcia, jak to się stało.

W uszach rozbrzmiał mi zgrzyt metalu, a po plecach przebiegł dreszcz.

– Jezu – mruknąłem, nie potrafiąc się zdobyć na nic głębszego.

– W każdym razie – ciągnęła – cokolwiek się wydarzyło, przypominam sobie tylko, że stałam pośrodku ogrodu, gdzie rosły najbardziej zielone drzewa, jakie można sobie tylko wyobrazić. Zieleńsze od zieleni, niczego takiego nigdy nie widziałam, i wszędzie te wszystkie kolory, których... no cóż, nie potrafię określić. Po prostu niezemskie... nie do opisanía. Nie umiem ich sobie odmalować nawet teraz, w swoim umyśle. A Becky stała przede mną z tym pełnym zdumienia wyrazem twarzy, wiesz, o mój Boże, i śmiała się. Potem... – Umilkła, znikając na długą chwilę w sobie, nim



spojrzała mi w oczy i ścisnęła mocno dłonie. - Potem usłyszałam głos ojca, który krzyczał: „Rebecca, Rebecca, mój Boże, Rebecca, nie odchodź! Zostań ze mną, Rebecca!”. Czułam, jak mną potrząsa, ale uznał już, że nie żyję. Tyle krwi i w ogóle, naprawdę sądził, że ja to ona, choć czy było to tylko z jego strony pobożne życzenie, nie wiem. A potem Becky patrzyła na mnie i kręciła głową, jakby chciała powiedzieć „nie zostawiaj mnie”. Wyczuwałam, że jest przerażona. Wyciągnęłam do niej rękę, próbowałam ją złapać, ale ktoś mnie odciągał. Później już nic nie pamiętam, aż do następnego tygodnia, kiedy się obudziłam na intensywnej terapii, i nikogo nie było, bo wszyscy poszli na pogrzeb. To anestezjolog mi powiedział, że umarła. A kiedy się pojawili, bardziej ich zajmowały własne odczucia niż moje. Byłam w koszmarnej rozsypce, a oni w kółko mówili: „W porządku, Rachel, to nie twoja wina”, ale dawali jasno do zrozumienia, że chcą przekonać samych siebie. A potem, kiedy policja stwierdziła, że z samochodem było wszystko w porządku, zrobiło się oczywiście jeszcze gorzej. Nigdy tego nie powiedzieli, ale nie musieli. Zdawało się, że widzą tylko martwą córkę i osobę, która ją zabiła, a teraz kuli się w kącie, płacze cały czas i pałęta im się pod nogami. Dzisiaj brzmi to śmiesznie, wiem, ale tak się właśnie przez nich czułam. I tak bardzo za nią tęskniłam, że nie potrafię ci tego opisać, jakby pozbawiono mnie ręki, bezustanne swędzenie, które przypomina, że człowiek utracił coś dla siebie istotnego, i wiedziałam, że jej jest o wiele lepiej martwej niż mnie żywej, i byłam pewna, że nikt nie będzie za mną tęsknił, więc poszłam się wykąpać z buteleczką aspiryny i nożem do mięsa. Skończyło się na tym, że umierałam dwukrotnie w ciągu dwóch miesięcy, choć za drugim razem doznałam tego wrażenia, że unoszę się pod sufitem i widziałam lekarzy, którzy krzatali się i wyglądali, jakby guzik ich to obchodziło. Niedługo byłam nieprzytomna. - Znowu popatrzyła na swoje nadgarstki i westchnęła przeciągle. - I wszystko, co mi zostało, to te paskudne blizny. Aha, i jeszcze... - postukała się kłykciami w czubek głowy - ...wielki kawałek tytanu.

- Chryste. Nie miałem pojęcia... - Co tu powiedzieć.

- No cóż, oczywiście, że nie - odparła. - Nie mam tego wypisanego na podkoszulku.

Zmusiłem się do uśmiechu. To, że ją obwiniano, smuciło mnie, ale całkowita bezsilność doprowadzała do wściekłości.

- Powiedz mi, że z czasem było lepiej.

- Niezupełnie. Mama wzięła mnie na rozmowę i nawrzeszczała za to, że tak ją wystraszyłam, i narzekała płacziwie, że nie radzi sobie ze stratą Becky i że nie przeżyłaby, gdyby i mnie straciła, i jak mi się wydaje, jak bym się czuła, gdyby stało się na odwrót, gdyby to ona zabiła się osiem tygodni po śmierci mojej siostry. Powiedziała, że jestem samolubna i owszem, przypuszczam, że taka byłam, no ale chciałam, żeby i o mnie ktoś się martwił, czyż nie? - Sięgnęła do stolika i podała mi herbatę, potem wzięła swój kubek. - Oczywiście... - Wzruszyła ramionami. - Potrafiłam zrozumieć to, co mówiła o stracie, ale podchodziłam do tego bardziej logicznie niż uczuciowo. Wiedziałam, że cierpię, ale po prostu... nie współczułam im. Byłam zbyt zajęta własnymi problemami, co zapewne sprawia, że jestem psychopatką czy czymś w tym rodzaju, ale nieważne. Nie jest to coś, co przytrafia się ludziom w sposób naturalny, prawda?

- Oczywiście, że nie - wyszeptalem, choć prawdę powiedziawszy, nie miałem pojęcia, czy to właściwa odpowiedź.

- Tak więc myślę, że te blizny to przypomnienie, że bez względu na to, jak jest ciężko, zawsze można spodziewać się w każdej chwili czegoś lepszego, i że trzeba tylko poczekać na swoją kolej. Za trzecim razem się uda i tak dalej. - Uśmiechnęła się i łyknęła herbaty. - A tymczasem muszę po prostu radzić sobie najlepiej, jak potrafię, i biorąc pod uwagę to, gdzie jestem, udaje mi się.

- Tak uważasz? - To wszystko, na co zdołałem się zdobyć.

- Żartujesz? - Roześmiała się. - Nie byłam szczęśliwa przez dziewięć lat, a potem ty się zjawiałeś. Chodzę, uśmiechając się jak idiotka, wacham kwiatki i szczerzę zęby do osesków jak ofiara cholernej lobotomii! Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów czuję się tak, jakbym miała na co czekać. Nie wiem, co ze mną zrobiłeś, ale to o tobie myślę, kiedy się budzę, i o tobie marzę, kiedy leżę wieczorem w łóżku. Znam cię od trzech tygodni, na litość boską. Tracę chyba pieprzony rozum!

Wirowało mi w głowie. Rozlałem herbatę na jej białą pościel. Kontrola, kontrola, kontrola.

- Jezu - powiedziałem. - Może niewiele wiem, ale chyba wiem wszystko o tym, jak się traci rozum.

I próbowałem poradzić sobie z tym w jedyny dostępny mi sposób. Po

śniadaniu poszedłem na zakupy.

Minęło sześć tygodni, nim zjawiła się w naszym domu policja. Nadchodziły listy ze szkoły, od czasu do czasu odzywał się dzwonek przy drzwiach i pod koniec drugiego tygodnia wyjąłem przewód telefonu z gniazdka, bo tak uporczywie brzęczał. Jednak na ogół dawano mi święty spokój.

Sąsiedzi, z których wszyscy bez wyjątku pracowali w ciągu dnia, a tym samym wracali do domu dopiero po zmroku, okazywali rozsądek i nie przejmowali się faktem, że moi rodzice się nie pokazują. Bądź co bądź, widzieli wieczorem zapalone światło i słyszeli typowe sąsiedzkie hałasy – trzask zamykanych drzwi, trajkotanie telewizora, szum spuszczonej wody w toalecie. W przekonaniu przypadkowego obserwatora nie działo się nic nadzwyczajnego.

Kiedy się w końcu zjawili, rankiem siódmej niedzieli, zapach zaprowadził ich prosto do drewnitni. Patrzyłem przez okno, jak wchodzi bezczelnie do środka i wyłaniają się po kilku sekundach, żeby zwymiotować na trawę. A potem wyszochałem ulgę w perfumowaną pachę miękko sprężystej policjantki, która łąsała się i uspokajała mnie łagodnie z doskonale wyćwiczoną cierpliwością.

To matka mojego ojca zgłosiła nasze zaginięcie i mówiono, że kiedy się dowiedziała o jego losie, serce pękło jej na pół. Fizjologicznie rzecz biorąc, trudno było mi to zaakceptować, ale z czasem zacząłem rozumieć analogię. Jakkolwiek by było, to złamane serce ojca sprawiło, że nogi się pod nim załamały, a głowa opadła ku fatalnemu spotkaniu z uchwytem tokarki.

W każdym razie zostałem odkryty w samą porę; była akurat wyjątkowo ostra zima i pomimo moich wysiłków w ciągu dwóch tygodni zredukowałem zapasy jedzenia w zamrażarce do sześciu foremek z ciastem. Dzięki pospiesznie rozwijanym umiejętnościom myśliwskim zdołałem schwytać jedynie trzy kaczki i żyłastego, zabiedzonego lisa; pod koniec czwartego tygodnia fauna nabrała przebiegłości.

Właśnie wtedy zwróciłem uwagę na Nicolę Pye. Mieszkała na skraju wioski i chodziła ze mną do jednej klasy. Pociągała mnie nie ze względu na swe smakowicie brzmiące nazwisko, kojarzące się z plackiem, czyli wyżerką, lecz z powodu niefrasobliwej skłonności rodziców, którzy pozwalali jej bawić się po zmroku w lesie. Była też pulchna i miała tendencję do powolnego człapania, a za dodatkową zaletę należało uznać fakt, że

odznaczała się, co było niezwykle korzystne, ograniczonym postrzeganiem przestrzennym; wszystko to razem sprawiało, że stanowiła wyjątkowo łatwą - pod względem niezbyt sportowym - zdobycz.

Czy zrobiłbym to, gdyby mnie nie znaleźli? Nie wiem. Bez wątpienia byłem tak delirycznie głodny, że wyobrażałem sobie Nicolę pod postacią jednego z tych wiszących w sklepach mięsnych plakatów reklamowych z połaciami wieprzowiny. Ale nie byłem głupi i uświadamiałem sobie, że tak jak wszystko, co udało mi się upolować, małe dziewczynki nie składają się z cukru, przypraw i tego, co miłe podniebieniu, lecz raczej z niejadalnego tłuszczu, kości i łykowatych, obrzydliwych, strzępiastych kawałków mięsa.

Wiem jednakże, że mój żołądek miał w tej sprawie niewiele do powiedzenia. Tak, tropiłem Nicolę w zaroślach, gdyż byłem głodny, ale wyobrażałem ją sobie ze strzałą przechodzącą na wylot przez szyję, bo to mnie podniecało. Jak zawsze.

Mój ojciec, pomimo wszystkich swych wad, nie był potworem. Robił dla mnie, co tylko w jego mocy, w miarę swoich możliwości, lecz smutek widoczny w jego oczach wraz z upływem każdego dnia stanowił zapowiedź czekającego go losu. Wiedział, że umrze jako złamany człowiek, że moja matka jest zbyt nieodpowiedzialna i niestała, by zostać i być świadkiem jego końca, i że nic, co mógłby uczynić, tak w życiu, jak i w chwili śmierci, nie będzie miało najmniejszego wpływu na to, kim albo czym się stanę. Wiedział, tak jak wiem teraz, że wydano mnie na świat, nie zaś stworzono. Produkt natury. I niech ją diabli.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

A więc zakupy. Znękane matki w poplamionych sokiem spodnich, starające się za wszelką cenę zapanować nad przychówkiem. Grube kobiety o tłustych włosach i wilgotnych pachach, zgarniające do koszyków ciastka i colę dietetyczną. Nastoletnie dziewczęta z aparatami na zębach, chichoczące i trzymające się za ręce przy przymierzaniu taniej biżuterii. I tam, między wieszakami z firmową odzieżą wieczorową, mały pakiet perfekcji.

Miała cztery albo pięć lat, niebieską dzinsową sukienkę, klamerkowe buciki w tym samym kolorze i rozwichrzone blond włosy do pasa. Przywierała rozpaczliwie do gigantycznego pluszowego królika, a po jej twarzy płynęły łzy. Pociągając noskiem i szlochając, krążąc powoli i bez celu, wodziła wzrokiem po otaczających ją twarzach w nadziei, że dostrzeże znajome rysy.

Kobiety patrzyły na nią z teatralną troską, rozglądały się przez chwilę w poszukiwaniu osoby pasującej do dziecka, po czym wracały do swoich spraw z pełnym współczucia uśmiechem. Mężczyźni, świadomi łatwości, z jaką szlachetne zamiary mogą zostać opacznie zrozumiane, omijali dziewczynkę szerokim łukiem. Ja, oczywiście, od razu przystąpiłem do działania.

- Zgubiłaś się? - Ukłękłem przed nią i zająknąłem się głęboko w jej podpuchnięte niebieskie oczy. Wszelka ostrożność została zmiażdżona przez brzemień rozpacz.

Skinęła główką, jej dolna warga drżała, rzęsy zmagaly się ze łzami.

- Nie mogę znaleźć mamusi - oznajmiła ze szlochem.

- Spokojnie. - Uśmiechnąłem się. - Sprawdzimy, czy uda nam się ją odszukać, okay?

Przycisnęła zwierzątko do buzi, skinęła z wolną główką i wzięła mnie za rękę. Wstałem z klęczek, a podejrzliwość na twarzach przechodzących obok ludzi spotykała się z moim wyzywającym, gniewnym spojrzeniem.

- Jak masz na imię? - spytałem.

- Molly. - Pociągnęła nosem.

- Jak wygląda twoja mama, Molly? - Bez trudu poprowadziłem ją ku frontowej części sklepu. - Ma tak samo jasne włosy jak ty?

Milczące skinięcie głową.

- I taką ładną sukienkę jak twoja?

- Ma różową.

Z dala od sceny przestępstwa mało kto zwracał na nas uwagę.

- Podoba mi się twój króliczek - powiedziałem. - Jak ma na imię?

Obdarzyła pluszaka czułym spojrzeniem i przytuliła mocnej. Wzruszyła ramionami.

- Króliczek.

- No cóż, imię dobre jak każde inne. - Roześmiałem się. - Wszędzie z tobą chodzi?

Skinięła głową, a potem, kiedy zbliżyliśmy się do automatycznych barierek w holu, stłumiała głęboki szloch. Pracownik ochrony stał do nas plecami, gawędząc z kimś z obsługi sklepu, osobą w średnim wieku.

- Przepraszam! - zawołałem. - Ochrona!

Mężczyzna odwrócił się w moją stronę, mrużąc oczy z zawodową nadgorliwością.

- Może mnie pan wypuścić? - spytałem.

Machnął posłusznie ręką przy najbliższej barierce, która uniosła się bezzwłocznie. Przeprowadziłem Molly na drugą stronę, uśmiechając się i dziękując. Łatwe.

- Jak twoja mama ma na imię? - spytałem ją w odległości dziesięciu metrów od wyjścia.

- Sally - odparła.

- I ma dużą zieloną torbę?

- Z kwiatkami.

Pięć metrów.

Wskazałem szczupłą, zapłakaną blondynkę, która wymachiwała rękami przy kontuarze informacji, podczas gdy w głośnikach rozbrzmiewały pierwsze słowa komunikatu.

- To ona? - upewniłem się.

Twarzyczka Molly wyraźnie się rozjaśniła.

- Tak! - wykrzyknęła dziewczynka.

Puściłem jej rączkę, żeby mogła pobiec, kiedy jej matka odwróciła się, podążając za spojrzeniem pracownika informacji, i niemal osunęła się na kolana.

- O mój Boże, Molly - zawołała, chwytając dziewczynkę w ramiona. Popatrzyła na mnie oczami pełnymi łez i wymówiła bezgłośnie: „Dziękuję”.

Ulga i szczęście malujące się na jej twarzy napełniły mnie dziwną, ciepłą jasnością. Mogłem się tylko uśmiechnąć i wycofać pospiesznie.

Okay. Kontrola. Damy radę. Nie zmieni to tego, co zrobiłem Sammy, nie uwolni mnie od drażniącego, migotliwego pulsowania w oczach, ale mogę przynajmniej podjąć próbę osiągnięcia równowagi.

Znalazłem się na rynku bez jasno określonego celu wędrowni czy zamiaru, pomijając przekonanie, że pokrojenie na kawałki jakiejś sprzedawczynie może tym razem nie ułatwić mi określenia własnych uczuć. Wokół mnie kłębili się ludzie, setki maleńkich wszechświatów, które przemykały przez mój własny wszechświat, każdy ożywiany natychmiastowymi pragnieniami i potrzebami. Krążyli pospiesznie między sklepem, bankiem, pocztą i sklepem, napędzani chciwością i koniecznością. Nałogowcy detalicznej sprzedaży. Niewolnicy rytmu podaży i popytu. Nie mogłem się nawet zdobyć na to, by im współczuć.

Obserwowałem wysuszonego, ubranego w sztruksowy garnitur starego człowieka, który stał na obrzeżach placu i spoglądał ze smutkiem na znajdujący się tam pomnik. Skłonił głowę przed listą nazwisk poległych towarzyszy i przeżegnał się drżącą dłonią, nim podjął próbę przejścia na drugą stronę ulicy.

Samochodów było mało, ale pojawiały się szybko; ulice przecinające centrum miasta są wąskie i pogmatwane, przypominają bardziej boczne trasy, którymi umyka się przed korkami. Młodszy i sprawniejszy fizycznie unikają bez trudu przejechania czy potrącenia, jednak ci, którzy z racji wieku poruszają się wolniej, mogą znaleźć się ni stąd, ni zowąd na pasach przed maską jakiejś furgonetki. Mając to na względzie, przyłączyłem się do starszego człowieka przy krawężniku i zaproponowałem mu pomoc.

Ruszyłem spacerkiem w stronę rzeki, a potem patrzyłem, jak zachwycone dzieci rzucają chleb kaczkom i łabędziom. Pary przechadzały się ręką w rękę, śmiejąc się i baraszkując w blasku słońca. Do wody wskoczył podekscytowany golden retriever, żeby przynieść gumową piłkę, a potem otrząsnął futro z wody, ochlapując przerażonych przechodniów.

Zaszedłem do kwaciarni, gdzie kupiłem kilka białych i żółtych chryzantem

oraz ładny niebieski wazon z porcelany. Dziewczyna za kontuarem wyraziła pragnienie, by ktoś dał jej kiedyś kwiaty. Uśmiechnąłem się i kupiłem jej różę. Zarumieniła się. Powiedziała, że poprawiłem jej nastrój.

Wędrując przez miasto, natrafiłem na zastęp skautek, które zbierały datki. Ich zastępowa, przysadzista, krótko ostrzyżona kobieta w średnim wieku, wyjaśniła, że muszą przeprowadzić gruntowny remont siedziby drużyny skautek; dałem jej swój numer telefonu i obiecałem, że pomaluję ściany. Wraz z podopiecznymi wyraziła głęboką wdzięczność. Spytałem ją, czy zaoferują wypieki. Odparła, że tak się robi w Ameryce.

- Zajmiemy się tym - powiedziałem, ale nie byłem pewien, o co mi chodzi, bo nie miałem ochoty zjeść którejkolwiek z nich.

Skautki orzekły, że zobaczą, co da się zrobić. Najwidoczniej im też poprawiłem nastrój.

Samochody rozstępowały się przede mną w magiczny sposób, kiedy pędziłem do domu; włosy rozwiewał mi wiatr, wybijałem palcami rytm na kierownicy, z głośników płynęła muzyka Commodores. Ptaki sfruwały z drzew, by szybować wraz ze mną, gawędząc przy okazji z sarnami, lisami i królikami usadowionymi wzdłuż pobocza, tysiąc podrygujących ogonów, nastroszonych wąsów i węszących nosów w zgodnym rytuale świętowania. Popołudniowe słońce przesuwano się dumnie na nieskończonym głęboko szafirowym niebie, a ja śmiałem się tak serdecznie, że zacząłem płakać, choć nie bardzo wiedziałem dlaczego.

Wciąż prześladował mnie szloch, kiedy zamykałem za sobą bramę i podążałem krętą drogą między nakrapianymi drzewami. Zaparkowałem w zacienionym miejscu i ruszyłem żwawo do drzwi; pobierałem pocztę z wycieraczki i pootwierałem okna na parterze.

Krążyłem po domu na poduszce powietrznej, napięcie opadało ze mnie wielkimi grudami, przez umysł przepływała kaskada tysięcy obrazów. Wprawdzie żaden nie trwał na tyle długo, bym mógł go rozszyfrować, ale pozostawiały po sobie zdumienie i podniecenie. Obijałem się po pokojach jak rykoszet niezdolny do chwilowego bezruchu. Zaparzyłem herbatę, potem od razu o tym zapomniałem i otworzyłem butelkę wina. Odstawiłem gdzieś butelkę i o niej też zapomniałem. Ruszyłem pełen wigoru do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, i przekonałem się, że już to zrobiłem. Była zimna, co mnie zdeprymowało. Postanowiłem otworzyć butelkę wina, ale nie mogłem



znaleźć korkociągu. Poszukując go, znalazłem butelkę, którą zdążyłem już otworzyć. Tym razem jej nie odstawilem.

Zwlekałem dłuższą chwilę w kuchni, próbując zwolnić bieg myśli. Czepiałem się na chybił trafił wrażeń przepelniającego mnie szczęścia, obracałem je na wszystkie strony i na wierzch, próbując bezskutecznie dokonać ich analizy. Im bardziej się starałem, tym bardziej opłakiwałem Sammy, Kerry, Sarah i inne. Wyparłem je siłą, pozwalając, by tajemniczy tok przypadkowych myśli znów nade mną zapanował. Wydawało się, że stoję tam dziesięć minut. Na zegarze upłynęły dwie godziny.

A jednak przyprawiający o zawrót głowy wir niejasnych, pogmatwanych emocji został nagle przyćmiony przez to niepokojące, dręczące wrażenie, że zapomniałem o czymś...

Cholera.

Nie wyglądała na zadowoloną. Siedziała na brzegu łóżka ze skrzyżowanymi kolanami, dłonie trzymała na udach, oczy płonęły ogniem piekielnym. Obserwowała mnie niczym jastrząb, kiedy wchodziłem do klatki. Oddech Eriki był powolny i kontrolowany, lecz skronie zdradzały puls, który walił jak młot pneumatyczny. Wołałem nie pytać, jak długo już tu siedzi.

- Cześć. - Uśmiechnąłem się.

Nie odpowiedziała, patrzyła tylko.

- Przyniosłem ci kwiaty - oznajmiłem. - Pomyślałem, że ożywią trochę to miejsce.

Odpowiedzią były uniesione brwi i niespieszne skinienie głową; obserwowała mnie w milczeniu, kiedy podszedłem do zlewu, żeby rozpakować bukiet.

- Pomyślałem też, że może miałabyś ochotę wyjść, przespacerować się po ogrodzie czy coś w tym rodzaju. - Brak odpowiedzi. - Na dworze jest pięknie. Zauważyłem, że pasą się sarny. - Opłukałem i przyciąłem łodygi, po trzy naraz, na wysokości pięciu centymetrów. - Moglibyśmy później urządzić sobie grilla, gdybyś miała ochotę.

Gdy wreszcie otworzyła usta, jej głos był twardy, oskarżycielski i dobiegał do mojego lewego ucha z odległości nie większej niż pół metra:

- Znowu zostawiłeś mnie samą.

Obróciłem się na pięcie, starając się nie sprawiać wrażenia

przestraszonego. Podniosła z podłogi wazon stojący u moich stóp i przekładała go z ręki do ręki, sprawdzając jego ciężar. W jej oczach płonął niewypowiedziany zamiar.

- Tak. - Westchnąłem. - Czasem muszę zająć się czymś nudnym, to znaczy pracować, zrobić zakupy albo wywieźć śmieci. Gdybym zamknął się na cały dzień w domu, to wkrótce bylibyśmy głodni. Ale teraz tu jestem. - Sililem się na dobroduszny, uspokajający uśmiech i wyciągnąłem do niej rękę.

Parsknęła śmiechem przez zaciśnięte wargi i pokręciła ze znużeniem głową. Najwyraźniej nie przyjmowała moich wyjaśnień do wiadomości, a ja nie winiłem jej za to; mimo wszystko podała mi wazon.

- Dziękuję - powiedziałem z uśmiechem.

- Proszę bardzo - odwarknęła i wycofała się na łóżko.

Napełniłem wazon do połowy i włożyłem do niego chryzantemy, na przemian kolorami, układając je starannie według długości.

- No - oświadczyłem, podnosząc dumnie wazon, by mogła podziwiać moje dzieło. - Odrobina blasku słońca w czterech ścianach.

- Urocze - skomentowała.

Oczywiście nie mówiła szczerze. Nie patrzyła nawet na kwiaty. Przestało mnie to jednak martwić w chwili, w której się odwróciłem. Zdołałem powiedzieć tylko:

- Och, daj spokój... - kiedy uświadomiłem sobie dwie niepokojące rzeczy. Po pierwsze, Erica nie siedziała na łóżku, tak jak tego oczekiwałem, tylko stała w odległości niespełna metra z podniesionymi rękami. Po drugie, trzymała w nich mikrofalówkę, która wszak nie powinna znaleźć się na mojej głowie.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Plecy miałem wilgotne. Czoło po lewej stronie piekło tak, jakbym rył twarzą w pokrzywach, a czaszkę rozsadał przeszywający ból. Mój mózg niemal w całości wypełniał biały szum.

Powoli, lękliwie, uniosłem do połowy powieki. W moją głowę wdarło się ostre halogenowe światło, a to, co czułem, poszybowało z poziomu *staccato* na szczyt niezmiennego zawodzenia o wysokiej nucie. Potrzebowałem chwili, by uspokoić oddech, nim ponownie spróbowałem otworzyć oczy.

Kiedy wreszcie zdołałem wyostrzyć wzrok, moje spojrzenie skupiło się na romboidalnej siatce stalowej, odznaczającej się wyraźnie na tle nudnego szarego betonu. Patrzyłem na to przez jakąś chwilę, wodząc rozleniwionymi oczami po tym wzorze; po pewnym czasie mogłem zdobyć się na to, by obracać głową i podążać za jedną z niezliczonych, zdawało się, ścieżek w polu mojego widzenia. Tą, którą wybrałem, biegła zawile w stronę podłogi, aż w końcu moje rozpalone czoło dotknęło lepkiej mokrej gumy, lecz, rzecz ciekawa, nie mogłem się zorientować, dokąd owa ścieżka prowadzi. Zobaczyłem tuż przed sobą opakowanie aspiryny.

Zorientowałem się, że mam niejakie kłopoty; ciepła wilgotność, którą pod sobą wyczuwałem, sięgała od głowy do połowy pleców i rozlewała się po ramionach. Było mi wyraźnie słabo, trzeszczało też w głowie, z czego wnosiłem, że mam uszkodzone czoło, choć bałem się sprawdzić, do jakiego stopnia.

Jednak podniosłem ostrożnie rękę do głowy i przesunąłem opuszkami palców po ranie. Skóra była szorstka i lepka, guz miał wielkość piłki golfowej, ale wydawał się dość solidny. Nie jakaś miazga czy rana. Zobaczyłem, że palce mam raczej upstrzone niż oblane krwią. Przesunąłem dłońmi po włosach, szukając kolejnych kontuzji. Żadne miejsce nie było wrażliwsze na dotyk od innych.

Wydawało się, że nie odniosłem obrażeń poniżej szyi. Palce u dłoni i stóp poruszały się swobodnie; ręce i nogi zginały się i wykręcały na moje polecenie. Oddech dobywał się z płuc bez trudu, nie doświadczałem żadnego bólu w tułowi; czułem, jak moje dłonie poklepują i macają. Wsunąłem je w mokrą łatę za plecami, wyciągnąłem z powrotem i przybliżyłem do oczu.

Płyn był czysty i bezwonny, przypominał w dużej mierze wodę. Cokolwiek sobie zrobiłem, nie zagrażało to najwyraźniej życiu.

Pełen ulgi, zamknąłem oczy przed drażniąco jasnym światłem, skupiając się wyłącznie na głęboko czerwonym zachodzie słońca, który rozlewał się po wewnętrznej stronie moich powiek. Rozluźniłem ciało, zwiesiłem głowę, a ból osłabł i zamienił się w niski pomruk skoncentrowany w niemal namacalnej kulce gdzieś z tyłu mózgu. Wyłączyłem zakłócenia i znów powitałem powolny ciąg racjonalnej myśli, upragnionych obrazów i przypadkowych wspomnień. Chwytałem strzępki rozsądku, informacji i postrzegania przestrzennego, całej tej szybko narastającej wielowymiarowej łamigłówki, a na jej rozwiązaniu opierałem swój następny ruch. Poczułem przypływ niepokoju, uświadomiwszy sobie, że staram się zbyt intensywnie; byłem tak skupiony na znalezieniu wszystkich elementów, że nie dostrzegałem w pełni tych, które już miałem. Znów eksplodował ból, sięgając mackami dalekich zakątków mojej czaszki. Cofnąłem się, wziąłem głęboki oddech i wyparłem z umysłu pytania, by zrobić miejsce na odpowiedź.

I gdy to uczyniłem, wszystko znalazło się na swoim miejscu.

Przerażenie narastało we mnie tak szybko, że groziło gwałtownym wylewem z moich ust. Rzuciłem się na drzwi klatki, a one zareagowały na mój atak zaledwie grzechotem, ciskając mnie z powrotem na gumową matę. Wstałem i znów w nie uderzyłem, ale z tym samym skutkiem. Zadowolony, że funkcjonuję zgodnie z przewidywaniami, dałem sobie spokój, dopóki jeszcze wciąż miałem całe żebra. W końcu klatka to coś, co ma służyć jednemu celowi - przetrzymywaniu.

Zacząłem natomiast przechadzać się szybkim krokiem tam i z powrotem, próbując zignorować zamazany wzrok i zgrzytliwy ból głowy, a także skoncentrować się na znalezieniu drogi wyjścia. Wiedziałem oczywiście, że jej nie ma, a rezultat owej świadomości pojawił się niebawem pod postacią niezrozumiałego, wulgarnego bełkotu. Plan został szybko porzucony na rzecz prostej, ślepej paniki.

Nie mając pojęcia, jak długo leżałem nieprzytomny, nie byłem w stanie dociec, co się dzieje nad moją głową. Gdyby Erica została na miejscu i wezwała policję, to funkcjonariusze zjawiliby się tutaj i wywlekli mnie w ciągu dwudziestu minut. Gdyby udała się najpierw do domu i dopiero

wtedy wezwała funkcjonariuszy, sprawa mogłaby przeciągnąć się do dwóch godzin. Gdyby wzięła mój samochód i postanowiła zostawić mnie po prostu, to sądzę, że zorientowałbym się po jakichś sześciu godzinach. Sęk jednak w tym, że mogłem być nieprzytomny przez dwie minuty albo dwa dni i nadal nic bym nie wiedział. Jej rzeczy zniknęły, ale i tak były już trzymane w torbach. Chryzantemy, choć pogniecione, wciąż żyły - no ale leżały cały czas w kałuży wody.

Wziąłem pusty wazon i pomimo gwałtownej chęci, by walnąć nim bezlitośnie o ścianę klatki, napełniłem go wodą. Pozbierałem rozplaszczone kwiaty i włożyłem je starannie do ich pojemnika, który postawiłem na umywalce. Poczuję się trochę spokojniejszy.

Poradziwszy sobie z nastrojem, zająłem się bólem. Opakowanie aspiryny było prawie nienaruszone, połknąłem garść tabletek, popijając wodą. Położyłem się na łóżku Eriki, żeby wspomóc działanie leku; zakryłem twarz jej poduszką i zamknąłem oczy. W pewnym momencie straciłem świadomość.

\*

Odtwarzanie w myślach przybycia policji prowadziło donikąd. „Dzięki Bogu, jesteście tu” nie załatwiłoby sprawy, biorąc pod uwagę fakt, że byłem uwięziony w skonstruowanej przez siebie klatce, w piwnicy ukrytej pod garażem. I jeśli nie zamierzali przysłać tu jedynie dwóch nieuzbrojonych funkcjonariuszy z ulicy, to siłowe wydostanie się na zewnątrz nie wchodziło w grę. Wyobrażałem sobie, że udam nieprzytomność i zaryzykuję, wyskakując z karetki. Nie było to specjalnie wyrafinowane, ale zawsze lepsze niż „cholera, dorwaliście mnie”.

Gdzie się zresztą podziewali, do diabła? Mogłaby dobrnąć do domu na czworakach, a i tak zdążyliby już się tu znaleźć. Na dworze byłoby ciemno i zimno. Miałem nadzieję, że pozamykała okna.

Zastanawiałem się przez chwilę, czy nie podłączyć do prądu mikrofalówki; zegar zresetowałby się do północy, zgodnie z tym, co pokazywał, kiedy przyniosłem tu urządzenie, ale przynajmniej mógłbym śledzić upływ czasu. Sprzęt uległ jednak poważnemu uszkodzeniu, a tym ostatnim, czego potrzebowałem, był pożar.

Jezu, a jeśli Rachel próbowała się do mnie dodzwonić? Ile czasu by upłynęło, nim zaczęłaby się martwić? Komu by o tym powiedziała? Czy ktoś by się tu zjawił, szukając mnie? A jeśli tak, to czy by mnie znalazł?

A jeśli nie zaczęła się martwić? Jeśli czekała, aż to ja zadzwonię do niej? Jeśli uwierzyła, że się jej wystraszyłem i dlatego nie odpowiadam na telefony? Jeśli zareagowała niewłaściwie? Skąd miałbym wiedzieć? I co byłoby gorsze - Rachel, która sądziła, że ją porzuciłem, czy Rachel, która dowiedziałyby się o tym wszystkim?

A jeśli nikt nie miał pojęcia, że zaginałem? Czy Annie zauważyłaby to w ogóle? A gdyby zaczęły narastać niezapłacone rachunki i wyłączyliby światło? A gdybym się nie pojawił, żeby pomalować dom skautek? Czy skautki pod wodzą zastępowej zaczęłyby mnie szukać? Czy taki spoczywa na nich obowiązek? Nie wiem nawet, czym zajmują się pieprzone skautki.

Lodówka była pusta. Nic dziwnego, że ta kobieta się wkurzyła. Odczuwałem głód już od pewnego czasu, ale jego świadomość podsycala moją żarłoczność. Tak mi burczało w brzuchu, że mógłbym zbudzić umarłych. Pusty żołądek w połączeniu z bólem głowy, oszołomieniem i mdłościami tworzył niezłą mieszankę, a jeśli jeszcze dodać uwięzienie, to wszystko to było prawie nie do zniesienia. Zwinąłem się na łóżku w kłębek, oczekując suchych torsji. Po jakimś czasie zasnąłem.

Kamera irytowała mnie. Spoglądała zuchwale ze swej grzędy w odległości trzech metrów od mojego nosa. Wiedziałem, dokąd idzie kabel, wiedziałem też, że nikt nie siedzi na mojej sofie wpatrzony w telewizor. Nikt mnie nie obserwował. Nikt prócz kamery. Odwróciłem się do niej plecami, stanąłem nieruchomy jak skała. Przyszło mi do głowy, że muszę zważać na słowa. Nie chcę, by myśleli, że im się udało.

*Nie wiem, kiedy... byłem tak smutny. Nie wiem, co...*

- Nie, okay, wiem, ale nigdy nie powiedziałem, że potrafię śpiewać, prawda? Jeśli ci się nie podoba, to nie słuchaj. Mówię do siebie, prawda? Mówię to głośno? Boże, oby to był sen. Nie napiłem się herbaty od... wielu dni, kurwa. Zamknęłaś mnie tutaj, zostawiając mi tylko pustą szklanekę, i spodziewasz się, że ja... co właściwie? Spanikuję? Jak by ci się to podobało? Nawet nie słuchasz, co? Nie, chyba nie. Typowa kobieta. Tylko ja, ja, ja, ja, ja. Nie wiem nawet, o czym mówię. Zamknij się. Odpieprz się.

*Powiedziałaś mi, żebym się odpieprzyła?*

*Nie wiem, kiedy... byłem taki smutny... oo... oo... hooooo...*

- Och, do kurwy nędzy, człowieku, albo zaśpiewaj całość, albo zaśpiewaj coś innego, ale nie powtarzaj dwóch tych samych pieprzonych wersów na okrągło, na okrągło, na okrągło, na okrągło...

*Zachowaj dla mnie wszystkie swoje pocałunki...*

- Kurwa!

Zbliżałem się do krawędzi upadku, umysł błędził na manowcach, świadomość otoczenia kurczyła się bezustannie. Kiedy w końcu zapadłem w sen, stało się to w pół kroku; ledwie zdawałem sobie sprawę, że rąbnąłem o podłogę.

Obudziłem się i zobaczyłem obok siebie Rachel; kuciała, obejmując kolana i kołysząc się na piętach, po twarzy płynęły jej łzy. Słowa, które wypowiadała, były stłumione, niezrozumiałe. Odezwałem się do niej, ale nie słyszałem własnego głosu i nie wiedziałem, o co mi chodziło. Skłoniła głowę i zaczęła się osuwać; usiadłem, żeby ją przytrzymać, objąć jej głowę, ale była ciężka i bez życia, jak szmaciana lalka. Potrząsnąłem nią, wypowiadając ze strachem jej imię, ale było za późno. Odeszła. Serce wyskoczyło mi z piersi, próbowałem złapać oddech, tuląc ją do siebie, na moich kolanach rozlewała się kałuża krwi z nieobecnej rany. A potem dostrzegłem jakiś ruch na drugim końcu pokoju i spojrzałem w roziskrzone niebiesko-zielone oczy pełne szczęścia, zachwytu i głębokiej wszechogarniającej ulgi, i na chwilę mój ból złagodniał. Sapnąłem z wrażenia i zachichotałem jak dziecko. Dopóki sobie nie uświadomiłem, że to oczy Eriki.

Obudziłem się i usiadłem gwałtownie, z moich ust dobył się niemal krzyk. Łupało mi w głowie i ścisnęło w żołądku. Dowlokłem się do toalety w samą porę, by zwymiotować gwałtownie.

Połknąłem garść aspiryn, popiłem je niezliczonymi szklankami wody. Potem leżałem jak długi na plecach z zamkniętymi oczami, starając się odegnać ból, a ostatnie tchnienie Rachel powracało uporczywie pod moimi powiekami przez nieskończone żałosne godziny. A może były to minuty.

Kiedy ból stał się już znośny, oparłem się o ścianę klatki i siłą odegnałem te wszystkie obrazy z umysłu; patrzyłem na łóżko, toaletę i roztrzaskaną mikrofalówkę, i po prostu czekałem. Na co dokładnie - nie miałem pojęcia.

I nic mnie to nie obchodziło.

Głód ustąpił niebawem przed silniejszym pragnieniem - świeżego powietrza i światła dziennego, trawy, drzew i śpiewu ptaków. Prysznic, szczoteczki do zębów i czystego ubrania. Krzesła, okna i kojącego głosu.

Wraz z tą tęsknotą pojawił się żal nad sobą, a wraz z żalem świadomość powagi sytuacji. A wraz z tą świadomością pojawiło się zażenowanie i wstyd z powodu własnej głupoty. A zaraz potem pojawił się gniew.

Uderzył mnie niczym pocisk eksplodujący w mojej piersi i wbijający rozgrzane do białości drzazgi w kręgosłup, od góry do dołu. Dźwignąłem się na nogi, podniosłem gwałtownym ruchem mikrofalówkę z gumowej podłogi i cisnąłem nią wściekle o ścianę. Rozpadła się spektakularnie. Zgrzytliwa kakofonia metalu oznaczała, przynajmniej dla mnie, powrót entuzjazmu związanego z pragnieniem wydostania się z tej dziury. Przy akompaniamencie chrzęstu szkła i plastiku pod stopami podszedłem zdecydowanym krokiem do drzwi, po czym odpowiadając nieugięcie na bezduszne spojrzenie kamery, ujawniłem z całą mocą swój zamiar.

- Erico - powiedziałem. - Zabiję cię.

Kiedy się już obudziłem ze snu wywołanego bólem i zużyłem do końca zapas aspiryny, okazało się, że memu uporczywemu gniewowi towarzyszy zastraszająca jasność myśli. Biały szum zniknął, a wraz z nim podskórna panika; widziałem wszystko w ożywczej wypukłości i ostrych jak brzytwa kolorach, i po raz pierwszy byłem władny w pełni ocenić swoją sytuację.

Zostałem porzucony w stalowej klatce znajdującej się w betonowej piwnicy, pod warstwą ziemi o grubości czterech metrów. Klatka została zaprojektowana i skonstruowana tak, aby nie dało się jej sforsować bez sprzętu do cięcia metalu czy może koparki, ale ani jedno, ani drugie nie było dostępne.

Miałem zapewnione dostawy wody - w każdym razie do chwili, gdy ponad dopuszczalną miarę narosną nieuregulowane rachunki - ale nie jedzenia. Wiedziałem, że jeśli nie zostanę jakimś cudem odnaleziony, to doprowadzi to w nieunikniony sposób do mojego zgonu. Jednakże gdyby śmierć głodowa okazała się zbyt bolesna i długa, miałem wybór między zasłoną, z której można było upleść węzeł, a przewodem elektrycznym pod napięciem. Wymuszone odejście stanowiło zatem alternatywę dla niedogodnego



i pozbawionego godności szejnienia.

Pojawiła się jednak trzecia opcja i trudno mi powiedziec, czy sama mi się nasunęła, czy też odkryłem ją w jakiś sposób. Choć mnie to drażniło, im dłużej przyglądałem się drzwiom klatki, tym bardziej nabierałem przekonania, że nie ma przy nich kłódki. A im głębsza była akceptacja tego faktu, tym jaśniejsze stawało się dla mnie, że powinienem spróbować odsunąć rygiel.

Nie muszę nadmieniać, że drzwi nie były zamknięte.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Wstrzymałem oddech, kiedy kuciałem w ciemności nieruchomo jak kamień, nasłuchując najślabszego chociażby znaku życia poza kredensem. Stwierdziwszy, że nie dobiega stamtąd żaden odgłos, uchyliłem drewniane drzwi na głębokość palca i przygarbiłem się, by wyrzeć przez szparę. Nic. Cisza, mrok i szesnaście stopni Celsjusza.

Pchnąłem drzwi i wygramoliłem się do garażu. Furgonetka stała tak, jak ją zostawiłem: czysta, zamknięta, z pulsującą lampką alarmu. O ile mogłem się zorientować, wszystko inne też było na swoim miejscu - kosiarka, grill, komplet mebli ogrodowych, skrzynka z narzędziami, widły... o tak, widły. Lepsze to niż nic. Zabrałem je spod ściany; długie zwoje pajęczyny wydłużyły się, chwyciły moje palce i je oplotły.

Tak uzbrojony przystąpiłem do finalnego etapu ucieczki. Sięgnąłem nad głowę i pociągnąłem dźwignię ręcznego otwierania garażu. Wziąwszy głęboki oddech, podniosłem jednym ruchem drzwi, po czym czując przyływ adrenaliny i trzymając w pogotowiu widły, przygotowałem się na spotkanie z tym, co mogło się wyłonić z ciemności.

Czegokolwiek się spodziewałem, popełniłem błąd. Moje nienawykłe do światła i szeroko otwarte oczy zaatakował niczym nieograniczony blask słońca, oslepiając mnie boleśnie i pozbawiając równowagi. Zatoczyłem się na podjazd aż nadto świadomy, że wszelki atak za pomocą narzędzia ogrodowego podziąła na potencjalnego strzelca jak czerwona płachta na byka. Lecz ostaniając oczy drugą ręką i szykując się na grad kul, zapomniałem rzucić widły na ziemię. Jakimś jednak cudownym zrzędzeniem losu wciąż stałem na własnych nogach, gdy udało mi się spojrzeć przez palce i ocenić to, co roztaczało się przede mną.

Podjazd, z wyjątkiem jensena interceptora, świecił pustkami. Dom tkwił w miejscu nieruchomo, jak zawsze, okna na parterze były otwarte, drzwi wejściowe zamknięte, na dachu siedział spokojnie samotny gołąb. A za plecami nic, tylko drzewa, ich gałęzie kiwały się leniwie w łagodnym wietrze, kora szeleściła w rytm maleńkich pazurków wiewiórki. Byłem zupełnie sam.

Wydawało się, że samochód nie został przestawiony; kluczyki wciąż znajdowały się w stacyjce, szyba po stronie kierowcy była spuszczone, silnik zimny. Jeśli Erica się oddaliła, to pieszo, a jeśli nie, to przebywała tu sama. Zacząłem skłaniać się ku temu drugiemu i odczuwać niepokój. Zasadzka to zasadzka i nieważne, ile rąk macza w tym palce. A ona już raz mnie załatwiła.

Możliwości zainstalowania pułapek w domu, zakres blefu i podwójnego blefu były nieograniczone. Ponieważ uświadamiała sobie z pewnością, że będę się spodziewał jakiegoś numeru, zakładałem optymistycznie, że nie zwracałaby sobie tym głowy. Z drugiej strony, jeśli przewidywała tok mojego rozumowania i mój zamiar polegający na tym, że wejdę po prostu do domu, to mógłbym stać się bezwolną ofiarą wielkokalibrowej broni i zwoju sznurka.

Nim położyłem dłoń na klamce, pojawiła się kwestia trajektorii. Jeśli sporządziła prowizoryczną dźwignię, a drzwi były połączone ze spustem na drugim końcu holu, i jeśli Erica przewidywała, że ja to przewiduję, to czy broń była wymierzona na wprost, czy trochę w bok? A jeśli w bok, to w który? Lewy czy prawy?

Po dłuższym namyśle, na żenująco późnym etapie tej rozgrywki, doszedłem do wniosku, że w przypadku Eriki najprostszym wyjściem z sytuacji byłoby pozostawienie mnie w klatce, a jakkolwiek zasadzka stanowiła jedynie produkt mojej kontuzjowanej wyobraźni. Chyba że chciała, bym tak właśnie myślał.

- Pieprzyć to.

Nacisnąłem klamkę i pchnąłem lekko drzwi, by otworzyły się z wolna, ujawniając pograżony w ciszy pusty hol. Trzymając widły jak bagnet, wśliznąłem się do środka i zacząłem nasłuchiwać przy każdym uważnym kroku. Nic, tylko tykanie zegara w kuchni i głośne basowe bębnienie mojego pulsu.

Ruszyłem ostrożnie w stronę salonu, nie spuszczać z oka schodów w łaskotliwym oczekiwaniu na najdrobniejszy ruch. Nim dotarłem do drzwi, mogłem się zorientować, że w pokoju nikogo nie ma i że panuje tam nieskazitelny porządek. Moje książki wciąż stały na półkach, poduszki wciąż leżały na sofie; misa na owoce była pełna, dokładnie pośrodku stolika do kawy. Dobrze.

Kuchnia jednak wzbudziła moje podejrzenia. Choć nie dochodził stamtąd żaden dźwięk, włoski na karku podniosły mi się ostrzegawczo, a gdy zbliżyłem się do drzwi, poczułem chęć ucieczki. Stałem całkowicie nieruchomo, wstrzymując oddech i natężając słuch, aż zaczęło mi dzwonić w uszach. Patrzyłem na odbicia w oknach – chromowany toster, drzwiczki piecyka. Nic się nie poruszało. Odprężyłem się, wmawiając sobie, że niepotrzebnie ulegam paranoi. Wszedłem do kuchni i stwierdziłem, że byłem w błędzie.

- Nie spieszyłeś się - powiedziała. - Usiądź, nalałam ci herbaty.

Erica podniosła wzrok znad stołu, spowita w czekoladową bluzkę z głębokim dekoltem i zniewalająco miły uśmiech. Przed nią parująca herbata i posmarowana masłem grzanka, miniaturowe słoiczki z dżemem i syrop klonowy, stos typowo amerykańskich naleśników. Komórka, moja, jak się zorientowałem. I co najbardziej niepokojące, załadowany rewolwer, także mój. Trzydziestkaósemka.

Chęć, by nadzieć ją na widły ogrodowe, wzrastała wprost proporcjonalnie do świadomości, że jest to niemożliwe. Oboje, ja i ona, wiedzieliśmy, że nigdy nie zbliżę się na tyle, by móc uderzyć, niemniej jednak zacisnąłem palce na stylisku, znajdując niejaką pociechę w tym geście, który wyrażał mój niedwuznaczny zamiar.

Roześmiała się. Nie to charakterystyczne dla niej półwestchnienie, któremu towarzyszył smutek w oczach, lecz raczej szczebiotliwy chichot, jakim obdarza się tresowanego szczeniaka podającego z przejściem łapę.

- No chodź - przynagliła mnie. - Nie bądź śmieszny. - Wskazała głową krzesło po drugiej stronie stołu, smarując grzankę dżemem z czarnej porzeczeki. - Usiądź i zjedz śniadanie. Zwymiotuję, jeśli pochłonę to wszystko.

- Nie jestem zainteresowany śniadaniem - odparłem.

Było to oczywiste kłamstwo; burczenie w brzuchu niemal zagłuszyło moje słowa, gdy ciężka woń smażonych naleśników, która do tej chwili umykała mi jakoś, napłynęła do moich nozdrzy i sprawiła, że poczułem w ustach ślinę. Pomyślałem, że nie zaszkodziłoby wzmocnić się trochę, nim obedrę ją ze skóry, nawet jeśli nie miałem do tego zbyt serca; niemniej jednak z jakiegoś uporczywego powodu obstawałem przy swoim.

- Piękny dzień. - Uśmiechnęła się między jednym kęsem a drugim. -

Powinniśmy wyjść na dwór i coś zrobić. Może wybrać się do parku albo nad morze. Nie widziałam morza od lat. Jeździliśmy do Cart Gap, kiedy byłam małą dziewczynką. Ja, mama, tata i moja przyjaciółka Marie. Zawsze kończyło się to tym, że byłam niezadowolona, bo tata poświęcał jej więcej uwagi niż mnie. Zawsze ją pytał, czy chce loda, i dopiero kiedy mówiła, że tak, zwracał się do mnie z tą samą propozycją, a potem szedł z nią do budki, mówiąc, żebym została i dotrzymała towarzystwa mamie. Zabawne, nie przyszło mi do głowy aż do teraz, że było w tym coś podejrzanego. Zastanawiałam się, dlaczego przestała przychodzić i bawić się ze mną. – Roześmiała się po dziewczęcemu z pełnymi ustami. – Tak przy okazji, gdzie jest Cart Gap, u licha?

Zacząłem czuć się niezręcznie, stojąc zwarty i gotowy pośrodku kuchni, podczas gdy ona beztrwosko rozstrzuwała marzenia po całym stole.

– Uroczą historią – zauważyłem ze złością. – Ale jedynym miejscem, do którego dziś się udasz, jest twój pokój.

Wciąż się uśmiechała, kładąc na talerzu świeżą grzanekę i zanurzając nóż w dżemie, który rozsmarowała powolnym, starannym ruchem.

– Och, daj spokój – powiedziała. – Nie bądź takim cholernym zrzędą.

Że co?

– Zrzędą?

– Tak, zrzędą. Przyrządziłam ci naleśniki, a ty stoisz z kwaśną miną, celując we mnie tym narzędziem. Wiesz, nie wydaje mi się, by należało przekopywać laminowaną podłogę. I tak nic na niej nie wyhodujesz.

Moja odpowiedź nie wyświadczyła mi szczególnej przysługi.

– To pieprzony dąb! – warknąłem.

Co tak bardzo ją rozśmieszyło, że musiała odłożyć nóż.

– Chryste... – Zachichotała. – Naprawdę jesteś zły, co?

Tak, byłem zły. Wbiłem widły w podłogę, a gdy stylisko zaczęło chwiać się tam i z powrotem, ruszyłem w jej stronę.

– Zły?! – ryknąłem. – Jesteś nienormalna? Walnęłaś mnie w głowę mikrofalówką i zamknęłaś na tydzień w klatce, ty psychotyczna gówniario!

Jej nastrój zmienił się w mgnieniu oka; zerwała się na równe nogi z rewolwerem w dłoni i wycelowała mi między oczy, nim zdążyłem dopaść stołu.

Choć nie byłem pewien, czy starczy jej odwagi, by pociągnąć za spust, nie

zamierzałem ryzykować. W końcu starczyło jej odwagi na tyle, by rąbnąć mnie mikrofalówką, a ja zostałem już ponizony tak wyczerpująco, że zachowanie twarzy było w tej chwili realne jedynie w najbardziej dosłownym sensie. Dlatego zatrzymałem się w miejscu.

- Owszem, masz rację - warknęła. - Zasłużyłeś na to, kurwa, i co więcej, potrzebowałeś tego.

- Że co? - Podejrzywałem, że przyciśnięta do muru, wycofałaby się z tego pierwszego twierdzenia, ale to drugie? - Potrzebowałem? Co, dziury w głowie? Jasne, nigdy wcześniej nie miałem wstrząśnienia mózgu, ale nie miałem też nigdy świnki domowej i jestem całkowicie pewien, że nie potrze...

- Prosiłeś się o to od paru pieprzonych tygodni. Płątałeś się kurewsko nieprzytomny, nie wiedząc, jaki jest akurat dzień, i zachowując się ogólnie jak pieprzony bezużyteczny palant, a konkretnie lekceważąc obowiązki, to znaczy mnie. Jesteś popaprzany i nieznośny, a ja nie zamierzam siedzieć tutaj sama jak palec i umierać z głodu, kiedy ty włóczysz się gdzieś, robiąc nie wiadomo co nie wiadomo z kim, i nawet nie potrafisz sobie przypomnieć, że istnieję, ty głupi, samolubny, bezużyteczny draniu. I wiesz co? Nie siedziałeś tam na dole przez tydzień, tylko czterdzieści trzy godziny. Nie dałeś rady wytrzymać nawet dwóch dni, na litość boską. Masz pojęcie, jak długo ja tam siedziałam? Trzy pieprzone miesiące, ot co. Dociera do ciebie? Chcesz mnie spytać, jak kurewsko zła jestem? Nie, chyba nie. Proponuję, żebyś usiadł, kurwa, i to w tej chwili, i zjadł swoje pieprzone naleśniki.

Upewniony co do jej gotowości strzelenia mi w głowę i niezdolny do czegoś, co mógłbym uznać za trafną i adekwatną odpowiedź, a także, o dziwo, w niejakim stopniu podniecony, zrobiłem, jak kazała.

Po czterdziestu trzech godzinach - które bliższe są czterdziestu trzem dniom, gdy człowiek ma za jedyne go towarzysza niedoli uszkodzenie mózgu - naleśniki, syrop klonowy i gorąca słodka herbata urastają niemal do rangi religijnego doznania. Jednakże po dziesięciu minutach spędzonych pod uważnym i czujnym spojrzeniem Eriki miałem ochotę wyskoczyć ze skóry. Patrzyła na mnie bez zmrużenia powiek, wsparłszy brodę na splecionych palcach, podczas gdy w jej oczach tlił się mord przetykany histerią. Nie odzywała się, nie otworzyła ust nawet wtedy, gdy odsunąłem pusty talerz, i po raz pierwszy w życiu cisza przyprawiła mnie o niepokój. Niemal taki

sam jak moja następna myśl.

- Erico - zwróciłem się do niej. - Może się to wydać oczywistym pytaniem, ale dlaczego wciąż tu jesteś? Dlaczego nie wróciłaś po prostu... do domu?

Uśmiechnęła się nieznacznie, wlepiła spojrzenie w stół i zagryzła wargę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

- Prawie to zrobiłam - wyznała w końcu. - Ale ostatecznie nie dałam rady.

- Co to znaczy? Samochód stoi na podjeździe. W środku są kluczyki...

- Wiem, i wrzuciłam do niego swoje rzeczy i pojechałam prosto do domu, ale... - Skierowała wzrok na swoje dłonie, które bawiły się odruchowo rewolwerem na stole. - Chodzi o mojego ojczyma - mruknęła. - Pozwoliła mu się wprowadzić z powrotem. Zobaczyłam go przez okno frontowe, trzymał nogi na stole i czytał „Daily Mail”. Ten skurwiel przez trzy lata tłukł moją mamę, siostrę i mnie, nim się go w końcu pozbyliśmy, a ja znikam na trzy miesiące, i jeśli sądzisz, że godziny spędzone w tej piwnicy ciągną się jak dni, to uwierz mi, miesiące ciągną się jak dziesięciolecia, i kiedy wychodzę stamtąd po trzech miesiącach - wymówiła to z naciskiem - okazuje się, że wszystko jest po dawnemu, że ten pieprzony psychol mieszka w moim domu i kładzie łapy na mojej rodzinie, a ja nie jestem jeszcze gotowa sobie z tym poradzić. - Przesunęła rewolwer na bok i rozsiadła się z ciężkim westchnieniem. Po chwili milczenia spojrzała na mnie ze smutkiem w oczach. - Myślałam o tych wyświechtanych powiedzonkach w rodzaju „tam dom mój, gdzie serce moje” i temu podobnych bzdurach, ale cóż, moje życie nie jest już takie samo jak trzy miesiące temu, prawda? Nie jestem już tą samą osobą.

- Więc co, walnęłaś mnie w głowę, żeby dać mi lekcję, a potem poszłaś jak gdyby nigdy nic do swojego pokoju? Co ty, do diabła, planujesz? - I pomyślałem: po cholere jej o tym w ogóle mówię?

- Och, mam plan, jak najbardziej. - Skinęła głową. - Wybiorę się do domu, i to prędzej niż później, ale najpierw nauczysz mnie, jak zabić tego pieprzonego potwora i wykręcić się sianem, bo Bóg wie, że nie poszło mi ostatnim razem najlepiej. I powiem ci przy okazji, że dojdzie do kilku zmian, a jedna z nich oznacza, że mój pokój jest teraz u szczytu schodów, po prawej stronie. Zainstalujesz tam zamek, i to od wewnątrz, i nie będziesz tam wchodził, chyba że ci na to pozwolę. Przystaniesz mnie traktować jak zwierzę domowe i zaczniesz mi okazywać pieprzony szacunek. Kupisz świeże

mięso i odpowiednie warzywa i dasz mi je prosto do rąk, bo szczerze mówiąc, twoje umiejętności kulinarne są kurewsko powierzchowne. I przede wszystkim pozbędziesz się tej całej Rachel, bo pieprzy ci w głowie.

Poczułem, jak prężą mi się ramiona, a krtań wzbiera żółcią.

- Co wiesz o Rachel?

- Co wiem? Absolutnie nic. - Uśmiechnęła się złośliwie. - Prócz tego, że najwyraźniej nie zna cię w najmniejszym nawet stopniu i robi z ciebie mięczaka. Och... - Wyprostowała się i podsunęła mi moją komórkę. - Chciała też wybrać się dziś na plażę.

Chwyciłem telefon, ale mogłem patrzeć tylko tępo i bez zrozumienia na listę okrojonych wiadomości.

- Poinformowałaś ją, że dzisiaj wyjeżdżasz - ciągnęła. - Ale najwidoczniej ma cały tydzień wolny, a sądząc po zjadliwie czerwonym kolorze twojego rachunku za gaz, nie wybierasz się również do pracy, więc poprosiłaś ją, żeby wpadła jutro.

- Jeśli powiedziałas jej cokolwiek...

- To co? Zabijesz mnie?

Łatwo byłoby tak powiedzieć, ale po prawdzie nie miałem pojęcia, co zrobię. Brakowało mi słów.

- Wiesz, dlaczego wypuściłam cię dzisiaj rano? - spytała.

- Co?

- Wypuściłam cię, bo spojrzales na mnie zeszłej nocy i zobaczyłam to w twoich oczach, to samo spojrzenie jak za pierwszym razem, kiedy się obudziłam i ujrzałam cię z nożem w ręku. Myślałam, że zamierzasz mnie rozkroić i... nie wiem... wypieprzyć moją wątrobę czy coś w tym guście. Bez skrupułów. I stałeś tam zeszłej nocy, a ja szczerze wierzyłam, że wyciągniesz ręce z telewizora i rozszarpiesz mnie na kawałki gołymi rękami. I pomyślałam sobie: „Dobra, wrócił, kurwa. Będzie okay”. Ale się myliłam, prawda? Nie jest z tobą dobrze. Żeby cię wyprostować, trzeba czegoś więcej niż wstrząśnienia mózgu. - Pochyliła głowę i popatrzyła na mnie rozbawionymi oczami szczeniaka. - Nie martw się - dodała z uśmiechem. - Wyświadczę ci przysługę i pozbędę się jej.

To przeważyło. Potężna fala wściekłości uderzyła mnie niczym ciężarówka; zerwałem się z krzesła i rzuciłem rozpaczliwie w stronę broni. Prawa dłoń Eriki dosięgła jej pierwsza, lewa chwyciła upstrzony okruchami talerz



i walnęła mnie nim po kłykciach tak mocno, że rozpadł się na dwa kawałki. Wrzasnąłem, kiedy porcelana rozcięła mi skórę; straciłem równowagę i runąłem na stół, cofając jednocześnie palce. Bez wahania walnęła pięścią w przewróconą plastikową butelkę, tryskając mi prosto w oczy syropem. A potem, kiedy wilem się bezradnie na wypolerowanym dębowym blacie, zakryła mi usta dłonią i wpakowała głowę w masło.

- Cicho - syknęła nagle. - Samochód.

Puściła mnie i wyrzała przez okno. Chrząst żwiru był coraz głośniejszy.

- Nie widzę - poskarżyłem się.

- Och, na litość boską. - Wzięła mnie za skrwawioną rękę i ściągnęła ze stołu, ja zaś osunąłem się z jękiem na podłogę. - Przepraszam - wyszeptała.

Dźwignąłem się z trudem i wpadłem prosto na ścianę.

- Naprawdę nie widzę, ty stuknięta su...

- Posłuchaj, staram się... - Jej palce odszukały mój nadgarstek i wcisnęły mi w dłoń mokrą szmatkę. - Masz.

- Trzeba cię trzymać w klatce, kurwa - oznajmiłem, ocierając oczy z syropu.

A potem mój dzień pogrążył się w jeszcze bardziej ponurych barwach. Na podjeździe parkował niebieski ford. Miał elastyczną antenę biczową, a jego kołpaki przymocowane były białymi plastikowymi kablami.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Powiedz mi, że nie wezwałaś policji.

- Nie wezwałam policji.

- Gdzie schowałaś strzelbę?

- Na strychu. Co się dzieje? O co ci chodzi?

- Nie wiem. Na litość boską, pozbądź się tego.

- Boże. - Erica obracała się wokół własnej osi, szukając w kuchni jakiegoś miejsca, w którym mogłaby ukryć rewolwer, kiedy ja ruszyłem w stronę drzwi. - Gdzie?

- Gdziekolwiek, bylebyś się tego pozbyła. - Zwlekałem przez chwilę w holu, wycierając zaciekle oczy szmatką. - Pospiesz się!

- Okay, załatwione.

- Aha, wrobiłem cię w morderstwo, więc lepiej się schowaj.

- Ty...

Otworzyłem drzwi wejściowe, gdy John Fairey unosił pięść, którą w efekcie machnął kilka razy w powietrzu.

- Dzień dobry, inspektorze. - Uśmiechnąłem się. - Jakże się cieszę.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł, cofając się o krok i obrzucając mnie spojrzeniem od stóp do głów. - Jest pan, hm... - Zmarszczył czoło, zauważył kapiącą krew i szramę na głowie, syrop ściekający po twarzy. - Co się panu stało, na Boga?

- Wpadłem na drzwi.

Przyglądał mi się przez chwilę z nieskrywaną pogardą, potem wzruszył ramionami i zachichotał.

- Okay. - Najwyraźniej bawiła go ta sytuacja.

Pozwoliłem mu na to.

- Dzięki za troskę. Mogę w czymś pomóc czy zajrzał pan ot tak, żeby sprawdzić, jak się miewam?

- Wpadłem w gruncie rzeczy na pogawędkę - wyjaśnił z uśmiechem. - Mam nadzieję, że pora jest odpowiednia.

Z pewnością nie była, ale choć jego grymas wydawał się nieszkodliwy, ton głosu sugerował, że nie mam wyboru.

- Jest święto państwowe - przypomniałem mu. - Nie powinien pan siedzieć

w domu, dając ludziom spokój?

Roześmiał się.

- To samo powiedziałem, nim wyznaczyli mi dzisiaj służbę. - Odprężył się i oparł swobodnie o słupek ganku. - Tak szczerze, unikam roboty, będąc tutaj. Nie przyjechałem, żeby pana wałkować, chodzi tylko o pogawędkę. Wyjaśnić szczegóły, dać panu wizytówkę, podziękować za herbatę, tego rodzaju rzeczy. - Przyjął wygodną pozę, skrzyżował wielkie stopy klauna. - Z mlekiem, dwie łyżeczki cukru - powiedział, wskazując kciukiem brodatego mężczyznę w sfatygowanym garniturze, który opierał się niezgrabnie o samochód. - To samo dla konstabla.

- Zarozumialec - zauważyłem z przekąsem. - Niech się pan poopala przez minutę, a ja umyję sobie twarz.

Muszę przyznać, że Fairey i jego tajemniczy towarzysz nie ruszyli się z miejsca, kiedy bez powodzenia próbowałem ustalić, gdzie się schowała Erica. Żaden z nich nawet nie drgnął, nim pojawiłem się w czystej koszuli i z dwiema herbatami w rękę.

Fairey nie pałał najwyraźniej sympatią do podwładnego. Nie odezwał się, podając mu kubek, nie zamierzał też przedstawić nas sobie.

- Przejdźmy się - powiedział po prostu, odciągając mnie od wozu i prowadząc w stronę ogrodu. Po namyśle rzucił zwięźle pod adresem podwładnego: - Zostań przy samochodzie, Keith.

Konstabl zareagował nienawistnym grymasem, ale Fairey zdążył się już odwrócić.

- Gdzie się podziewa pańska dama serca? - spytałem. - Krąży po parku ze smyczą w dłoni? Pyta amatorów biegania, czy pana widzieli?

Fairey, niech Bóg go błogosławi, roześmiał się łaskawie.

- Sierżant Green ma wygórowane ambicje - odparł. - Przydzielili ją do jakiegoś pieprzonego wydziału. Myślę, że szkolą ją na psa policyjnego.

- Cieszę się - wyznałem z uśmiechem. - Pan też jest chyba zadowolony.

- Powiem panu, co mnie wkurza - oznajmił, kiwając głową w stronę samochodu. - Wysłali tego popaprańca, żeby za mną łąził. Nie pracował po cywilnemu przez pięć pieprzonych minut. Siedzi w tym wozie, wygląda przez okno, jakby załapał się na darmowy autobus. I uważają, że jest trochę... wie pan.

- Nie wiem...

- Tak czy owak, nie jestem zaskoczony, że przydzielili ją do tego śledztwa. Ja jestem biały i jestem mężczyzną. Ona jest w połowie Pakistanką i kobietą. Muszą pilnować parytetu, prawda? Nieważne, nie mam ochoty mówić o tej przemądrzałej suce. Sam nie chciałem tego śledztwa. I tak mam koszmarny grafik. Wie pan co? Pracowałem podczas wszystkich świąt przez cztery ostatnie lata. Dzisiaj są urodziny mojej żony, a gdzie jestem? Słyszę tylko: „Och, nigdy cię nie ma w domu, nigdy nie masz czasu dla dzieciaka, ani razu go nie przewiniąłeś, nie będzie wiedział, kim jest jego tata” i podobne bzdety. Jakby go to w ogóle obchodziło, kurwa. Rozwiędę się przed Bożym Narodzeniem. Człowiek zastanawia się siłą rzeczy, czy w ogóle warto się starać.

- No cóż - powiedziałem ze złośliwym uśmiechem. - Gdyby chciał się pan kiedykolwiek przed kimś wyzalić...

- Tak, będę o tym pamiętał. - Łyknął herbaty, rozlewając jej więcej na krawat, niż biorąc do ust. - Kurwa - wymamrotał. - O to też będzie mi suszyć głowę.

Im bardziej oddalaliśmy się od domu, tym większy odczuwałem niepokój. Podejmowane przez Faireya próby schlebiania mojej osobie załatywały wyraźnie serem - takim, jaki umieszcza się w łapce na myszy. Zerknąłem na konstabla Keitha; nie ruszył się z miejsca i bawił się komórką, kubek z herbatą, której nie tknął, postawił na dachu samochodu.

- No dobrze - odezwałem się w końcu. - Niech pan przestanie wygadywać te bzdury i powie mi, dlaczego właściwie się pan tu zjawił.

Wreszcie przegrał potyczkę ze sztucznym fałszywym uśmiechem i aby ukryć jego nagłe zniknięcie, popatrzył spod przymrużonych powiek na słońce.

- Ali Green nie jest głupia - oznajmił.

- Co ma pan na myśli? - wyjąkałem słabym głosem.

- To, że dostaliśmy wyniki badań laboratoryjnych dotyczących Marka Boona.

Jeśli o czymkolwiek zapomniałem, a byłem przekonany, że tak, to gwarantowało mi to poważne tarapaty. W mojej wrażliwej głowie kłębiło się tysiąc wymówek, ale usta sformułowały tylko jedną:

- Kogo?

- Niech pan nie wciska mi kitu. Wie pan, o kim mówię, więc skończmy

z tymi podchodami. Nie obrażajmy nawzajem swojej inteligencji. - Nie byłem do końca przekonany, czy mógłbym w ogóle obrazić jego inteligencję, ale nie wspomniałem o tym. - Jest gotowa potwierdzić oficjalnie, że w całym jego mieszkaniu znaleziono DNA Eriki Shaw. Także DNA Sarah Abbott. I odciski palców Eriki na nożu, którym go pocięto, do czego doszło być może - trudno im to ustalić - kiedy już nie żył, cokolwiek to sugeruje.

Wyszliśmy na nierówny grunt za trawnikiem, ja zaś, zgadzając się z tym, co mówił o podchodach, skierowałem się od niechcienia w stronę stodoły. Gdyby rozmowa znów przybrała niepokojący obrót, chwila obopólnej prywatności mogła okazać się bezcenna.

- Co to ma wspólnego ze mną? - spytałem przyjemnie pewnym głosem.

Wytrząsnął resztkę herbaty z kubka; najwyraźniej miałem do czynienia z chłopcem wychowywanym na liściastej, nalewanej przez sitko.

- Oficjalnie zamierza zgłosić to jutro - powiedział. - Ale najpierw zjawi się tutaj, żeby spytać o pański rozmiar butów.

- Z radością się z nią spotkam - zapewniłem go przekonany, że ślady butów to najmniejsze z moich zmartwień. - Jak już o tym wcześniej rozmawialiśmy, insynuacje to jedno, a dowody to drugie.

- Nie myli się pan. - Skinął głową. - I nie dysponuje żadnymi dowodami.

- Wiem. - Taką żywiłem nadzieję. - Nie ma też pojęcia, że pan tu jest, prawda?

- Jasne, że nie, do diabła.

- Więc dlaczego pan tu jest?

Fairey ruszył przed siebie swobodnym spacerkiem z ręką w kieszeni, prowadząc mnie obok stodoły w stronę lasu.

- Green to cierń w moim tyłku, tak jak w pańskim - powiedział. - Od samego początku drze ze mną koty i z radością zszarga moje dobre imię, jeśli będzie to oznaczać dla niej awans. Mściwa krowa. Nie znam nikogo, kto by po niej płakał, gdyby trafił ją szlag. Ja na pewno nie. Ale jeśli pańska wersja przejdzie, to na Boona spada wszystko, o co podejrzewała pana od pierwszej chwili. To facet skazany za gwałt i damski bokser, więc w powszechnym przekonaniu pasuje jak ulał. Istnieją dowody, że Erica przebywała w jego mieszkaniu przynajmniej raz od czasu swego zaginięcia, co w mniejszym lub większym stopniu podważa teorię, że to pan ją uprowadził, a jeśli tak, to ponieważ zniknęła jednocześnie z Sarah, jej

również pan nie uprowadził, prawda? I wciąż nie mogę udowodnić, że pogrzebał pan Kerry Fallow w kamieniołomie, więc sądzę, że i to może ująć panu na sucho.

- Farrow - mruknąłem.

- Tak. - Skinął głową. - Miał pan oczywiście rację. To nie jej ciało znaleźliśmy.

- Nie spekulowałem, zapewniam. - Nieźle.

- Nie, to trzeba panu przyznać. Odwalił pan dobrą robotę, zacierając za sobą ślady. - Uśmiechnął się. - Nie ma na dobrą sprawę dowodów, że jest pan być może najbardziej płodnym pogromcą kobiet, jaki kiedykolwiek grasował w granicach tych trzech hrabstw.

Poczułem, jak coś drga mi w gardle. Zwalczyłem pokusę, by zatopić kubek w czaszce Faireya, kiedy się pochylił, żeby podnieść coś z zaniedbanej trawy.

- Mógłbym powiedzieć, że w pewnym sensie jestem rozzarowany - wyznałem głosem napiętym i drżącym. - A moje życie mogło być takie ciekawe.

Wyprostował się, by obejrzeć znalezisko, coś, co wyglądało jak mała zwierzęca kość.

- Och, z pewnością będzie ciekawe. - Skinął głową i obdarzył mnie drwiącym uśmiezkiem, tym razem szczerym. Przyglądał mi się długą chwilę, obracając od niechcienia kość w palcach. - Niech pan posłucha... - Znowu się pochylił i podniósł drugą, tym razem większą kość. Zawiesił sobie kubek na małym palcu, by tym łatwiej manipulować obydwoma kawałkami, jak dziecko, które próbuje połączyć ze sobą dwa elementy. - Chcę przeprosić za to, co wydarzyło się ostatnim razem między nami. Wie pan, jak zagrać mi na nerwach, ale to mnie nie usprawiedliwia, więc... dzięki, że nigdzie pan tego nie zgłosił.

- No cóż, o tym akurat zapomniałem - odparłem z westchnieniem.

- Nie, nie, poważnie, doceniam to. - Pokazał obie kości, które udało mu się w końcu połączyć w coś na kształt stawu. - Jak pan myśli, co to było?

- Królik - powiedziałem, nie mając ochoty na dokładniejsze oględziny. - Poluje tu dużo łasic.

Kiwał przez chwilę głową w zamyśleniu, podziwiając swe rekonstrukcyjne dzieło.

- Raczej gronostaj - mruknął. Wreszcie westchnął ciężko i rzucił szczątki

z powrotem w trawę. - Chcę zakopać topór wojenny - oznajmił, a na jego twarzy pojawił się znajomy cień. - Innymi słowy, chcę, by nasze stosunki miały przyjacielski charakter, bo Bóg jeden wie, że od tej chwili będziemy spędzać ze sobą mnóstwo czasu.

Dłoń zaciśnięta na kubku.

- Niech zgadnę? Wspólne wakacje w przyczepie kempingowej?

- Zamknij się i posłuchaj. Posłuchaj uważnie. Wiem, że wiesz, gdzie jest Erica, i wiem, że złamałeś kark Boonowi, i jeśli mam być szczery, ten facet był wrednym gnojem, i gówno mnie obchodzi, czy żyje, czy nie, zresztą to problem Ali Green, więc pies ją trącał. Ale Kerry Farrow to inna sprawa, bo stanowi w dużym stopniu mój problem, i to taki, który zamierzam rozwiązać, nawet jeśli to ostatnia pieprzona rzecz, jaką zrobię. I wiem, że ty ją załatwiłeś, ty skurwysynie, i diabli wiedzą, ile innych, i nawet się nie domyślasz, że wystarczy twój jeden nieskończenie minimalny błąd, żeby cię zamknąć na resztę twojego pieprzonego biologicznego życia, ale wierz mi, kiedy ten błąd popełnisz, będę tutaj, tak jak teraz, tak blisko, bo od tej chwili przywrę do ciebie jak ten miód do twojej pieprzonej twarzy. To mnie będziesz widział, zasypiając co noc, i mnie będziesz widział, budząc się rano. Zamierzam siedzieć ci na tyłku jak striptizer na wieczorze panieńskim, dopóki nie wylądujesz w najcięższym więzieniu w Anglii albo nie umrzesz ze starości i biedy. Dotarło do ciebie?

Powiedziałem mu, że chyba rozumiem, o co mu chodzi.

- Wiem, że nie masz o mnie najlepszego zdania - oznajmił domyślnie. - I bardzo dobrze. Chcę, żebyś mnie nie doceniał. Wydaje ci się, że możesz wykręcać się bez końca, ale wierz mi, lada dzień twoje szczęście opuści cię, i to na całego.

- Dzięki za odwiedzinę - powiedziałem.

Patrzył na mnie, jakby spodziewając się dowcipnej puenty. Nie doczekawszy się, parsknął i oznajmił:

- Zabieram się stąd. Niewiele czasu ci pozostało.

- Nawzajem.

Skinął głową. Skierował swój uśmiech ku ziemi. Wziął głęboki oddech i uwolnił głos od agresji.

- Życzę jutro szczęścia - powiedział, zsuwając kubek z małego palca i podając mi rękę. - Do zobaczenia wkrótce.

Ująłem jego dłoń, nie zwracając uwagi na to, że chce mi zmiażdżyć palce.

- Cieszę się, że już odchodzisz - odparłem. - Myślałem, że będę musiał pogrzebać cię żywcem.

Roześmiał się, był to niemal diabelski chichot.

- Więc może jednak zostanę - powiedział. - Z chęcią zobaczę, jak próbujesz to zrobić.

- Innym razem. - Uśmiechnąłem się. - Korzystajmy jeszcze przez kilka dni ze szczęścia.

- Wiesz co, nie potrzebuję go, bo prawo jest po mojej stronie.

- Może i tak - przyznałem. - Ale tu prawa nie ma. Jesteśmy tylko ty, ja i króliki, a one też cię nie lubią, więc jeśli jestem takim potworem, jak twierdzisz, to będziesz naprawdę potrzebował szczęścia, żeby wrócić do swojego samochodu. Co ty na to?

Miałem tylko nadzieję, że wyraz mojej twarzy jest równie obojętny jak jego.

- Nic. - Wzruszył ramionami. - Nie w twoim stylu. Noszę spodnie, nie sukienkę.

Przyznaję, że zabołało.

- Cieszę się, że ucieliśmy sobie tę pogawędkę - podsumowałem. - Mylisz się całkowicie, ale podziwiam twoją wytrwałość, więc życzę ci wszystkiego najlepszego.

Lecz jednego z nas szczęście miało opuścić znacznie szybciej, niż się tego spodziewał, bo gdy zawróciliśmy w stronę domu, źródło dręczącego mnie niepokoju ujawniło się aż nadto wyraziście.

Zapomniałem pogrzebać Samanthę.

Zapewnienia o własnej niewinności z samej swej natury opierają się na elemencie, który klasyfikuje się jako „uzasadniona wątpliwość”. Gdy nie ma o niej mowy, zwyczajowe powoływanie się na okoliczności łagodzące - byłem pijany; nie zauważyłem znaku; powiedziała mi, że ma osiemnaście lat - rzadko rozgrzeszają sprawcę przyłapanego na najdrobniejszym nawet wykroczeniu. Zatem w sposób nieunikniony nadchodzi chwila w życiu każdego człowieka, gdy nie pozostaje mu nic innego, jak tylko uznać własną winę.

Sammy straciła wszelki powab. Schowałem ją w stodole osiem dni wcześniej, zamierzając powrócić do ponurego zadania i pozbyć się jej, kiedy



będę na wpół oślepiony i zamroczony alkoholem. Ani pogoda, ani dzika zwierzyna nie obeszły się z nią łaskawie; lisy, które zmówiły się najwidoczniej, by zaciągnąć ją do lasu, zrezygnowały w połowie drogi i oskubały ją od palców stóp w górę do tego stopnia, że długie kości nóg leżały w czarnej plamie na trawie kilkadziesiąt centymetrów od reszty ciała. Dzięki wronom włosy były plackowate i splątane, w oczodołach brakowało źrenic. Poczerniała skóra przesunęła się i rozerwała, gdy tkanka zaczęła ześlizgiwać się ze szkieletu. Wisiała postrzępiona na wykrzywionej miednicy, okrywając śliskie, gnijące mięso.

Krążyła wokół niej mgiełka much, bratając się z armią chrząszczy, które wpełzały do środka, by ucztować i wylegać się; w otaczającej ją trawie wiły się setkami tłusto-lśniące czerwie. Samy nie wyglądała ani nie pachniała zachwycająco.

Fairey odwrócił się do mnie, jego twarz zdradzała pełne urazy niedowierzanie; zęby zaciśnięte, nozdrza rozdymane i świszczące, oczy zmrużone w oskarżycielskiej niepewności. Powoli, w milczeniu, pokręcił głową, nie mogąc najwidoczniej znaleźć odpowiednich słów.

Człowiek musi być silny i mądry, by przyznać się do własnych błędów, wyznać grzechy i przyjąć do wiadomości, że gra jest skończona. Zmierzyć się z konsekwencjami godnie i pokornie. Trzymać głowę wysoko i zaakceptować krytykę.

- To nie to, co myślisz - zapewniłem niewinnym tonem.

Fairey otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale rozległ się tylko niewyraźny gulgot, gdy bez ostrzeżenia chlusnął na swoje buty strumieniem gęstych pomarańczowych wymiocin. Wytrzeszczył oczy, klatka piersiowa poruszyła się gwałtownie; zgiął się wpół, przygniatając trawę resztkami śniadania. Zatoczył się do tyłu, z jego warg zwieszała się rozkołyszana kleista nitka żółci. Zaczął szukać komórki.

Zaczekałem dla własnej wygody, aż wyciągnie ją z kieszeni, i dopiero wtedy podszedłem do niego i wpakowałem mu łokieć w staw zawiasowy szczęki. Runął z głuchym jękiem, ale wciąż ścisnął mocno telefon; przydeptałem mu krtań i wykręciłem palce, ale uparcie trzymał komórkę.

- Zleż ze mnie - wycharczał, wijąc się pod moją stopą.

- Więc oddaj mi telefon - odparłem.

- Odpieprz się i zleż ze mnie.

- Oddaj telefon, a to zrobię.

Zacisnął zęby, wierzgnął nogami, zacisnął lepką dłoń w pięść, drapiąc zakrzywionymi palcami drugiej ręki moją nogę.

- Nie dostaniesz go, kurwa - warknął.

Nie mając dobrego oparcia, które pozwoliłoby mi skutecznie zmiażdżyć tchawicę, uniosłem nogę, uwolniłem ją od palców Faireya i wpakowałem mu stopę w środek twarzy. Nos pękł jak orzech włoski, a górna warga rozerwała się, zalewając zęby krwią. Gdy nie wypuścił z dłoni telefonu, kopnąłem go znowu, wyłamując przednie zęby. Szarpał się i bulgotał, ale nie zamierzał rozprostować palców. Trzeci kopniak strzaskał mu kość policzkową, a czwarty pokierusował szczękę. I gotowe, komórka wysunęła się wreszcie z dłoni Faireya.

Jego zniekształconą twarz zalewała krew; wykaszał ją na trawę wraz z zębami i kawałkiem wargi.

- Hurwa - wycharczał z zamkniętymi oczami i koszmarnym grymasem. - Pfierdol się, skhuwysynie.

Szybki kopniak w skroń uciszył go na dobre.

Świadomy, że trzeba opanować sytuację w jakiś sposób, który nie przyszedł mi jeszcze do głowy, w poczuciu obrzydzenia wywołanego myślą, że dałem się przyłapać bezbronny, wyszedłem zza stodoły i ruszyłem w stronę podjazdu, decydując się na energiczny krok zamiast sprintu, który mógłby wzbudzić podejrzenia. Konstabl Keith wciąż czekał posłusznie przy samochodzie, stukając w ekran dotykowy. Zakładałem, że jeśli Fairey zostanie tam, gdzie jest, spokojne tempo mojego marszu i umiarkowanie zaaferowana mina nie powinny wzbudzić w policjancie niepokoju.

Jego pierwsze spojrzenie w moim kierunku było przelotne i odruchowe, ja zaś odpowiedziałem mu pełnym znużenia, zdawkowym uśmiechem. Drugie jednak, ułamek sekundy później, przyprawiło mnie o skurcz serca. Towarzyszył mu gwałtowny ruch głowy i pełne zdumienia przerażenie, które zaczęło mi się jawić jako symbol tego poranka.

A potem Erica, która nie tyle się chowała, ile gapiła przez okno kuchenne z podniesioną do czoła dłonią, zasłaniając oczy przed blaskiem słońca. Byłem pewien, że nie chcę zobaczyć tego, na co patrzyli, ale mimo wszystko zerknąłem w marszu przez ramię. No tak, oczywiście, Fairey dźwignął się na kolana, trzymając się jedną ręką narożnika stodoły, drugą machając słabo

nad zakrwawioną, zmniejszoną głową. Szybko stracił równowagę i runął twarzą w chwasty.

Nie był to idealny scenariusz. Obaj, Keith i ja, wiedzieliśmy, że nie zdołam pokonać biegiem stumetrowego dystansu szybciej, niż on zdoła wystukać numer, ale niech mnie diabli, jeśli nie zamierzałem spróbować. Rzuciłem się pędem do przodu, podczas gdy on uderzał nerwowo w ekran, starając się wyjść z aplikacji, w której utknął. Niestety, co mnie bardzo irytowało, nie upuścił telefonu. Nie schylił się, by go podnieść i nie roztrzaskał sobie głowy o karoserię fordą. Po prostu przesunął bezcelowo palcem przez ułamek sekundy, nim oderwał ode mnie wzrok i skupił się na tym, co robi.

Na szczęście Erica oprzytomniała w tej właśnie chwili. Nawet biegnąc, z odległości sześćdziesięciu metrów, mogłem dostrzec na jej twarzy świadomość sytuacji, gdy zaczęła wodzić wzrokiem między mną a konstablami. Otworzyła usta, wytrzeszczyła oczy i wymówiła bezgłośnie „cholera”, po czym rzuciła się do drzwi. A potem, kiedy wypadła na złamanie karku z domu, odpowiedziała bardzo precyzyjnie na pytanie, które wciąż tkwiło w moim umyśle - pytanie dotyczące ukrycia broni.

- Stój! - wrzasnęła, podciągając koszulę i wyciągając trzydziestkęósemkę zza paska dżinsów na plecach.

Policjant obrócił się przerażony, gdy zmierzała w jego stronę, odciągając kurek i mierząc mu prosto w twarz.

- Jezu! - krzyknął i przywarł plecami do samochodu, wyrzucając przed siebie ręce gwałtownym ruchem, jakby chciał powstrzymać kule. - Nie strzelaj! Zastanów się nad tym!

Stałem już u jej boku, łapiąc oddech i wyciągając dłoń po rewolwer.

- Erico...

Ujęła kolbę jeszcze pewniej i obrzuciła mnie wściekłym spojrzeniem.

- Co się dzieje, kurwa? - warknęła.

- Drobnny problem. - Spojrzałem za siebie, tam gdzie Fairey przewalał się bezradnie na trawie, nie bardzo wiedząc, podobnie jak ja, dokąd ma się czołgać. - Pozostało trochę, hm...

- Możemy to rozwiązać - wyjąkał Keith. - Cokolwiek się dzieje...

- Zamknij się. - Erica była niewzruszona jak głaz, w głosie nie wczuwało się drżenia. - Co robimy?

- Nic nie robimy. - Moja ręka ponowiła prośbę o przejęcie rewolweru. - Ty

dasz mi broń i przyniesiesz kluczyki do furgonetki, a potem wejdiesz do domu i zostaniesz tam, dopóki nie uporam się z tym bałaganem.

Zastanawiała się przez chwilę, zagryzając wargę i patrząc przeciągle i twardo na policjanta.

- Dobra - oznajmiła. Przestała celować i wręczyła mi broń, a następnie podeszła do drzwi i sięgnęła do haczyka na ścianie za progiem. - Wejść do środka i zachowam się jak porządna gospodyni. Posprzątam ze stołu, pozmywam naczynia, wyciągnę z podłogi widły... - Rzuciła mi komplet kluczyków; jeszcze jedna rzecz, której chowaniem nie zwracała sobie najwidoczniej głowy.

- Na cokolwiek masz ochotę - powiedziałem.

- Zawołaj mnie, jeśli będziesz potrzebował pomocy.

- Jasne.

Skinęła Keithowi głową z szacunkiem, odwróciła się, weszła do domu i zamknęła za sobą drzwi.

Jej posłuszeństwo sprawiło mi ulgę. Choć uważała się za osobę twardą i choć nie przychodził mi jeszcze do głowy żaden plan, nie chciałem, żeby patrzyła na to, co ma się stać.

Z powodu uporczywego bólu głowy i ogólnie mdłości posprzątanie zabrało mi dwie godziny. Wymagało sześciu worków na śmieci, wyobraźni pakunkowej i sporego wysiłku przy przerzucaniu ziemi, ale przed jedenastą byłem załadowany i gotowy do wyjazdu.

Poszedłem prosto do łazienki, żeby zdjąć z siebie przesiąknięte krwią ubranie i wyszorować twarz i dłonie. W sypialni odkryłem garderobę pełną spódnic i sukienek, obszytych koronkami bluzek i wąskich dżinsów. Erica przeniosła mnie do gościnnej sypialni.

Znalazłem Ericę na dole, siedziała na sofie, oglądając program o remoncie domu. Podciągnęła stopy, żeby zrobić więcej miejsca, a ja usiadłem obok niej z ciężkim westchnieniem.

- Na początek możesz doprowadzić moją sypialnię do stanu, w jakim ją zastałaś - powiedziałem.

Naprężyła się nieznacznie; wyczułem, jak przyspiesza jej puls, a oddech tężeje, ale opanowała się po chwili, uniosła brodę i popatrzyła na mnie.

- Rozumiem - odparła. - Uporałeś się ze wszystkim?

Skinąłem głową.

- Ze wszystkim, co jest tu możliwe.  
- Udało mi się wyciągnąć widły.  
- Tak, dzięki, znalazłem je.  
- Kuchnia wygląda nieskazitelnie, z wyjątkiem podłogi. Zniszczyłeś dwie deski.

- Przepraszam - powiedziałem, choć nie bardzo wiedząc, dlaczego.  
W końcu to była moja podłoga. - Mam kilka zapasowych.

- Jeśli mi powiesz, gdzie są, spróbuję je zamontować.

- Trzeba je przyciąć. Zrobię to jutro.

Uniosła brew i uśmiechnęła się pod nosem.

- No cóż, to ty jesteś mężczyzną - mruknęła.

- Nie to miałem na myśli. I dziękuję za posprzątanie kuchni.

- Odkurzyłam także.

- Zauważyłem - skłamałem. - Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Obejrzelismy resztę programu w milczeniu, Erica z wyrazem twarzy świadczącym o fascynacji i zachwycie, ja z mapą dróg krajowych kłębiącą się w mojej głowie.

- Myślę, że też powinniśmy tak tutaj zrobić - oznajmiła bezwiednie, kiedy pokazały się napisy końcowe.

- Co zrobić? Nie słuchałem uważnie, co mówili.

- Żaluzje - wyjaśniła. - W oknach, zamiast zasłon. Herbaty?

- Doskonały pomysł.

- Co, herbata czy żalu...

- Zastanowię się, a ty idź do siebie i włóż coś letniego.

- Letniego?

- Lekkiego i przewiewnego.

Zmarszczone czoło, zmrużone oczy.

- Okay, rozumiem, ale po co mam wkładać coś takiego do herbaty?

- Ponieważ kiedy ją wypijemy, wybierzemy się na przejażdżkę za miasto.

# ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Nie po raz pierwszy zwały mi się na głowę poważne problemy.

Na początku plan wydawał się bezbłędny, choć zaprawiony nieco paranoją. Podejmując wysiłek, który miał na celu zdystansowanie się od losu detektywów Faireya i Keitha, a także policyjnego forda w niebieskim kolorze, postanowiłem pozbyć się ich na odludnej prywatnej posesji, która leżała w rejonie podległym sąsiedniej komendzie policji. Gdyby spalili się odpowiednio dokładnie, gdyby właściciel posesji nie spieszył się z odkryciem wraku, i co najważniejsze, gdyby słuszne było moje przekonanie, że Fairey odwiedził mnie nieoficjalnie, to upłynęłyby tygodnie, nim wydział śledczy dowiedziałby się, w jaki sposób dwaj funkcjonariusze zostali załatwieni. Robota wykonana.

Do tej pory szło mi względnie dobrze. Zrobiłem w miarę proste zadanie polegające na unieszkodliwieniu telefonów obu detektywów; w konsekwencji ostatni możliwy do ustalenia sygnał pochodził z parkingu rekreacyjnego dwadzieścia cztery kilometry dalej, w kierunku przeciwnym, niedaleko lokalnej komendy policji, a potem podróż przebiegła bez jakichkolwiek incydentów. Pozostała do zrobienia jedna prosta rzecz, nim wróciłbym do domu i zapomniał o całym tym śmiesznym koszarze.

Sęk jednak w tym, że nie chciałem tego zrobić. Nie chciałem nawet patrzeć. Uniosłem wcześniej klapę bagażnika w fordzie na szerokość zaledwie dłoni i od razu ogarnęła mnie fala mdłości i paniki; to pierwsze, dzięki Bogu, nie zdołało się urzeczywistnić, ale drugie zamieniło mnie w słup soli. I teraz mój umysł, niczym w bagnie, pogrążył się w irracjonalnym pragnieniu unieważnienia tego, co uczyniłem; w pragnieniu, by cofnąć się w czasie, przewidując skutki, i jedynie porozmawiać z Faireyem na przeklętym progu mego domu.

Erica natomiast stanowiła uosobienie spokoju. Stała obok otwartych drzwi furgonetki ze skrzyżowanymi rękami, bębniąc palcami w rytm covera Rolling Stonesów w radiu i spoglądając obojętnie w ziemię u swych stóp. Odgrywała swoją rolę z niezrównaną skutecznością; pojechała na stację BP przy obwodnicy i napełniła zarówno bak transita, jak i kilka kanistrów, zanim ruszyła za mną na to zadupie. Trzymała się bocznego dróg, unikając

wścibskich oczu i fotoradarów. Nie przejechała dwukrotnie obok tego samego domu ani nie zatrzymała się, by poprosić o wskazówki, i zjawiła się na miejscu tuż po mnie. Jej nawigacja i punktualność były zatem wzorowe. I na tym właśnie polegał problem.

Liczyłem na to, że będę miał przynajmniej dziesięć minut, żeby zebrać myśli, poskładać wszystko do kupy i zamaskować jakiś drobny szczegół, który pominąłem, instruując ją wcześniej. A teraz, kiedy mój plan legł w gruzach, było tylko kwestią czasu, nim dostrzegłaby moją bierność i zadała według wszelkiego prawdopodobieństwa dwa pytania, na które nie byłem szczególnie przygotowany: „Dlaczego na mnie patrzysz?” i „Ile czasu zajmuje podpalenie samochodu?”. Już raz zmyła mi głowę za chwilę nieuwagi; dzięki Bogu, że znajdowała się po drugiej stronie wozu i nie mogła widzieć, co robię, bo gdyby odkryła, o czym myślałem w tej chwili, to trudno byłoby przewidzieć jej reakcję.

Oczywiście, jak mogłem się spodziewać, stojąc tak i gapiąc się na nią, wyprostowała się i zerknęła przez ramię na drogę, a potem popatrzyła na mnie pytająco i powiedziała bezgłośnie: „Pospiesz się”.

Nie pozostawiła mi wyboru. Gdy pociągnąłem za klapę bagażnika, uniosła się nad moją głową i odsłoniła źródło mojego niepokoju. Dwóch cieszących się jakimś tam szacunkiem stróżów prawa, zakrwawionych i pokiereszowanych, związanych i zakneblowanych za pomocą sznurka i szmat, lecz, niestety, wciąż jak najbardziej żywych.

Moje racjonalne rozumowanie miało coś wspólnego z misternością medycyny sądowej w przypadku najgorszego ekshumacyjnego scenariusza: ślady brzeszczotu, rozkład plam krwi, próbki gleby – nie pamiętam dokładnie, ale byłem pewien, że wcześniej przemawiało to wszystko do mnie.

Oczywiście, było to też wierutnym kłamstwem. Moja kłopotliwa sytuacja nie miała nic wspólnego z nauką; jej siłą napędową była dwudziestoletnia kelnerka o elżbietańskich lokach i niewyparzonej gębie. Czy to ze względu na jej spokój sumienia, czy też, kierując się bardziej egoistycznymi pobudkami, nie chciałem wzbudzać w niej obrzydzenia, tak czy inaczej, starałem się chronić ją przed paskudną prawdą. Nie żywiła złudzeń, wiem, ale dźwięk strzałów i piły taśmowej tworzy zbyt wyrazisty obraz, i choć w jej umyśle wciąż tkwiły białe plamy, panowała nad sobą. Tak więc

z zadowoleniem pozwoliłem, by te dwie spokojne godziny upłynęły pod znakiem „przemilczane”. Powiedziałem jej, że jedziemy tu zniszczyć samochód, nic więcej, i uważałem to za nieszkodliwą półprawdę. Niestety, miało to również nieprzyjemny smak stuprocentowego kłamstwa.

Wziąłem się w garść. Nie było innego wyjścia, więc zatrzasnąłem umysł przed stłumionymi krzykami, widokiem podrygujących rąk i nóg oraz wytrzeszczonych oczu. Przyglądałem się z uwagą spodniej stronie tylnej półki, elementom grzewczym w szybie, ruchomemu zarysowi własnej dłoni, kiedy wylewałem do bagażnika zawartość dwóch kanistrów z benzyną. Błagałem samego siebie, by zrobić to, co słuszne, by przynajmniej pozbawić tych biednych drani przytomności, ale czułem na sobie wzrok Eriki, którą dzielił tylko krok od nieprzyjemnego odkrycia; jedyne, co mogłem zrobić, zatraskując kłapę, to wymamrotać nieprzekonujące przeprosiny.

Resztę paliwa wylałem na siedzenia i dywaniki, a puste kanistry umieściłem z tyłu furgonetki. Wziąłem zapałki, które podała mi Erica, i wyjąłem jedną, gotów skrzesać płomień.

- Cofnij się - powiedziałem, zmagając się z niespodziewanym zimnym potem i własnym głosem, który groził załamaniem. A potem sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót.

Zapałka nie chciała się zapalić, każde kolejne potarcie zdzierało główkę coraz bardziej, aż w końcu został tylko brudny wykrzywiony patyczek. Odrzuciłem go i wyjąłem drugą zapałkę, która złamała się na pół przy piątej próbie. Jakby ktoś próbował mnie przestrzec.

Wziąłem głęboki oddech, zapanowałem nad palcami i przy trzeciej zapałce udało mi się wreszcie. Zerknąłem na Ericę, by się upewnić, że stoi w bezpiecznej odległości, i znów spojrzałem na dłonie, by stwierdzić, że płomień zgasł na wietrze.

Łomotało mi w głowie, zęby miałem zaciśnięte, ręce drżące i śliskie od potu. Podwyższone ciśnienie krwi powodowało, że palce stały się sztywne i bezużyteczne. Zmagałem się gniewnie z pudełkiem, aż wysunęło mi się z dłoni, a zawartość rozsypała się na ziemi. Z trudem powstrzymałem krzyk wściekłości.

Nie wiem, dlaczego pozwoliłem Ericie podnieść zapałki. Może sprawiło to coś, co dosłyszałem w jej głosie, kiedy zachichotała, mówiąc:

- Chodź tutaj.



Czy też spowodował to przyjazny gest jej ręki, którą położyła mi na plecach, schylając się, by pozierać zapalniczki. W każdym razie jakby ktoś wyjął wtyczkę. Panika ustąpiła natychmiast; uwolniła od myśli, uspokoiła nerwy i pozwoliła obserwować Ericę z ostrą jak brzytwa wyrazistością, gdy przysuwała zapalniczkę do brzegu pudełka.

- Widzę, że nigdy nie byłeś w harcerstwie. - Roześmiała się i z płonąca zapalniczką ruszyła w stronę samochodu.

- Erico...

- Chowaj się! - wrzasnęła, tłumiąc skutecznie mój słaby sprzeciw, gdy pudełko zapalniczek wyleciało z jej dłoni. Obróciła się na pięcie, rzuciła biegiem tam, gdzie stałem obok furgonetki, a gdy z forda wyskoczył pierwszy płomienisty słup, wpadła na mnie, zarzuciła mi ręce na szyję i wskoczyła na plecy, potem przywarła policzkiem do mojego policzka i wydała głośny okrzyk dziecięcej radości.

Ogień rozprzestrzenił się błyskawicznie. Samochód wypełniły żarłoczne, gniewne płomienie, eksplodując z siedzeń i podłogi, by pełzać po suficie, deformując i pochłaniając, wsysając głośno powietrze przez otwarte okno i parszając kłębami gryzącego dymu. W ciągu kilku sekund chrapliwy oddech ognia zamienił się we wściekły huk, płomienie chłostane spadającymi kawałkami roztopionej pianki dostawały szału. Poczerniałe szyby wydymały się i pękały, tysiące żywych języków lizało krawędzie dachu; lakier pokrywał się bąblami i zniknął, plastik powracał do olejowej postaci. I wreszcie, gdy spod tylnego zderzaka zaczął dobywać się dym, uznałem, że wystarczy.

- Musimy jechać - mruknąłem, zsuwając Ericę z pleców, i odwróciłem ją od ognia.

- Ale to takie niesamowite - zaprotestowała, wykręcając szyję, by spojrzeć po raz ostatni.

Otworzyłem drzwi po stronie kierowcy i pomogłem jej wsiąść do wozu.

- Nie mamy czasu - przypomniałem. - Możesz prowadzić. Znasz drogę.

Wydęła usta w grymasie rodem z kreskówki, gramoląc się do kabiny.

- Zepsułeś mi całą zabawę - oznajmiła płacząco i zatrzasnęła drzwi.

Pomimo figlarnego uśmiechu błąkającego się po jej twarzy, odniosłem nieodparte i przyprawiające o dreszcze wrażenie, że nie żartuje.

Światelko na automatycznej sekretarce mrugało. Miałem dwie

wiadomości. Wiedziałem, od kogo pochodzą, i tęskniłem za jej głosem, ale nie byłem w stanie niczego przyjąć do wiadomości, nawet gdyby Erica znalazła się gdzieś daleko, nie stała mi za plecami.

- Nie chcesz ich odsłuchać? Może to coś ważnego - oznajmiła, napełniając czajnik wodą.

- Wiesz, że nie chcę. - Znowu łupało mi w głowie. - Jezu, chyba powinienem pójść do lekarza.

Zaczęła grzebać w szufladzie pod tosterem i wyjęła paczkę nurofenu; wysypała na dłoń dwie tabletki i nalała szklanę wody.

- Szeroko buzia - nakazała, wsunęła mi dwie pastylki w usta, a potem, po chwili wahania, musnęła delikatnie opuszkami palców mój policzek. - Przepraszam, że cię skaleczyłam - wyszeptęła.

Poczułem fale dreszczy czy to oszołomiony, czy rozczulony, tak czy owak, niezdolny do tego, by stłumić to w sobie.

- Trzeba się pakować - zdecydowała, a ja nie miałem wrażenia, że przyszło jej to do głowy dopiero teraz.

- Po co? - I tak już wiedziałem.

- Przyjdą poszukać dwóch policjantów, których właśnie spaliłeś - wyjaśniła, robiąc to powoli. Każda sylaba była zwarta i wyraźna, jakby Erica czytała małemu dziecku książeczkę na dobranoc. - Nie możemy tu zostać, prawda?

Zapewne miała rację. Nie wiem, bo w mojej głowie rozbrzmiewał tylko szum.

- Wezmę kąpiel - powiedziała. - Jestem brudna i śmierdzę dymem. Połknij te pastylki i przynieś mi filiżankę herbaty, a ja przygotuję coś specjalnego na kolację. Zgoda?

Choć bardzo się starałem, nie umiałem się sprzeciwić.

Woda zagotowała się i wystygła dwukrotnie, kiedy stałem nad czajnikiem, skupiony bez reszty na intensywnej walce między migającym światłem automatycznej sekretarki i pajakiem, który zwieszał się za oknem.

Drgnąłem na dźwięk odległego krzyku, podchwytliwego pytania, czy jeszcze żyję. Gdy za trzecim razem szczęście mi dopisało, nalałem herbaty i wniosłem ostrożnie po schodach na górę, gdzie, choć zachowywałem szczególną ostrożność, wyczuwano moją obecność.

Głos Eriki przypląnął na smudze wilgoci zza drzwi łazienki.

- Jestem tutaj - oznajmiła śpiewnie przy akompaniamencie chlupoczącej

wody.

Niepewny siebie, pchnąłem drzwi czubkiem buta i cofnąłem się o krok, by uniknąć czegokolwiek, co mogło być wymierzone w moją głowę. Jednak powitały mnie tylko kłęby pary.

Erica tkwiła po szyję w morzu bąbelków, oczy miała zamknięte, głowę odchyłoną, na ustach pełen zadowolenia uśmiech. Nie poruszyła się, kiedy postawiłem filiżankę na brzegu wanny.

- Zostawiam ci herbatę - powiedziałem i odwróciłem się do drzwi, tłumiąc nagłą chęć, by zostać tu dłużej.

Ledwie zrobiłem krok, gdy zaatakowała mnie z kocią zwinnością. Jednym szybkim ruchem wbiła palce w nogawkę moich spodni, a ja poczułem, jak zamiera mi oddech w krtani. Prócz ręki jej ciało pozostało doskonale nieruchome.

- Nie tak szybko - zamruczała. - Musisz wyszorować mi plecy.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Obudziłem się o świcie na dźwięk śrutu uderzającego o blachę. Jak się okazało, był to deszcz tłukący w dach furgonetki zostawionej pod gołym niebem, nawet bez osłony drzew. Ogłuszający, dysonansowy huk, zyskujący melodyjność za sprawą rytmicznego kap-kap-kap z liściastego baldachimu nad moją głową.

Żar minionej nocy był duszący, powietrze ciężkie i niemal kleiste w dotyku. Pozbawiało mnie na zmianę siły i determinacji, i to tak bardzo, że pierwszy uparty korzeń położył kres próbom wykopania grobu Samantha. Wróciłem do wozu wyczerpany, koszulę miałem przemoczoną do suchej nitki. Powiedziałem sobie, że zaczekam do chwili, gdy wraz z nadejściem dnia przyplynie chłodne powietrze. Ale tak naprawdę myślałem ze strachem o powrocie do domu, pragnąc pozostać sam na sam z nienawiścią do samego siebie.

A teraz nie mogłem nawet zdobyć się na to, żeby zagrzebać Sammy w poszyciu. Siedziałem w furgonetce, próbując ignorować swędzenie wywołane wżartą w skórę ziemią i zaschniętym potem. Prawa ręka pokryta tatuażem krwi i czerni, lewa nieskazitelnie czysta do łokcia, przesiąknięta wonią olejku różanego i rumianku. Na jednej ognista śmierć; na drugiej aromaterapia. To, że miałem ochotę się roześmiać, przyprawiało mnie o mdłości.

Potrzebowałem prysznica i potrzebowałem łóżka, tak więc gdy ranne światło zaczęło wpełzać nieufnie do lasu, całkowicie rozbity wycofałem się. Miałem tylko nadzieję, że porządny sen pozwoli mi się pozbierać.

Nic tak bardzo nie oddziela umysłu od ciała jak gwałtowne, pospieszne przebudzenie. Mózg, nadświadomy i przynaglany do natychmiastowego działania, stara się za wszelką cenę odzyskać poczucie czasu i miejsca, każąc człowiekowi dźwignąć się na nogi. Te jednakże wciąż znajdują się w półśnie i nie potrafią rozszyfrować do końca przeinaczonych, przepełnionych paniką instrukcji, wydawanych im pospiesznie. Zdarza się niejednokrotnie, że człowiek wpada na ścianę.

Tak więc potknąłem się o stos brudnych rzeczy obok łóżka: wczorajsze

prześnięte dymem ubranie, mokry ręcznik z tego ranka, ciężką pościel, której się pozbyłem, by uwolnić się od gorąca.

To nie walenie do drzwi mnie obudziło, ale raczej nagła świadomość, że to właśnie się dzieje. W moim śnie trwało to już od jakiegoś czasu; krótkie serie o narastającej głośności przerywane przez odległy, stłumiony dźwięk głosu Rachel. Ku mej konsternacji, byłem zamknięty w jakiejś skrzyni i niezdolny do udzielenia odpowiedzi.

Teraz jednak, uwolniony z tego zamknięcia, objąłem się między stołem, ścianą i drzwiami, moje ręce i nogi były pozostawione same sobie, podczas gdy głowa zmagająca się z „gdzie” i „kiedy”. Do tej pory nie uświadomiłem sobie w pełni sensu słów Eriki – „poprosiłeś ją, żeby wpadła jutro... wyświadczę ci przysługę i pozbędę się jej” – ja zaś nie zdołałem ani odsłuchać wiadomości Rachel, ani przenieść zegara do gościnnego pokoju. Nie mogłem w żaden sposób się zorientować, jak długo stała na deszczu.

Okazało się, że jest jeszcze gorzej, kiedy dotarłem w końcu do podestu schodów. Drzwi sypialni i łazienki szeroko otwarte. Łóżko Eriki puste i starannie pościelone.

Rzuciłem się schodami na dół. Tylko pęd, żadnej równowagi, i mając ręce uwięzione w zwiniętych rękawach szlafroka, zderzyłem się boleśnie ze stojakiem na płaszcze w holu. Moje wysiłki, by się wyswobodzić, sprawiły, że stojak runął na mnie, pozostawiając na mojej mosznie głęboki odcisk o charakterze koronkowej, ręcznej roboty. Co zrozumiałe, wrzasnąłem wniebogłosy.

To, że nikt nie przybiegł, spotęgowało mój niepokój, gdy dzwignąłem się nagi z podłogi. Najwidoczniej Erica i Rachel nie siedziały w kuchni, oświetlając się nawzajem za pomocą gorzkich prawd, ale biorąc pod uwagę zamiar wyrażony niedwuznacznie przez tę pierwszą, alternatywa była potencjalnie gorsza.

Uwolniłem szlafrok i rozplątałem rękawy; zawiązałem ostrożnie pasek, kuśtykając do drzwi. I oczywiście nikogo za nimi nie było.

Tak jak nie było wątpliwości, że ktoś jednak wcześniej był. Równie szybko jak nadzieja, że wszystko jest wyłącznie owocem mojego snu, ujawniła się niezaprzeczalna prawda pod postacią mazdy MX-5.

Deszcz spadał niczym całun, ciężki i duszący, wchłaniając ciepło i wbijając je w ziemię. Walił w podjazd i dach furgonetki, trząsał, odbijał się i wzbijał

drobinki żwiru. Przemokłem do suchej nitki w ciągu kilku sekund, gdy okrążałem małego roadstera, a tysiące ostrych kamyczków wgrzyzało mi się boleśnie w stopy.

Alarmująco czerwona i zaparkowana niespełna pięć metrów od domu mazda zwracała uwagę w dwojaki sposób: nie można było zaprzeczyć, że istnieje, a ja nie mogłem się zorientować, do kogo należy. Sama w sobie nie zdradzała żadnych oznak pochodzenia: bagażnik był zamknięty, przytulne wnętrze nieskazitelnie czyste i pozbawione zbędnych przedmiotów. Obróciłem się na pięcie, szukając wzrokiem jakiegoś ostrzegawczego ruchu czy mgnięcia koloru. W pobliżu nie było żywej duszy.

Nieoświecony na dobrą sprawę i ogarnięty przerażeniem, wszedłem niepewnym krokiem do domu.

Kuchnia była idealnie czysta, z wyjątkiem dwóch podziurawionych desek podłogowych i starannego wzgórka świeżo wyprasowanych ubrań na stole. Automatyczna sekretarka wciąż migotała; stuknąłem w nią nerwowo niezgrabnym palcem, uderzając we wszystko prócz przycisku odtwarzania. Policzyłem do dziesięciu i spróbowałem ponownie.

- Witaj, gratuluję! Dzięki Top Flight Holidays zostałeś wybrany...

Pieprzcie się.

- Hej, ty! Tak do twojej wiadomości, będę rano, około dziesiątej. Ha, ha! Mam dla ciebie niespodziankę. Jest uroczą, będziesz zachwycony. Nie mogę się doczekać! Aha, dopilnuj, żeby świeciło słońce. Uhm... oddzwon, jeśli cię tam nie ma. Ale tak szczerze, lepiej, żebyś był, bo szykuję piknik, a nie sądzę, żebym mogła zjeść wszystko sama. Cześć!

Ścisnęło mnie w żołądku. Dziesiąta dwadzieścia pięć; jak to się miało do „około dziesiątej”?

- Nie masz więcej wiadomości.

Chwyciłem słuchawkę, z trudem się powstrzymując, by nie cisnąć nią przez całą kuchnię. Wystukałem numer komórki Rachel, a potem czekałem na połączenie przez całą wieczność, jak się zdawało.

- Abonent czasowo niedostępny. Spróbuj ponow...

Wciągnąłem powietrze przez zaciśnięte, obnażone zęby. Wykręciłem numer domowy.

- Nie ma mnie w domu...

- Kurwa!

Chwyciłem telefon obiema dłońmi, jakbym chciał go udusić, potrząsnąłem nim i walnąłem o szafkę, błagając wbrew zdrowemu rozsądkowi, by zadzwonił, nim roztraskam go na tysiąc kawałków. Kiedy uczynił to niemal natychmiast, tak się wystraszyłem, że wypadł mi z ręki i poleciał po blacie. Rzuciłem się w ślad za nim, moje ogarnięte szaleństwem dłonie zdołały jedynie pchnąć go jeszcze bardziej, aż uderzył o boczną ścianę lodówki. Chwyciłem go raczej dzięki szczęściu niż zwinności. Wiedziałem, że muszę wziąć się w garść.

- Jestem tu - warknąłem. - A ty gdzie jesteś?

Krótką chwilą ciszy po drugiej stronie, a potem po prostu:

- Och. - Kobięcy głos spowity dźwiękami ruchu drogowego. - Witam. Chodzi o to, że... hm. Wszystko w porządku?

- Kto mówi?

- Przepraszam. Tu Ali Green. Jeśli zadzwoniłam w nieodpowiednim momencie...

O Chryste. Zamknąłem oczy i zmusiłem się do głębokiego oddechu, który wstrząsnął moim ciałem, zmagając się z zapętlonymi węzłami napięcia.

- Nie. - Westchnąłem. - Doskonałe wycucie czasu. Mam tak gówniany dzień, że nie może go pani już bardziej zepsuć.

Jej śmiech brzmiał dość przekonująco.

- No cóż - odparła. - Nie taki był mój zamiar. Miałam jednak nadzieję, że pana złapię.

- Coś takiego. - Wyswobodziłem się z mokrego szlafroka i chwyciłem pierwsze z brzegu spodnie leżące na stosie wyprasowanej odzieży.

- Jadę do pana. Musimy omówić kilka rzeczy. I - dodała - zanim się pan zdenerwuje, pragnę wyjaśnić, że tym razem nie chodzi wyłącznie o pana.

Podszedłem do okna, spenetrowałem wzrokiem pola i linię drzew w dali. Nic się tam nie poruszyło.

- Nie rozumiem - mruknąłem.

- Tak - odpowiedziała. - Ja też nie rozumiem, i jest bardzo prawdopodobne, że przesadzam. Myślałam o tym jednak bezustannie i jest to wyjątkowo irytujące, ale niewykluczone, że możemy sobie pomóc. Będę u pana za dwadzieścia minut. Okay?

Stodoła miała w sobie coś niepokojącego. Wydawała się zbyt nieruchoma, a może jej cienie zbyt mroczne. Spoglądała na mnie, wrota szeroko otwarte

jak wyciągnięte ramiona, które przywołują.

- Miałem właśnie wyjść - poinformowałem ją.

Z jej głosu zniknął wszelki humor.

- Niech pan zaczeka - odparła. Nie był to domysł ani prośba.

Nie zamierzała akceptować mojej odmowy; nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że dłuższe próby zniechęcenia wzbudziłyby tylko podejrzliwość i przyspieszyły jej przyjazd. Byłem już całkowicie pewien, że to wstępne ostrzeżenie miało jedynie na celu zastosowanie podwójnego blefu, jeśli chodzi o moją reakcję spod znaku „walcz albo uciekaj”; że wie, że będę zmagał się ze sobą, i spodziewała się, że będę się spodziewał, że spodziewa się, że ucieknę, w którym to przypadku należałoby zostać na miejscu, tak więc w naturalny sposób byłbym skłonny postąpić wręcz odwrotnie, ale ponieważ wiedziałem, że ona o tym wie, nie miałbym wyboru, jak tylko zostać. Zresztą nie zamierzałem w żadnym wypadku dopuścić, by wkroczyła do pokoju, gdzie mogłyby siedzieć Erica i Rachel, więc ucieczka nie wchodziła w rachubę.

- Och, oczywiście, zaczekam - zapewniłem ją, siląc się bez powodzenia na chichot dowodzący, że nie wiem, o co chodzi. - Będę tutaj. Muszę tylko naprawić cieknącą rurę na tyłach domu, więc jeśli nie uporam się z tym przed pani przyjazdem, to proszę się rozgościć.

Brzmiało to dostatecznie zachęcająco, czy tylko pogarszałem sprawę?

- Mam lepszy pomysł. - Tęgo się bałem. - Może wstąpię na kawę i spotkamy się za godzinę?

Podkoszulki. Tylko podkoszulki, nic z rękawami. Ale to wkurzające, na litość boską.

- Tak, to lepszy pomysł. - Wiedziałem, że będzie tu za dziesięć minut, popijając kawę z plastikowego kubka w swoim samochodzie na końcu mojego podjazdu, ale nie stanowiło to problemu, dopóki by tam została. - Może mi pani powiedzieć, o co właściwie cho...

Drzwi garażu. Otwarte na oścież. O słodki Jezu. Serce podjechało mi do gardła, zakrzusiałem się niemal. Czuję pulsowanie skroni i ogień na twarzy.

Green zawahała się na chwilę, odchrząknęła.

- Jest pan... sam? - spytała.

Dziwne pytanie.



- Tak - odparłem.

- I wszystko w porządku?

- Jak najbardziej - wychrypiałem, zmagając się z kipiącą głową i próbując zapanować nad sobą. - Przepraszam, właśnie się... ubieram. Niewiele brakowało, żebym się udusił.

- Rozumiem. - Nie brzmiało to przekonująco. - W takim razie rozłączę się, zanim zrobi pan sobie krzywdę. Ale jeśli chodzi o pańskie pytanie, to powiem, że musimy koniecznie porozmawiać o Erice Shaw.

Jak na zawołanie, Erica wyłoniła się z zarośli.

Wysuwałem po dwie szuflady naraz, zgarbiałem noże, korki i drewniane łyżki, listy, rachunki i buteleczki z aspiryną. Grzebałem w szafkach, przewracając szklanki i stosy talerzy, zaśmiecałem podłogę ściereczkami do kurzu, pastą do butów i vanishem. Zajrzałem do lodówki, piekarnika i pralki, suszarki, pojemnika na chleb i kosza na śmieci. Nigdzie nie było broni.

Wbiegłem na górę, pokonując po trzy stopnie za jednym zamachem, otworzyłem na oścież szafę Eriki. Wciąż była pełna ubrań, ale nic więcej. Wywaliłem szuflady na podłogę; staniki, majtki, rajstopy i skarpetki. Odrzuciłem na bok poduszki i pościel i podniosłem materac. Przewróciłem łóżko i znalazłem pod spodem tylko kurz.

Pchnąłem klapę wjazdu od poddasza i podciągnąłem się do góry. Cokolwiek ta obłudna suka tu schowała, jak sama twierdziła, nie było po tym nawet śladu; znajdował się tu tylko zbiornik na wodę, a w zbiorniku była tylko woda.

Zdesperowany popędziłem z powrotem do kuchni i wytrząsnąłem zawartość stojaka na noże; chwyciłem jeden, do mięsa, w chwili gdy Erica mignęła za oknem. I kiedy dźwięk deszczu się nasilał, a w holu rozległo się echo jej kroków, wsunąłem się za drzwi i wstrzymałem oddech.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Erica podeszła do stołu kuchennego, po czym zgięła się gwałtownie wóół, wymachując rękami i sapiąc, gdy przygwoździłem jej twarz do dębowego blatu.

- Gdzie ona jest? - warknąłem, rozsuwając nogą jej stopy i zanurzając dłoń w mokre włosy.

Wierzgnęła, starając się mnie kopnąć.

- Co, do kurwy...! - wrzasnęła.

Szarpnąłem jej głowę do góry i walnąłem nią o drewno, naparłem na nią całym ciałem i przycisnąłem nóż do gardła.

- Powiedz mi, co z nią zrobiłaś - nakazałem. - Albo odetnę ci ten pieprzony łeb.

- Z kim? - wychrypiała, oczy miała szeroko otwarte, pięści zaciśnięte, mięśnie naprężone i drżące. - O czym ty, kurwa, gadasz? Co niby miałam zrobić?

- Z Rachel. - Ścisnąłem rękojeść noża jeszcze mocniej. - Co zrobiłaś z Rachel?

- O co ci chodzi? Nie widziałam jej!

- Gdzie ona jest?! - ryknąłem.

Wzdrygnęła się; twarz jej się zarumieniła, oczy wypełniły łzami.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Nachyliłem się dostatecznie blisko, by poczuć w jej włosach zapach wilgotnego lasu, dostatecznie blisko, by zatopić zęby w jej lśniącej wilgocią szyi.

- Masz pięć sekund - oznajmiłem. - Co robiłaś w lesie?

Rozprostowała palce lewej dłoni i wskazała podłogę za plecami; pośród szerokiej smugi krwi i skrawków skóry leżał mały wiklinowy koszyk.

- Zbierałam jeżyny - wystękała chrapliwie.

- Jeżyny... - Widziałem je teraz; były ich setki, porzrzućane i pogniecione na całej podłodze. - Zbierałaś jeżyny - wymamrotałem i poczułem, jak mój mózg ugina się jęklonie pod ciężarem racjonalnej myśli.

- Chciałam zrobić pudding. - Odprężyła się świadoma, że uchodzi ze mnie powietrze. Rozluźniła biodra, oparła się o stół i wydała z siebie pełne

znużenia westchnienie. - Sprawiasz mi ból. Zejdź ze mnie.

Wyprostowałem się bezmyślnie. Nóż, nieprzynaglony, wysunął się z moich palców, stukając metalicznie i tańcząc przed jej twarzą, której wyraz zmienił się w ułamku sekundy; oczy pociemniały, wargi wykrzywił prowokujący uśmiech. Wyciągnęła się na stole z pełnym zadowolenia jękiem, wygięła plecy w łuk, oparła się o mnie czubkami stóp.

- Ja pierdolę - zamruczała. - Wiesz, jak rozgrzać dziewczynę.

Cofnąłem się z niedowierzaniem, moja nagła zapaść elokwencji potęgowała wir zamętu w głowie.

Przekręciła się na plecy, odsunęła kopniakami krzesła i wsparła się na łokciach.

- Zapomnij o Rachel. Jestem pewna, że się pojawi. - Jej spojrzenie migotało nieskrywaną groźbą. - A kiedy to zrobi, będziemy mogli zająć się nią razem. - Przesunęła palcami po przemoczonej bawełnie przylegającej do jej piersi i roześmiała się przez zaciśnięte usta, rozpinając guziki. - A tymczasem...

Chwyciłem ją za ramię, wlokąc z powrotem na deszcz. Potykała się i ślizgała u mego boku, próbując rozewrzeć mi palce.

- Wiesz, że nie uda ci się wyprowadzić mnie za drzwi - powiedziała, chichocząc.

- O tak, zrobię to - zapewniłem ją. - Połamię ci ręce, jeśli będzie trzeba.

- Hej! - Walnęła mnie mocno w żebra.

Zacisnąłem palce, wbiłem paznokcie w jej skórę. Zaczęła opierać się jeszcze zajadlej.

- Nie utrudniaj tego - ostrzegłem ją.

- Och, daj spokój. - Roześmiała się. - O wiele łatwiej poprosić, żebym została w swoim pokoju.

- Jeśli cię zamknę w klatce, nie będę musiał ci ufać.

- Kurwa... - Zaparła się nogami, poślizgnęła, obróciła i upadła, zmuszając mnie, bym ciągnął ją jak worek. Ciskała się i wrywała, drapała mi rękę, gryzła i pluła. - Puść mnie, kurwa - zawarczała.

Powinienem był posłuchać. Priorytety, tak jak je postrzegałem z głębi mrocznych ruin umysłu, wydawały się proste i wyraźnie zakreślone, odrębne, ale mgła paniki przypawiła mi o krótkowzroczność. Niezdolny dostrzegać czegokolwiek poza groźbą, jaką stanowiła nieokiełznana Erica,

uznałem mimowolnie, że poszukiwanie Rachel można odłożyć na później. Każdy rozumujący jasno człowiek dostrzegłby bez trudu ziejącą lukę w mojej logice, ale nigdy nie przyszło mi do głowy, że granica między tymi dwoma odmiennymi celami może się nieco rozmazać w świetle dnia. Gdy zatem doszło w końcu do nieuniknionego, omal nie wyskoczyłem ze skóry.

Rachel stała pośrodku garażu obok otwartych drzwi kredensu, krzyżowała ręce zdecydowanym gestem i stukiała paznokciem kciuka w zęby. Nie odezwała się, patrzyła tylko zaciekawiona, kiedy puściłem Ericę, która wylądowała na plecach, i wybełkotałem coś, zdjęty pełną osłupienia grozą.

Miotalem się i jękałem, czując na głowie uderzenia deszczu, szeroko otwarte oczy bez zmruczenia powiek zerkały to na Rachel, to na Ericę, to na odślonięte schody. Przychodziły mi do głowy tysiączne słowa, ale nie potrafiłem wyartykułować żadnego.

Erica odezwała się pierwsza, podciągając się za pomocą mojej nogawki i wstając z ziemi.

- To ona? - wysapała.

- Erico, idź do swojego pokoju - powiedziałem.

- No dobra... - Roześmiała się. - Teraz masz problem.

- Mówię poważnie.

- Nic z tego - odparła, stając za mną i obejmując mnie w pasie. - Nigdzie nie pójde. Chcę usłyszeć, jak się tłumaczysz.

Otrząsnąłem się z niej i odepchnąłem ją.

- Zostaw nas - warknąłem.

Powróciła jak rozchichotany bumerang.

- Hej, bądź miły - rzuciła złośliwie. - Nie musisz zachowywać się jak macho. Zresztą sam mówiłeś, że porozmawiamy z nią razem.

- Nie - odparłem zdecydowanie. - Nie mówiłem.

Obróciłem ją i znów pchnąłem, mocniej tym razem; zatoczyła się, rzucając mi przez ramię jadowite spojrzenie, potem przyjrzała się Rachel z szyderczą pogardą.

- Załatw to - powiedziała. - Mówię poważnie.

Potem odeszła, przecinając gniewnym krokiem podjazd i kierując się w stronę domu.

Odprowadzałem ją wzrokiem, dopóki nie weszła do środka. Kiedy już zniknęła, patrzyłem po prostu na drzwi, a ulga zrodzona ze świadomości, że

jestem sam z Rachel, ulotniła się natychmiast pod ciężarem jej badawczego spojrzenia. Kiedy wreszcie obróciłem się do niej, zauważyłem, że jej twarz ma pusty, nieprzenikniony wyraz.

- Pukałam - oznajmiła bezbarwnym głosem. - I coraz bardziej mokłam. Pomyślałam, że tu cię znajdę.

- Ja... - Zamknąłem oczy. Zakryłem dłońmi twarz. Potarłem się po skroniach, jakbym pragnął obudzić się we własnym łóżku, wsłuchany w uderzenia pięści w drewno drzwi, zastanawiając się, która jest, u diabła, godzina. - Spałem.

- Uhm. Miałaś ciężką noc?

- Nie mylisz się.

- Chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Nie. - Wszedłem do garażu, otarłem pot i deszcz z twarzy. - Lepiej, żebyś nie wiedziała.

- Lepiej, żebym nie wiedziała, czy nie chcesz mi powiedzieć?

Że przeżyłem załamanie, próbując pogrzebać zwłoki?

- Lepiej, żebyś nie wiedziała.

Coś skłoniło ją, by się zgodzić; skinęła głową i zauważyła:

- Twoja siostrzenica wydaje się czarująca.

- Ona nie jest...

- Twoją siostrzenicą. Tak, tyle się domyśliłam. Kim jest?

- To dość skomplikowane.

Uniosła brwi i parsknęła śmiechem pozbawionym humoru, kierując spojrzenie w stronę schodów do piwnicy.

- Coś takiego - mruknęła.

Nie chciałem wiedzieć, czy zesłała na dół, ale choć bardzo się starałem wyczarować jakieś odwracające uwagę pytanie czy nieszkodliwą uwagę, moje usta zdołały sformułować jedynie dwa słowa:

- Czy ty...

Odpowiedziała skinieniem głowy; stała nieskończenie długo w milczącym zamyśleniu, podczas gdy mój umysł analizował tysiące wyjaśnień, z których każde przypominało beznadziejnie rozmazaną plamę. Kiedy spojrzała mi wreszcie w oczy, na jej twarzy malowało się bolesne zagubienie.

- Wiesz - powiedziała cicho - jeśli chodzi o seks, to możemy o tym porozmawiać. Mogę przynajmniej spróbować zrozumieć. Ja też

zachowywałam się dziwnie... - Skrzywiła się i zagryzła wargę, zamknęła mocno oczy i wypowiedziała bezgłośnie słowo „przepraszam”; pokręciła głową i westchnęła głęboko. - Nie będę się tobą dzielić - powiedziała. - I nie chcę być okłamywana.

I oto się pojawił prosty wybór. Idealnie skrojone kłamstwo i wyzwanie, czyli decyzja, by się nim nie posłużyć. Mogłem zaoferować Rachel nieupiększoną prawdę i patrzeć, jak ucieka do samochodu, a potem znika z mojego życia. Mogłem stać w miejscu i czekać na przyjazd ekipy śledczej; siedzieć w kajdankach z tyłu radiowozu, podczas gdy oni przetrząsaliby każdy najdrobniejszy szczegół mojego istnienia. Mogłem patrzeć z miejsca dla oskarżonych, jak Erica opisuje drobiazgowo moje nieprawości. Spędzić resztę życia w ciasnej betonowej celi, pocieszając się jedynie świadomością, że przynajmniej w przypadku Rachel ból będzie krótkotrwały. Albo mogłem zaakceptować jej wyjaśnienie, poczynić wszelkie deklaracje i obietnice; wysłać Ericę gdzieś daleko, bardzo daleko, i nosić piętno dewiacji z dumą. Mogłem wyznać swoje problemy i obserwować ze sprytnie zamaskowanym obrzydzeniem wobec samego siebie, jak dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, Rachel próbuje się zaadaptować, zaakceptować mnie, przekonać, że obroża i smycz nie brukają jej w żaden sposób. Mogłem powoli, lecz nieubłaganie odrywać z niej kolejne warstwy szacunku, aż pozostałoby jedynie złamane, poczerńnięte serce.

Ostatecznie nie był to żaden wybór.

- To nie tak - powiedziałem. Wzdrygnęła się, a ja zrozumiałem, że zdążyła już zgłębić implikacje. Wiedziała równie dobrze jak ja, że alternatywa może być tylko gorsza. - To jest... - Co? Co mogłem powiedzieć? Pragnąłem jedynie wziąć ją w ramiona i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, jakby tego rodzaju prorocstwo mogło się kiedykolwiek spełnić poza granicami kobiecej fikcji. - Mam problemy.

- Wiem - odparła. - Oboje je mamy i możemy sobie z nimi poradzić, ale musisz mi pomóc je zrozumieć.

- Nie mam pojęcia jak.

- Rozmawiając ze mną. Mówiąc mi, o co tu chodzi. Przyjechałam w oczekiwaniu na miły romantyczny dzień, co prawda w siąpiącym deszczu, ale okazało się, że wleciesz ze sobą jakąś biedną dziewczynę, zamierzając wrzucić ją do... lochu pod garażem. Na litość boską, zdajesz sobie sprawę,

jak to wygląda? Tak, jestem pewna, że istnieje jakieś doskonale logiczne, rozsądne wyjaśnienie, ale naprawdę musisz mi powiedzieć, co to takiego, bo z mojego punktu widzenia wygląda to bardzo, bardzo strasznie. Po prostu... po prostu powiedz mi, że nie jest to takie przerażające, jakie się wydaje.

- To nie takie przerażające, jakie... - Boże, dopomóż mi. Oboje wiedzieliśmy, że takie właśnie jest. - Czasem trudno nad nią zapanować.

- Więc... co? - Wzruszyła ramionami. - Kwestia dyscypliny? Rozrabia, a ty ją zamykasz? O to właśnie chodzi?

Gula, która wyrosła w moim gardle, sprawiła, że głos mi się załamał.

- Musisz zrozumieć - oznajmiłem błagalnie. - To nie to, kim jestem. Może w jakimś stopniu taki byłem, ale ten ktoś... nie wiem już nawet, kim jest. Wszystko należy do przeszłości. To historia.

- Historia? Co, taka faza, którą przechodziłeś? Wiesz, co to jest historia? Była żona albo... to, jak cię przyłapali na kradzieży w sklepie, kiedy miałeś dwanaście lat. To jest historia. Chodzi o fundamentalny problem, nie sądzisz? Nie o coś, z czego wyrosłeś. Powiem ci, dwie minuty temu to też nie wyglądało jak historia. Wyglądało jak pieprzone tutaj i teraz.

- Widziałeś ją - przekonywałem. - I widziałeś, jaka jest. Słyszałaś, co powiedziała. Jest niebezpieczna.

- Niebezpieczna? W jakim sensie?

- Groziła ci, Rachel. Chce, żebyś zniknęła z mojego życia, a najgorsze jest to, że nie ma prawa do żadnych roszczeń w stosunku do mnie. Była... impulsem, głupim błędem popełnionym pod wpływem chwili i przejęła kontrolę nad moim pieprzonym życiem. Ma obsesję. Nie zapraszałem jej tutaj, po prostu się wprowadziła. Śpię w gościnnym pokoju, bo zajęła moje łóżko.

- Kurwa... - Zacięła się, wyrzuciła ręce w górę, pokręciła głową, przycisnęła podbicia dłoni do oczu. - Przepraszam, chyba naprawdę odznaczam się ptasim mózdzkiem albo szokującym brakiem doświadczenia życiowego, bo to dla mnie zbyt trudne. Jakaś prześladowczyni wprowadza się do twojego domu, a ty tego nawet nie zauważasz, i zamiast zrobić to, co zrobiłby każdy zdrowy na umyśle człowiek... nie wiesz, wyrzucić ją, wezwać policję, zmienić zamki w drzwiach... pozwalasz jej spać w swoim łóżku i zamykasz ją w klatce, kiedy jest niegrzeczna?

Musiałem przyznać, że to naciągane, ale upierałem się przy swoim.

- Tak to mniej więcej wygląda. - Skinąłem głową. - Powiedziałem ci, że mam problemy. Co jeszcze mam ci powiedzieć? Wariuję. Rozpadam się na kawałki. Nie potrafię nawet jasno myśleć od czasu, gdy cię poznałem. Nie odżywiam się właściwie. Przez całe godziny patrzę w ściany. Budzę się i od razu pojawiaasz się w mojej głowie. Myślę o tobie i nic już nie wiem. Czuję to wszystko, czego nigdy wcześniej nie czułem, i niczego nie rozumiem.

Zbliżyła się do mnie, ujęła moje dłonie, przysunęła do mnie twarz.

- Wiem - powiedziała. - Tak się zdarza, kochanie. Tak dzieje się z ludźmi. Myślisz, że tego nie przeżyłam? To każda minuta każdego dnia, to dziwne i przerażające, ale wiesz co? Cenię każdą sekundę, bo Bóg jeden wie, że nie będzie to trwało wiecznie, i cokolwiek się teraz dzieje, do diabła, jest to najlepsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. To wszystko, co czujesz... nie jest problemem. Cokolwiek jest niewłaściwe, w czymkolwiek trzeba ci pomóc, poradzimy sobie z tym i zostawimy za sobą, ale chcę, żebyś powiedział mi prawdę.

- Nie - rzuciłem gniewnie. - Nie chcesz, żebym ci powiedział prawdę. Chcesz, żebym powiedział ci to, co pragniesz usłyszeć, i próbuję, Rachel, wierz mi, ale ty już znasz prawdę, czyż nie? A prawda jest taka, że krzywdzę ludzi. To właśnie robię. Tylko to robię. Zawsze robiłem tylko to. Nie jestem... normalny. To, o czym myślisz, a nie zamierzasz się do tego przyznać, bo byłoby zbyt przerażające, gdyby przytrafiło się tobie... oto jest prawda.

Milczała przez chwilę, przyglądając się z kolei moim drżącym dłoniom i rozpalonej twarzy.

- Zamierzasz mnie skrzywdzić? - spytała w końcu.

Załamałem się. Moja pierś poruszyła się gwałtownie, oczy zaszyły mgłą; napięcie, które odczuwałem, eksplodowało ze mnie dławiącym szlochem.

- Nie - odparłem chrapliwie. - Oczywiście, że nie.

Drgnęła jej warga, ramiona wyprostowały się; podniosła dłonie do ust, by stłumić westchnienie, kiedy i w jej oczach pojawiły się łzy.

- Ona potrzebuje pomocy - wyszeptała.

- Wiem.

- Trzeba ją stąd zabrać. Dzisiaj. Natychmiast.

- Chcę tego.

- O Boże, coś ty jej zrobił? - Trzęsły się jej nogi, oddech był ciężki.



Odsunęła się ode mnie, omal się nie przewracając. Przyglądała mi się ze smutkiem, oczy traciły z wolna blask, podczas gdy prawda docierała do niej w całej swej pełni.

- Sam tego nie zrobię. Nie dam rady.

- Wiem - odparła, choć najwyraźniej nie wiedziała, jeszcze nie, bo drgnęła, zacisnęła oczy i szczękę, odetchnęła głęboko, przeciągle i urywanie, i zaczęła myśleć tak intensywnie, że niemal to słyszałem, aż w końcu skinęła głową, uniosła powieki i powiedziała, tym razem z rozmysłem: - Wiem. Nie musisz sam tego robić. Zajmiemy się tym. Nic jej nie będzie. Ja... pomogę ci się nią zająć, a potem powiesz mi o tym, powiesz mi wszystko, co muszę wiedzieć, i zastanowimy się, co robić dalej. - Wzięła mnie za rękę, przyciągnęła do siebie i otoczyła ramionami. - Wszystko będzie dobrze.

Przez krótką chwilę wierzyłem niemal, że to prawda.

# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Życie rzadko przypomina bajkę, to oczywiste. Literatura popularna przekonuje nas, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło, że każda historia musi się szczęśliwie kończyć. Szlachetni książęta na białych rumakach pokonują ciemne moce z miłości do czarujących błękitnookich księżniczek w potrzebie. Zwyczajni mężczyźni pokonują nadzwyczajne trudności, by ocalić świat i zdobyć dziewczynę, ich zwycięstwu towarzyszy *crescendo* skrzypiec i zgrabne powiedzonko. A potem ona mu mówi, że niepotrzebnie się wysilał, bo zdobył ją przy dźwiękach „Hello”, które bardzo wzrusza, jak wiadomo.

Tu jednak, w świecie rzeczywistym, złe wychodzi na złe i tylko katastrofa trafia do mediów.

To odległe echo silnika położyło kres mojemu szczęśliwemu zakończeniu, tak jak Erica położyła kres swemu.

Usłyszałem ten dźwięk w chwili, gdy Rachel zamknęła drzwi do piwnicy i wzięła mnie za rękę, chcąc wyprowadzić z garażu. Stukot pośród drzew, ledwie słyszalny ponad grzmotem deszczu na podjeździe i białym szumem niepokoju w mojej głowie. Innego dnia oceniłbym jego znaczenie natychmiast i instynktownie, w tej chwili jednak ominął moją podświadomość i zagnieździł się w przednim płacie jako osobliwość wymagająca analizy: jego odległość od domu i kierunek ruchu, skutek i przyczyna związane z nieproszonym gościem. Sto metrów dalej na krętym podjeździe czy dwa i pół kilometra, pokonując w pędzie wrzosowisko? W lesie podczas ulewy nie sposób się zorientować. Właściwie jedyne pytanie, jakiego nie zadałem, dotyczyło tego, czy znam już odpowiedź.

Ta jednakże była nieistotna, ponieważ to pytanie zaprzętało moje zmysły, zajmowało świadome myśli i przyciągało spojrzenie rzucone przez ramię. Tak bardzo byłem zaintrygowany, gdy dźwięk narastał, a ja wysilałem się coraz bardziej, by go zidentyfikować, że ledwie słyszałem, co mówi do mnie Rachel. Nie zauważyłem nawet, kiedy stanęła jak wryta i ścisnęła mocniej moją dłoń. Dopiero gdy ją wyprzedziłem bezwiednie, a ona mnie przytrzymała, dostrzegłem na jej twarzy grymas przerażenia

i niedowierzania. I zaświtało mi, że może pojawić się problem. Nim zdążyłem się odwrócić, było już za późno.

Wiedziałem, co się ma stać, nawet wcześniej niż wiedziała Erica. Zbyt często widziałem ten wyraz jej twarzy poprzedzający impulsywną, bezmyślną przemoc. Nienawistną wściekłość w oczach podkreślał zdecydowany krok, naprężenie nadgarstka, zwarte zagięcie palca wskazującego, gdy podnosiła mój tęponosy rewolwer, mierząc w pierś Rachel. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że zamierza strzelić.

- Ty pieprzony tchórzliwy draniu! - wrzasnęła, pociągając za spust, gdy wykonałem gwałtowny obrót i zasłoniłem Rachel. Broń huknęła raz, drugi... Potężne łupnięcie i palący ogień w prawym ramieniu, potem drzazgi rozdzierającego bólu, kiedy trzeci pocisk musnął mój bark. Rachel skuliła się, osłaniając głowę rękami, i przywarła do mojej piersi, dysząc spazmatycznie. Czwarta kula Eriki gwizdnęła mi koło ucha.

Krzyknąłem, zamykając oczy i zaciskając zęby z bólu. Wyrzuciłem ręce w górę i czekałem na ostatni, rozstrzygający strzał. Zastanawiałem się nawet przez ułamek sekundy, czy w ogóle go usłyszę.

Nie usłyszałem. Usłyszałem za to wysilony klekot i zawodzenie zmęczonego turbodiesla i zgrzytliwy chrzęst zablokowanych kół. Usłyszałem, jak Erica pisnęła, zatrzymując się gwałtownie. Usłyszałem dźwięk otwieranych drzwi samochodu, trzaski dobiegające z radia i głos Ali Green, która krzyczała:

- Erico! Odłóż to! Natychmiast!

Wstrzymałem oddech, próbując odnaleźć w ciszy za plecami jakiegokolwiek oznaki zamiaru. Docierał do mnie tylko odgłos deszczu.

- Erico, odłóż broń. Odłóż i porozmawiaj ze mną, okay? Popatrz... jestem nieuzbrojona.

Popatrzyłem. Biały ford focus dwadzieścia metrów dalej, Green przycupnięta za otwartymi drzwiami, spoglądająca przez szybę, ręce podniesione ku niebu.

Wyczuwałem z tyłu obecność Eriki, słyszałem jej oddech, ciężki i coraz bardziej urywany z powodu narastającej paniki. A potem odroczenie wyroku, gdy przestała celować; plask broni o mokry dżins.

- O tak. Zrób to do końca, kochanie. Rzuć rewolwer na ziemię i odsuń się.

Metaliczny brzęk, gdy Erica wypuściła broń z dłoni; szloch i głuchy chrzęst

uderzenia, gdy upadła na kolana.

Green wyprostowała się za otwartymi drzwiami samochodu, wymówiła bezgłośnie: „Szybko”, dając mi znak, żebym przyszedł do niej Rachel.

- Doskonale, Erico, dobra dziewczyna! - krzyknęła. - Nie ruszaj się z miejsca.

Chwyciłem Rachel za ramiona, próbując uwolnić się od niej.

- Idź - powiedziałem. - Biegnij. Schowaj się za samochodem.

Nie mogłem jej ruszyć; czepiała się mojej koszuli, ciało miała sztywne i drżące.

- Chyba nie dam rady - wysapała płacziwie.

- Owszem, dasz. Będę tuż za tobą.

Podniosła głowę i popatrzyła na mnie, w jej oczach malował się pełen skruchy strach. Deszcz mieszał się z krwią, która zachlapała jej twarz; kilkanaście wyraźnych strużek spływało po bladych policzkach i ściekało na szyję, przyciemniając kołnierz i przesiąkając przód kurtki. Strużki zbierały się w coraz większej kałuży u jej stóp i spotykały z uporczywym staccatowym strumyczkiem z mojej ręki. Rozlewisko zalewało kamyki i krążyło między nimi, podskakiwało i tańczyło wraz kroplami deszczu; setki ciemnych rzeczułek, ich bledsze odnogi wędrowały jeszcze dalej, aż ziemia pod naszymi nogami zaczęła pływać w szkarłacie. I tak jak kałuża, tak też rosło we mnie przekonanie, że tej krwi jest za dużo, że jest jej w jakiś sposób więcej, niż usprawiedliwiałyby to moje rany.

Ból był intensywny, ale nie obezwładniający; czułem napięcie w każdym nerwie, w każdym mięśniu ciała, i wiedziałem, że nie przeoczyłem jakiegś ziejącej dziury czy uszkodzonej tętnicy. A jednak ta świadomość nie przynosiła ulgi i nie uwalniała od zaprawionego piołunem strachu ściskającego mi żołądek, bo krew wciąż płynęła, a twarz Rachel stała się trupioblada, ona sama zaś kręciła głowę i powtarzała:

- Nie dam rady, nie dam rady... - wspierając się na moich rękach.

I choć bardzo próbowałem przekonać samego siebie, że tak nie jest, przód jej kurtki ciemniał z każdą sekundą coraz bardziej, wielka połyskliwa plama rozprzestrzeniała się z rozdarcia w materiale pośrodku klatki piersiowej.

Od razu zapomniałem o swoim bólu, wypartym przez makabryczną świadomość. Wziąłem ją pod pachy, próbując utrzymać równowagę, kiedy ugięły się pod nią kolana. Niecierpliwe, przynaglające „nie” było jedynym

słowem, jakie mogłem z siebie wyrzucić.

Patrzyła mi uporczywie w oczy, kiedy jej oddech zwalniał, palce zaciśnięte na moich rękach słabły, a potem, gdy siły opuściły ciało, a nogi załamały się pod nią, zsunęła się między moimi ramionami na karmazynową ziemię, pociągając mnie ze sobą i zmuszając, bym ukląkł. Przyłożyłem odruchowo dłoń do dziury w kurtce, ale krew wypływała spod pleców Rachel prędej, niż przesączała się między moimi palcami, i wiedziałem, że nie jestem władny jej powstrzymać.

Tak jak, zdawało się, i ona. Próbowwała coś powiedzieć, ale jej wysiłki, na podobieństwo moich, były próżne; słowa uległy cichemu westchnieniu, które dobyło się wraz z rzadką mgiełką krwi. Wzięła mnie po prostu za rękę i ze słabiutkim śladem uśmiechu oderwała ją od swej piersi. Wydawało się w tej chwili, że pojedyncza sekunda wydłuża się do wieczności; Rachel nie potrzebowała słów. Dostrzegłem w ostatniej, buntowniczej iskiecce jej oczu wszystko, co chciała mi przekazać: smutek i poczucie straty, oczekiwanie i nadzieję, strach, tęsknotę i miłość. A potem, z taką sama nagłością i ostatecznością, z jaką pojąłem to wszystko, światło w jej źrenicach zgasło. Jej spojrzenie i palce umknęły mi, a ciało znieruchomiało na ziemi.

Zamknąłem oczy, mój umysł zamilkł. Kiedy podniosłem powieki, świat przestał wirować. Nie było spiralnej paniki, tok rozumowania nie wymknął się z utartych kolein. W tym momencie byłem zupełnie sam.

Green przełamała ciszę głośnym:

- Cholera! - i wyskoczyła zza wozu.

Uszy załazała mi fala dźwięku: stukot deszczu, tupot, przytłumiony męski głos wyszczekujący polecenia w radio. Odległe zawodzenie syren. Trzask drzwi samochodu. I ponad tym wszystkim pozbawiony tchu skowyt złamanej duszy.

Wykręciłem szyję i zobaczyłem Ericę, która kołysała się, siedząc na piętach. Piers unosiła się ciężko, twarz była wykrzywiona w grymasie przerażenia. Kiedy popatrzyłem w jej opuchnięte, zaczerwienione oczy, pokręciła głową, jakby mówiąc „nie”, i wydała z siebie pełen udręki jęk; chwyciła się obiema dłońmi za włosy i pociągnęła głowę w dół, między kolana.

Green przybiegła w ułamku sekundy; odsunęła mnie łokciem, a potem mamrotała:

- No dalej, dalej, dalej - starając się przywrócić Rachel do życia.

- Nie żyje - powiedziałem.

Nie zwracała na mnie uwagi, jej dłonie wzbudzały przyprawiający o mdłości chłupot, gdy pompowały rytmicznie klatkę piersiową Rachel.

- Ściskaj cały czas postrzeloną rękę - nakazała mi. - Karetka jest w drodze.

Erico, kochanie, posłuchaj mnie! - rzuciła podniesionym głosem.

Erica podniosła głowę, jej zwinięta w kłębek postać drżała niepowstrzymanie. Broń leżała na ziemi za jej plecami, mogła bez trudu jej sięgnąć.

- Wyświadcz mi przysługę i połóż się na brzuchu, okay?

Erica popatrzyła na mnie, jakby pytając o zgodę, choć z pewnością wiedziała, że gdy w broni wciąż znajdują się naboje, a ja nadal żyję, to nie pozwolę, by mogła zeznawać i iść na ugodę w sądzie. I jeśli szok pozbawiał ją możliwości wykonania pierwszego ruchu, to byłem pewny jak diabli, że nawet ze zranioną ręką potrafię prześcignąć Green w biegu na dwadzieścia metrów.

Bez względu jednak na to, jak szybko zaplanowałem swoją trajektorię, sprawa wymknęła mi się spod kontroli. Głos docierający z samochodu zamienił się w niewyraźną postać w kąciku mojego oka, biegnącą wzdłuż podjazdu, gdy Erica miała spuszczone wzrok. Mężczyzna okrążył transita, posuwając się bezgłośnie i próbując zająć ją od tyłu. Ścisnął w prawej dłoni pałkę teleskopową, lewą wyciągał w bok, jakby przywierał dla zachowania równowagi do niewidzialnej poręczy. Twarz miał ściągniętą w grymasie koncentracji, gładko wygolona broda podrygiwała, kiedy zagryzał wargę. Mysz by go nie usłyszała.

Erica jednak nie musiała go słyszeć; pomimo swojej histerii, zareagowała natychmiast na ruch moich oczu. Obróciła się błyskawicznie do mężczyzny i wstała, nim zdążył chociażby mrugnąć.

W wyciągniętej ręce ścisnęła roztańczoną broń.

- Cofnij się, kurwa! - wrzasnęła. Policjant wytrzeszczył oczy i odskoczył do tyłu z krzykiem przestachu. - Na ziemię!

- O Boże... - Green podniosła się i stanęła obok mnie, kładąc mi opiekuńczym gestem dłoń na głowie. - Erico! - krzyknęła. - Nie bądź głupia! Odłóż to!

- Klękaj, kurwa - warknęła Erica, niemal dotykając rewolwerem twarzy

mężczyzny.

- Rób, co mówi, Kevin.

Osunął się na kolana, wpatrzony szeroko otwartymi oczami w wylot lufy.

- Proszę, nie - wyjąkał, wypuszczając z dłoni pałkę.

- Erico, uspokój się. - Green zrobiła krok w jej stronę, odsłonięta, z uniesionymi rękami. - Nic ci nie robi i ty mu nic nie zrobisz. Odsuń broń, okay? On się nie poruszy. Prawda, Kevin?

Skinął głową, wzrok miał błagalny.

- Prawda - wyszeptał. - Jak najbardziej.

- To twoja jedyna szansa, Erico. Słyszysz te syreny? - Były już wyraźnie bliższe. Bez względu na ulewny deszcz, niektóre dźwięki nie kłamią. - Nadjeżdżają posiłki. Ludzie z bronią. Rozumiesz?

Zgięta prawie w pół, chwytając spazmatycznie powietrze, przesunęła się za Kevina i przyłożyła mu lufę rewolweru do potylicy.

- Nie zabierzecie mnie - załkała.

- Zastrzelą cię. Jeśli nie rzucisz broni, zabiją cię. - Green była niewzruszona jak głaz, robiąc ostatni krok. - Mówię poważnie. Musisz mi to oddać, i to teraz.

Erica pokręciła głową, rewolwer się poruszył. Nie była w stanie utrzymać pewnie broni, która kołysała się na wszystkie strony, i przez krótką chwilę sądziłem, że się podda. Patrzyła kolejno na Green, na Kevina i rewolwer w swej dłoni, a jej panika ustępowała z wolna. Rozluźniła palce na kolbie i powoli opuściła rękę.

Green zbliżyła się do niej jeszcze bardziej.

- Dobra dziewczyna - powiedziała. - Połóż to na ziemi i podejdź do mnie. Wszystko będzie dobrze.

Niemal to zrobiła; i zrobiłaby do końca, gdyby najpierw nie popatrzyła na mnie, prosząc o jakieś potwierdzenie. Nie dostrzegła go, uzyskała natomiast jednoznaczny instrukcję, gdy podniosłem lewą dłoń. Ułożyłem palce w kształt pistoletu, przycisnąłem lufę do skroni i jednym strzałem usunąłem wątpliwości z jej umysłu.

Byłem głupi, sądząc, że posłucha. To, że spaliła za sobą mosty, było oczywiste nawet dla najbardziej zniszczonego umysłu, ale instynkt przetrwania jest tak skonstruowany, by oprzeć się sile sugestii.

- Przepraszam! - krzyknęła, biorąc zamach bronią, i walnęła nią z całej

siły w głowę Kevina, a gdy padł na ziemię, trzymając się za rozciętą czaszkę, wymierzyła rewolwer w twarz Green. - Nie wsadzisz mnie z powrotem do klatki!

Nie mając dokąd uciec, Green po prostu odwróciła głowę i zamknęła oczy, a ja zrobiłem to samo, kiedy Erica pociągnęła za spust.



# ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Mogłoby to być ułaskawienie uzyskane bez trudu; pięciominutowa niepowtarzalna okazja przed przybyciem kawalerii. Pięć minut, by zaspokoić moją żądzę krwi płynącej w żyłach Eriki i dopilnować, by moje imię poznali tylko niewtajemniczeni i wolni od wszelkich podejrzeń. Czworo martwych. Jeden ocalały. Obłąkana morderczyni, która sama zadała sobie śmierć. Czyste konto za cenę dziury w ramieniu i dwóch zabitych gliniarzy. Korzystne? Bez wątpienia.

Umysł jednak jest zagadkowym tworem. Powiedział tylko proste „nie”. Tak brzmiała wyszeptana odpowiedź na pytanie, którego nie usłyszałem w swoich ustach.

Ali Green popatrzyła mi w oczy; zrozumiałem, że jest dla niej ważne, czy przeżyję, czy umrę. Była gotowa wkroczyć bez wahania między mnie a naładowaną broń, a ja byłem gotów poświęcić ją dla własnej korzyści? Akurat.

Mój rzut był nieskoordynowany, garść przesiąkniętego krwią żwiru eksplodowała w powietrzu, a większość ominęła twarz Eriki, wystarczyło jednak, by cofnęła się gwałtownie. Zaciśnęła dłoń, kurek opadł, odpowiedzią na strzał nie była fontanna krwi, mózgu i kawałków czaszki, tylko ostry trzask rozpadających się dachówek garażu.

Green zareagowała natychmiast, chwyciła lewą dłonią za rewolwer, a podbicie prawej wpakowała Ericę w nos, zwalając ją z nóg. Osunęła się na ziemię wraz z nią, przydusiła kolanami jej klatkę piersiową i przygwoździła gardło.

- Puść to! - warknęła, wbijając kciuk w nadgarstek Eriki, ta zaś, piszcząc z bólu, zatopiła pięć szponów drugiej ręki w twarzy policjantki.

Green zwolniła uścisk, by wyrwać pazury ze swego ciała, a potem wpakowała się w kłopoty; wspierała się na jednej dłoni, więc Erica musiała tylko szarpnąć gwałtownie biodrami, by pozbawić ją równowagi.

Erica odrzuciła przeciwniczkę na bok, kopiąc ją w głowę i powalając na ziemię.

- Złeż ze mnie - zaskrzeczała, wciąż trzymana mocno za nadgarstek,

mierzając z rewolweru gdzieś w niebo, podczas gdy Green przekreśliła się na plecy i podwoiła chwyt; przyciskała łokcie do ciała, pięści miała zaciśnięte, kłykcie pobielające.

Otrząsnąłem się i wyprostowałem, kiedy Erica dźwignęła się na kolana i wpakowała palce w pachę Green, powarkując obłąkańczo i napierając ciężarem ciała na jej rękę, a gdy zaczęły się wyginać i drżeć, wrzasnęła:

- Puść mnie, kurwa!

Byłem już za jej plecami. Pozbawiłem ją tchu, owijając się wokół niej, zamykając w objęciach jej ciało. Poczułem, jak się napreża, gdy przywarłem policzkiem do jej policzka, gorącego, mokrego i gładkiego z wyjątkiem nieznacznego śladu blizny pozostawionej przez Kerry.

- Dostyc - powiedziałem i pociągnąłem ją resztkami sił.

Erica wydała pełne zaskoczenia westchnienie, kiedy oderwałem ją od Green. Wyciągnęła gwałtownym ruchem rękę ku mojej twarzy i przywarła do mnie, kiedy zatoczyłem się i wpadłem na bok furgonetki. Wyszwoodziła się, gdy ją puściłem, a potem patrzyła z przerażeniem, jak uginają się pod mną nogi i osuwam się na kolana. Pokręciła głową i krzyknęła:

- Nie! - próbując mnie nadaremno podnieść.

- To koniec - wychrypiałem, krzywiąc się z bólu. - Zapomnij o niej. Został ci jeden nabój. Nie zmarnuj go.

Słyszałem, jak Green się sprzeciwia, czułem, jak wlepia we mnie pełne przerażenia spojrzenie, gdy leżała nieruchomo na zwirze, ale wyzbyłem się już wszelkiej troski o jej aprobatę. Dokonałem wyboru; los miał tylko jedną szansę urzeczywistnienia mojej pokuty, a ta szansa spoczywała w rękach ostatniej kobiety, która stała jeszcze o własnych siłach.

Popatrzyła na broń, rozwarła palce i przyjrzała jej się przez łyżę z dziecięcym zdumieniem, jakby widziała ją po raz pierwszy. I bez względu na to, jak sprawiedliwy pragnąłem być w swej zemście, jak bardzo moje dłonie chciały wbić się w jej ciało i wyrwać z niego ukradzione życie, moja twarz płonęła wstydem, a żołądek ścisnął się na myśl, że z mojego powodu przeleje się jeszcze więcej krwi. Wszystko to, bez wyjątku, było moim dziełem. To Eriki palec spoczywał na spuście, ale nie mogłem udawać, że to nie ja wsunąłem jej broń do ręki. Jakkolwiek mogłem temu zaprzeczać, pragnąłem jedynie, by odeszła wolna, bez względu na czekające mnie konsekwencje. Nie chciałem patrzeć, jak umiera, i ona o tym wiedziała.

Nie musiałem jej mówić, by odeszła; zobaczyła to w moich oczach, w smutku, z jakim zerkały ku drzwiom furgonetki. Skinęła głową prawie niezauważalnie, ale uwolniło to moje ciało od napięcia; przysiadłem na piętach.

- Przepraszam. - Pociągnęła nosem, wdychając urywanie i ocierając łzy z oczu. - Odchodzę - powiedziała, znów kierując broń w stronę Green. - Nie chybię następnym razem. Jeśli spróbujesz mnie powstrzymać, strzelę ci w twarz. - Otworzyła drzwi transita i wrzuciła rewolwer do wozu. - Tak jak zrobiłam z twoim kolegą.

Miałem wrażenie, że staje mi serce. Erica popatrzyła na mnie, zmowa wykrzywiła jej usta w smutnym półuśmiechu.

- Żegnaj - powiedziała cicho, a potem wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk, wrzuciła ze zgrzytem bieg, zwiększyła obroty i odjechała.

- Co ty zrobiłeś, kurwa? - Green zbliżyła się do mnie na czworakach, dysząc ciężko, twarz miała podrapaną i zakrwawioną. - Boże, twoja ręka...

Wyciągnąłem ją do niej; dłoń była pokryta warstwą karmazynu, koniuszki palców ociekały krwią w niepokojącym tempie.

- To nic takiego. Mam jeszcze drugą - odparłem, ale żadne z nas nie uznało tego za śmieszne.

- Nie próbuj wstawać - powiedziała, dźwigając się na nogi, i ruszyła w stronę samochodu.

Chciałem się jej sprzeciwić, podnieść się i pobiec z krzykiem do lasu, żeby zakopać się w ziemi i wykrwawić spokojnie na śmierć; wszystko, byle nie mierzyć się z katastrofą, którą spowodowałem. Ale nie miałem szans. Podjazd wirował mi w oczach, a ja nie wiedziałem, gdzie znajdują się tyły posesji. Niewiele we mnie pozostało.

Siedziałem i patrzyłem, jak furgonetka przecina pole, podskakując na wybojach, jak robi się coraz mniejsza, aż w końcu znika pośród drzew. Nie ma tam przecinek ani traktów prowadzących do gospodarstw; wiedziałem, że Erica będzie niebawem posuwać się na piechotę, a nie była w najlepszej kondycji, i to pod żadnym względem. Uciekała na ślepo, po całkowicie nieznanym sobie terenie. Niebawem miały pojawić się psy i strzelcy wyborowi, wyszkoleni myśliwi i zabójcy, a żaden z nich nie zamierzał ryzykować w przypadku osaczonego zwierzęcia. Zamknąłem oczy i pomodliłem się, by znalazła drogę ucieczki.

- Karetka będzie za dwadzieścia minut. - Green uklękła przy mnie i zaczęła grzebać w apteczce, którą przyniosła z samochodu. - Nie ruszaj się. Spróbuj się odprężyć.

Odciągnęła kawałek rękawa mojej koszuli i przekłuła go nożyczkami; przechylała głowę i poruszała miarowo szczęką, najwidoczniej czując się niepewnie, gdy odrywała materiał od rany.

- Nic ci nie jest? - wystękałem. Głos mi nagle osłabł.

- Nie. Trochę mnie ogłuszyło, ale przeżyję. - Obwiązała mi rękę gazą, zaciskając ją na tyle mocno, że się wzdrygnąłem, potem spięła ją agrafką i rzuciła torebkę z medykamentami w stronę Kevina, który, jak się zorientowałem, wymiotował leniwie za moimi plecami. Potem, oceniając swe dzieło z dumą i co ciekawe, jednocześnie konsternacją, oderwała jakąś niesforną nitkę, wygładziła starannie brzegi i powiedziała: - Dzięki tobie.

## ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Volvo pełne broni ruszyło z podjazdu w fontannie mokrych szrapneli i popędziło przez pole ze zwierzęcym warkotem-sykiem-szczekiem.

Ukląkłem przed pustym naczyniem, które tak nieomylnie niosło Rachel od jednego żalostnego losu do następnego, podczas gdy Green przycupnęła przy mnie, trzymając niezgrabnie między kolanami szeroki parasol, i wzięła mnie za rękę.

- Chodź - powiedziała. - Musisz wejść do środka.

Odsunąłem się. Nie mogłem oddychać, nie wiedziałem, co robić. Miałem ucałować Rachel na pożegnanie, lodowato zimną w strugach zacinającego deszczu? Czy też zachować to na tę chwilę w kaplicy i pochylić się w głąb sosnowego pudła, by dotknąć pieśczośliwie twardej, lśniącej warstwy wosku? Pytanie było absurdalne, niepojęte. Żegnaj, jedyna stała w moim życiu, przemieniona w obcość, w niemożliwość.

- Nie wolno mi jej zostawić - powiedziałem.

Green rozłożyła parasol, ujęła mnie mocno za łokieć i po prostu wstała. Była drobna, ale silna na tyle, by dźwignąć mnie na nogi, a jej polecenie zabrzmiało zdecydowanie i władczo:

- Nie jest tu bezpiecznie. Muszę zaprowadzić cię do domu, dać ci coś do picia i ogrzać, dopóki nie odwołamy alarmu. Rachel może zostać, nie będzie długo sama. - Pociągnęła mnie energicznie, tym razem nieco bliżej dziury w moim rękawie. - Chodźmy. No dalej.

Zerknąłem na volvo, pozbywające się już na skraju lasu swego ładunku strzelców w czerni. Przełknąłem mdłość w krtani i spojrzałem Rachel w oczy - nic nie skrywały, nikogo tam nie było - a potem zrezygnowany zaakceptowałem pocieszającą dłoń przedstawicielki prawa. Przesunęła nią po moich plecach i położyła na ramieniu, odciągając delikatnie od miejsca zbrodni, której byłem rzekomo nie sprawcą, lecz nieszczęsną, bezradną ofiarą.

Green zmusiła mnie delikatnie, bym oddalił się od Rachel, garażu i siedzącego w nim Kevina, który sprawiał wrażenie oszołomionego; jedną ręką przytrzymał kompres przy głowie, drugą pokazywał dzielnie, że wszystko w porządku. Przeprowadziła mnie przez drzwi wejściowe

i skierowała do salonu; strząsnęła za sobą parasol i zostawiła go na ganku.

- Usiądź - powiedziała. - Ściągnij tę mokrą koszulę. Znajdę ci ręcznik i zaparzę herbaty.

Zrobiłem, jak mi nakazano. Usiadłem półnagi na sofie, otumaniony i niemal obojętny na ból w ręce, ale dojmująco świadomy znacznie większego, gdzieś głęboko w jakiejś innej części mojej istoty, prawdziwego, fizycznego cierpienia, które przyprawiało mnie o uporczywy szum w uszach i rozmazywało wzrok, ilekroć próbowałem myśleć o czymś innym niż to, jak patrzyła na mnie Rachel.

Green kręciła się po kuchni, rozmawiając przez telefon, jej podniesiony głos zmagął się z dźwiękiem czajnika, ale nie byłem dostatecznie skupiony i zainteresowany, by słyszeć, co mówi, nawet gdy już woda się zagotowała, a ona darła się, by przekrzyczeć odgłos syren i warkot silników, i nagle buczenie helikoptera, który przeleciał nisko nad domem, wprawiając w drżenie naczynia na ociekaczu.

Kiedy jednak wróciła wreszcie z herbatą, najpierw wsunęła mi kubek w dłoń, okryła ramiona ręcznikiem, usiadła obok mnie na sofie, włączyła telewizor, zapewne z myślą o uspokajającym dźwięku w tle, odchrząknęła współczująco, a potem przykuła mnie spojrzeniem, w którym malowała się pewność, że będę jej słuchał.

- Chcę wiedzieć, co wydarzyło się wczoraj - zaczęła.

Nie byłem na to przygotowany, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów, by jej to powiedzieć. Mój mózg doznał paraliżu w całkowicie nieodpowiednim momencie.

- Co masz na myśli? - wyszeptałem.

- Wiesz co. Był tu John Fairey, a od tamtej pory nie dał znaku życia.

Pokręciłem głową.

- Ale mnie tu wczoraj nie było. Nie wiem, co ci powiedzieć.

- Owszem, wiesz - odparła. - Mam nadzieję, że utknął w jakimś pubie, ale... - Popatrzyła na mój czerwieniejący prowizoryczny opatrunek. Nie musiała kończyć zdania.

- Wiem tylko, co powiedziała Erica - zapewniłem ją. - Byłem z Rach...

Słowa utkwiiły mi w krtani, odrażający fakt niezaprzeczonego uczestnictwa Rachel w tym wszystkim ujawnił mi się w całej pełni.

Popatrzyłem w jej oczy, mój mózg wirował żałośnie. Czy było za późno?

Czy to usłyszała? Czy mogłem wykasować te ostatnie słowa - zmienić imiona, by chronić niewinnych? A potem co? Ośmieliłbym się ponownie zaangażować Annie? Byłem pewny, że by się zgodziła, i przekonany, że nigdy nie spytałaby o to, co zrobiłem. Tak jak Rachel, dostrzegła moją prawdziwą twarz, w mniejszym lub większym stopniu, i nie odtrąciła mnie, wręcz przeciwnie. Annie daleka-od-przeciętności, moja jedyna przyjaciółka. Jedyna osoba, która kiedykolwiek dała mi swój klucz.

- Posłuchaj - wymamrotałem. Mój głos brzmiał słabo, wyczuwało się w nim nutę porażki. - Jeśli Erica tu była, to mogła zrobić wszystko. Zdarza mi się nawet nie zamykać drzwi.

Green przytaknęła z wolna, rozważając moją prymitywną i nieco amatorską wskazówkę.

- Słuchaj, koszmarnie się czuję, nie potrafię normalnie myśleć. Możemy odłożyć to na później? - zaproponowałem.

- Jasne. - Przyglądała się badawczo mojej twarzy, wypatrując otwarcie jakiegokolwiek drgnienia rysów, najbardziej ukradkowego spojrzenia w niewłaściwą stronę. - Choć nie będziemy musieli, mam nadzieję. Bo jak powiedziałaś, na większość moich pytań może odpowiedzieć tylko Erica. Zgadza się?

Skinąłem głową, ale:

- Wiesz, że nie weźmiecie jej żywej, prawda?

- O tak - odparła. - Nie wróci do klatki?

Poczułem dreszcz na karku, zmęczony umysł szukał rozpaczliwie jakiejś odpowiedzi.

- Jak ci się wydaje, o co jej chodziło? - spytała.

- Boję się myśleć - powiedziałem. - Może jak się dowiecie, gdzie była przez cały ten czas...

- Tak, jeśli o to chodzi... - zaczęła, ale przerwał jej sygnał komórki. Wyjęła ją z kieszeni, zerknęła na ekran i skasowała połączenie.

Spojrzałem przez okno na hordę pojazdów, które stały teraz pod domem; furgonetki do przewozu psów policyjnych, śmigłowce, radiowozy, duży zielony ford z anteną biczową i zabezpieczonymi kołpakami. Rozproszony szereg odblaskowych żółtych kurtek na polu, przeczesujących drogę ucieczki Eriki do lasu, w stronę rzeki i drogi. Skierowałem wzrok na myśliwych zlewających się z linią drzew i na helikopter, który unosił się w niewyraźnej

dali; na ratowników medycznych, którzy wyjmowali sprzęt z jeepa, i na mundurowych kręcących się wokół ciała Rachel.

Green zauważyła, że patrząc na to wszystko, i cokolwiek dostrzegła w mojej twarzy, zmieniło to z miejsca jej nastawienie. Wyzbyła się wszelkiego ciepła, w oczach pojawiła się stal.

- Oczekiwałam, że chciałbyś w tych okolicznościach, byśmy ją znaleźli - powiedziała. - Ale nie chcesz, prawda? Wolałbyś, żeby się zastrzeliła albo żebyśmy ją wyręczyli. Dlatego odesłałeś ją uzbrojoną w rewolwer z jednym nabojem. Żeby nie mogła podważyć twojej opowieści, którą byś wysmażył, by przekonać wszystkich, że to, co się wydarzyło, nie jest twoją winą. Ale jest, prawda? Bo wiem, że ty wiesz, gdzie była przez cały ten czas i bez względu na to, co jeszcze się wydarzyło i jakie niestworzone teorie można by snuć, ostrzegałam cię, kurwa, że igrasz z ogniem.

Jej telefon znowu zadzwonił. Odebrała, krzywiąc się, i warknęła:

- Oddzwonię później. - Rzuciła komórkę na stolik, mówiąc przy tym: - Och, na litość boską! - bo moja głowa opadła na kolana, a oczy zaszyły łzami.

Szczerze mówiąc, byłem gotów się poddać.

Znowu złagodniała albo przynajmniej udała współczucie.

- Spokojnie - mruknęła czule, przysuwając się do mnie, i zaczęła głośno ręcznie przywierający do moich lepkich pleców. - Masz rację, pomówimy o tym wszystkim później. Przepraszam, czasem bywam nietaktowna. - Uśmiechnęła się leciutko, poklepała mnie po zdrowym ramieniu i obróciła się w stronę okna. - Jest karetka. Nie mów im, że założyłam ci opatrunek, chyba że powiedzą, że jest w porządku.

Zgodziłem się niepewnie, a potem, gdy jej komórka zaczęła wibrować i tańczyć na stoliku, westchnęła i nie miała już nic do powiedzenia, więc siedzieliśmy jedynie i gapiliśmy się w telewizor, czekając na ratowników medycznych.

Niewiele było do oglądania. Jakiś program z tym miłym facetem Diazem, który stał w klatce z telefonem przyciśniętym do ucha, czekając, aż ktoś odpowie.

Miły facet Diaz... Sierżant detektyw Diaz, policyjny pies tropiący.

A ze mną co się działo?

Było to dziwne uczucie. W życiu bałem się zawsze tylko jednej rzeczy i przez tych kilka ostatnich tygodni sama perspektywa zakończenia mojej gry



sprawiła, że stałem się płaczącym, nieporadnym wrakiem. Lecz gdy zobaczyłem, jak podnoszą się włoski na karku Green, wszystko to czmychnęło bez śladu. Policyjny pies tropiący Diaz, policyjna suka tropiąca Green.

Narzędzie mojej klęski było tuż obok, na sofie, dostatecznie blisko, bym mógł ugryźć - dostatecznie blisko, bym mógł złożyć ręce i przełamać ją na pół - ale jedyną myślą w mojej głowie było: „Och, dobrze, więc to już koniec”.

Milczała przez długą chwilę, patrząc, jak jej kolega wali wściekle telefonem o gumową podłogę. Potem wreszcie obróciła się, żeby na mnie popatrzeć, jej czoło marszczyła konsternacja, zasznurowane wargi dokonywały pospiesznych obliczeń.

Otworzyła usta i odetchnęła, by przemówić.

Zamknąłem oczy.

# PODZIĘKOWANIA

Chciałbym myśleć, że ta książka jest wyłącznie moim dziełem, ale w rzeczywistości pisanie rzadko stanowi jednostkowe przedsięwzięcie. Nie przeczytalibyście „Zwyczajnego człowieka”, gdyby nie:

Cierpliwość mojej żony Tracie, która zapewniła mi czas, miejsce i spokój, tak bardzo potrzebnych, żeby usiąść i pisać.

Oddanie i bezustanna wyrozumiałość mojego od dawna cierpiącego współnika w przestępstwie, zarówno anioła, jak i diabła, Jamiego Masona. To była niezła jazda, co?

Godna Terminatora nieustępliwość mojej agentki, Amy Moore-Benson, która nie zamierzała się poddać, dopóki nie znalazła wydawcy. Jesteś czarodziejką, Amy.

Ciężka praca, umiejętności i nieskazitelny smak mojej redaktorki, Emily Ohanjans, która wraz z Tarą Parson i całym wspaniałym zespołem w MIRA Books miała dość wiary, by zaryzykować w moim przypadku.

I więcej lat, niż mogę zliczyć, pełnych wsparcia, zachęty i odpowiedzi na te wszystkie dręczące pytania, które pojawiają się w mrocznych godzinach wczesnego poranka - odpowiedzi ze strony Carole Oldroyd i Sary Carlson, towarzyszących mi podczas tej podróży na dobre i na złe, od samego początku, a także innych niesamowitych ludzi, którzy przyłączyli się po drodze, takich jak Hayley Webster, Beth Duke, Kim Michele Richardson, Claire Bryans, Caroline Mole, Jessica Macdonald, a także - jak właśnie poinformowała mnie moja matka - moja matka.

Wreszcie, co najważniejsze, dziękuję wam za to, że poświęciliście swój czas na lekturę tej książki. Gdyby nie wy, w ogóle nie byłoby książek.

# ROZMOWA Z GRAEME'EM CAMERONEM

- *Co zainspirowało pana do napisania „Zwyczajnego człowieka”?*

- To radiowy wywiad z profilerem z FBI skłonił mnie do napisania książki o seryjnym mordercy, ale nigdy nie uważałem, bym miał do powiedzenia coś nowego na temat, który został już dokładnie zgłębiony. Ostatecznie zdecydował przypadek. Niezadowolony z historii, do której nie bardzo potrafiłem się zabrać, wróciłem pewnego dnia ze spaceru w lesie i usiadłem nad czystą kartką, nie mając żadnego planu, prócz tego, by odświeżyć sobie umysł, pisząc coś drastycznego i nienadającego się do druku, wyłącznie dla własnej przyjemności. I jak to często bywa, potem już poszło łatwo.

- *Jak to jest wnikać w umysł mordercy?*

- Na tym polega praca pisarza, że rzuca światło w każdy mroczny zakątek ludzkiej natury. Wszyscy składamy się z pewnych podstawowych komponentów, więc sądzę, że jeśli pisarz czuje się nieswojo, odkrywając, jak owe komponenty funkcjonują w umyśle odmiennym od jego umysłu, to jest na złej drodze.

- *Ani razu nie wymienia pan imienia swego bohatera, nie podaje pan też żadnych szczegółów jego wyglądu. Co kryło się za takim zamysłem?*

- W młodości oglądałem filmy w rodzaju „Szczęki” i „Obcy”, w których siła potwora polegała między innymi na tym, że trudno go było zobaczyć. To wyobraźnia widza pomagała wypełnić białe plamy za pomocą własnego najgorszego scenariusza, który był oczywiście o wiele bardziej przerażający niż ta fałszywa gumowa kukła, zaserwowana w trzecim akcie. Jeśli chodzi o moją książkę, chciałem nakłonić czytelnika, by wypełnił te białe plamy w przypadku potwora, który jest dokładnie tym, czym jest: kimś normalnym i znajomym. Zwyczajnym człowiekiem. Bo właśnie nim jest zabójca: kimś, kto rankiem podaje ci kawę albo siedzi za tobą w pociągu, albo ociera się o ciebie w supermarkecie, kiedy wybierasz lody o ulubionym smaku. Nie potrafiłby się nie rzucać w oczy, gdybym powiedział, jak wygląda!

- *Czy jest w książce postać, z którą się pan identyfikuje? Kogo spośród tej różnorodnej obsady lubi pan najbardziej?*

- Wszystkich! Niestety (bojąc się, że od razu ich porzucę) nie znalazłem swych bohaterów w ciemnej alejce za stacją benzynową. Każda postać jest

owoce mojej wyobraźni, więc w sposób niejako naturalny każda ma w sobie coś ze mnie samego – jakieś banalne wspomnienie czy katastrofalną skazę osobowości. Powiedziałbym jednak, że najchętniej napiłbym się z Annie. Lubię jej sarkastyczne poczucie humoru, odznacza się poza tym przebojowym charakterem, który z przyjemnością przeanalizowałbym głębiej.

- *Czy napisanie tej książki wymagało zbierania jakichś materiałów?*

- Nauczyłem się przyrządzać smakowitą potrawkę. Nie drukujcie tego.

- *Co stanowiło największe wyzwanie, jeśli chodzi o „Zwyczajnego człowieka”? Co sprawiło panu największą radość?*

- W obu przypadkach przedstawienie seryjnego zabójcy w sposób dostatecznie sympatyczny, by czytelnik nie przerwał lektury. Było to, z powodów oczywistych, największym wyzwaniem, ale też dającym największą radość, ponieważ (przynajmniej dla mnie) można to osiągnąć tak naprawdę wyłącznie poprzez humor i żartobliwe wytyczanie dopuszczalnych granic wszystkiego, z czego można się jeszcze śmiać.

- *To pierwsza powieść, jaką pan wydał, ale pisze pan już od jakiegoś czasu.*

*Czym ta książka różni się od tego, co stworzył pan dotychczas?*

- Ukończyłem ją! Piszę opowiadania od momentu, w którym potrafiłem utrzymać pióro w dłoni, ale zawsze skupiałem się na początku i końcu. Cierpliwość potrzebna do wykreowania środka pojawiła się u mnie dość późno. W gruncie rzeczy „Zwyczajny człowiek” to moja druga powieść. Krótko po ukończeniu szkoły napisałem pełen akcji thriller, którego bohaterem jest były policjant i prywatny detektyw z tragiczną przeszłością, a ważną rolę odgrywa sekret rodzinny i cierpiąca od dawna ekszona, która w końcu pozwala, by do niej wrócił. Było to tak dobre, jak wynika z opisu, i wszystkie znane mi kopie spoczywają pod warstwą betonu na pewnym wysypisku śmieci w Nowym Meksyku.

- *Czy antybohater to temat, który pana szczególnie interesuje? Czy pojawia się też w pańskich innych utworach?*

- Tak. Uważam, że lepiej się opowiada o ludziach złych.

- *Może pan scharakteryzować swój proces tworzenia? Czy najpierw pojawia się zarys historii, czy też od razu przystępuje pan do pisania, a szczegóły pojawiają się z czasem?*

- Nakreśliłem z grubsza zarysy „Zwyczajnego człowieka”, kiedy już

zagłębiłem się w tę opowieść, ale praca nad książką to długie przedsięwzięcie. Funkcjonuję jednocześnie w normalnym świecie i żyję swoim życiem, uczę się nowych rzeczy i zdobywam nowe doświadczenia, które w nieunikniony sposób mają wpływ na to, co piszę. Jednocześnie poznaję lepiej sposób postępowania i myślenia swoich bohaterów, a tym samym są oni mniej skłonni trzymać się ściśle określonego planu, jaki przygotowałem z myślą o nich pół roku wcześniej. Jest to więc bardzo płynny proces. Wyruszam w podróż, wiedząc, dokąd chcę dotrzeć, ale droga co rusz skręca w różnych kierunkach!

- *Może nam pan powiedzieć, nad czym pracuje w tej chwili?*

- Może dałem już jakąś wskazówkę. A może nie.

Tytuł oryginału:

*Normal*

Pierwsze wydanie:

MIRA Books, 2015

Opracowanie graficzne okładki:

*Kuba Magierowski*

Redaktor prowadzący:

*Grażyna Ordęga*

Opracowanie redakcyjne:

*Władysław Ordęga*

Korekta:

*Sylwia Kozak-Śmiech*

© 2015 by Graeme Cameron

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa, 2015

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieł w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books, S.A.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustrację na okładce wykorzystano za zgodą Harlequin UK.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.

02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-276-1610-4

Konwersja do formatu EPUB:

Legimi Sp. z o.o. | [www.legimi.com](http://www.legimi.com)